

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 2 (25)

tom VII 2021

J. Andrzejczak	M. Olbromski
K. Beśka	A. Patey-Grabowska
J. Binkowski	M.J. Piasecka
J. Bogusławska	M.K. Piekarska
T. Bóldak-Janowska	K. Rodowska
K. Boruń-Jagodzińska	K.S. Schreyer
A. Chąciński	J. Seipp
K. Choiński	R. Sosa
A. Dutka-Mańkowska	J. Strękowski
L. Galdová	K. Sutarski
Z. Kalista	M. Szyszko-Kondej
E. Kasjanowicz	J. Śleszyński
T. Kosik	B. Świderski
A. Książek	K. Świegocki
I. Kukuszk-Glinka	G. Walczak
A.W. Kulik	P. Wojciechowski
Z. Lisowski	
J. Marciniak	
W. Mandryka-Bukowiński	
P. Müldner-Nieckowski	



Grzegorz Łatuszyński



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**
<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok VII Nr 2 (25) 2021
Adres Redakcji
<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna
Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP
Zastępca redaktora naczelnego
Piotr Müldner-Nieckowski
Sekretarz redakcji
Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Kolegium
Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Korekta
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski
Typografia i skład komputerowy
Piotr Müldner-Nieckowski
Wydawca
Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska
Długo i krótko3
WIELKANOC 2021

Jerzy Binkowski
Ty i ja5

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
To czy inne święto6

Piotr Müldner-Nieckowski
Maria Matka Jezusa7

Mariusz Olbromski
Żurawiejka muzealna8

NOWI CZŁONKOWIE OW SPP
Bartłomiej Świdorski 10

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY
Małgorzata Szyszko-Kondej
Pogrzeb ciotki Broni11

ESEJ
Małgorzata Karolina Piekarska
Fotografie jako inspiracja...19

Konrad Sutarski
Co przyniesiesz XXI wieku31
Matka Boska bez dłoni 34

Grzegorz Walczak
Uchem amatora, ale nie profana ... 36

Piotr Wojciechowski
Koniec Nieśpadów 39

KRYTYKA
Tomasz Kosik
W głąb ludzkiej natury
(Krzysztof Beśka) 46

Irena Kukuska-Glinka
Piramidalna złożoność recepcji
(Adam Kulik) 47

POEZJA
Janusz Andrzejczak
Może on, Gdy, Nawet nie można. ... 57

Jerzy Binkowski
Pierwsza komunია święta, Świtanie 59

Anna Dutka-Mańkowska
Dwa księżycy i inne wiersze 60

Eugeniusz Kasjanowicz
(z przekładami Z. Lisowskiego)
Wiersze 62

Andrzej Książek	
Aforyzmy.....	68
Wiersze	70
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Once upon a time... rozmowa.....	75
Jerzy Marciniak	
Pianista	77
Piotr Müldner-Nieckowski	
W środku komputera, Byłem u lekarza i inne wiersze.....	79
Mariusz Olbromski	
Wiersze	82
Alicja Patey-Grabowska	
Drzewo od wewnątrz i inne wiersze	84
Maria Jolanta Piasecka	
Haiku.....	88
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Nad Niemnem i inne wiersze.....	89
Jerzy Śleszyński	
Ból, Kres	94
Kazimierz Świegocki	
Morze utracone	96
Małgorzata Szyszko-Kondej	
Wiersze	106

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Patrycy.....	110
Krzysztof Beśka	
Syreny.....	114
Tamara Bołdak-Janowska	
Krótki dialog położniczy Tamary Bejot i Tola Szaleńczyka	123
Andrzej Chąciński	
Andrzej i Luiza.....	133
Krzysztof Choiński	
Powrót do „roboty” 1940	141

Adam W. Kulik	
Prozy	147
Jerzy Marciniak	
Rozmowa.....	157
Alicja Patey-Grabowska	
Zez rozbieżny	164
Maria Jolanta Piasecka	
Słowo	166
Jerzy Seipp, Jadwiga Bogusławska	
Spotkanie.....	170
Jan Strękowski	
Lotne w powietrzu bociany	174
Bartłomiej Świdorski	
Plaga.....	179
Grzegorz Walczak	
Psy doktora Fergusona	191

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Zdeněk Kalista	199
Lenka Galdová	200
Krystyna Rodowska	
Roberto Sosa	201
Kazimierz Świegocki	
Z rumuńskiej poezji ludowej	205

DZIENNIKI, WSPOMNIENIA

Krystyna Rodowska	
„Córka rabina”	209
Piotr Müldner-Nieckowski	
Z historii SPP – Powrót do Domu Literatury, „Potop” i „Chimera” ..	214

Na okładce

Grzegorz Łatuszyński
fot. Piotr Müldner-Nieckowski 2018



Małgorzata Karolina Piekarska

Długo i krótko

Wakacje to moment, gdy mamy więcej czasu, ale... czy na czytanie? W końcu ładna pogoda kusi, by poświęcić się innym aktywnościom. Długie teksty najlepiej czyta się w zimowe wieczory. Ale od czego nasz Kwartalnik Literacki „Podgląd”? Także od krótkich tekstów. A tych jest tu tym razem sporo. Po pierwsze – wiersze, którym długością daleko do poematów w dwunastu księgach. Większość mieści się na jednej stronie, jak utwory Janusza Andrzejczaka, Małgorzaty Szyszko-Kondej czy Jerzego Śleszyńskiego. Po drugie, haiku, którym od lat zajmuje się nasza koleżanka Maria Piasecka. Teraz także podzieliła się tym, co ma w swojej literackiej szufladzie. Bardzo wiosennie u niej, ale i w pełni lata zdarza nam się myśleć podobnie jak autorka, która pisze:

*wiosenna pełnia
jego oczy głodne
tak blisko*

Wreszcie, po trzecie, są tu intrygujące aforyzmy Andrzeja Książka, dość długie jak na aforyzmy, ale krótkie jak na poezję czy prozę, mimo że rozmiarem nie nawiązują do haiku. Zawierają niemałe problemy diagnostyczne i nierzadko głębokie filozoficzne, zmuszając czytelnika do zatrzymania wzroku i poruszenia myśli. W jednym z nich autor pisze:

Poezja poetycka. Proza prozaiczna. Od słowa sztuka pochodzi słowo sztuczny, nienaturalny, może nawet nienormalny, wykraczający poza obiegowe normy.

Wypada teraz spytać, czy wobec tej obserwacji można powiedzieć, że nasz kwartalnik jest sztuczny jako zbiór, układ, system? Czy sztuczna jest jego zawartość? Czy pokazujemy czytelnikowi do podejrzenia

(podglądania) teksty nienaturalne i nienormalne? Czy jednak ze wszech miar prawdziwe, powstałe z potrzeby serca? Czym są prezentowane na tych łamach poetycka poezja i prozaiczna proza? Na pewno sztuką. Ale czyż ona nie bywa też prawdziwa? (W ostatnim zdaniu rym zamierzony – a co tam!)

Nie będę się długo rozwodzić, bo wstęp powinien być krótki. Dlatego interpretację pozostawiam czytelnikom.

Małgorzata Karolina Piekarska



Ostroga – przejście wprost do morza. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Wielkanoc 2021

hasło: Spotkanie

W minionym roku nie było spotkania opłatkowego, a w tym śledzika ani jajeczka. Trwała pandemia, to wszyscy wiedzą, ale przypominamy o tym fakcie dla potomności. W czasie tworzenia niniejszego zeszytu „Podglądu” zaraza była w trzecim apogeum. Dom Literatury w Warszawie nadal był zamknięty, ale powoli odmarzały chłodnie artystycznych szuflad i pojawiły się nowe wiersze, tym razem pisane pod hasłem „Spotkanie”. Oto nadesłane utwory.

Jerzy Binkowski

Ty i ja

Peron był pusty. Nikt nie czekał.
Na kolejnych stacjach rozglądał się.
Pociągi odjeżdżały w nieznanym kierunku.

Zaszedł do knajpy.
Na talerzu srebrne pstrągi.
Kelner podał chłodne piwo.

Z ulicy dolatywały wrzaski podpitych.
Wniebogłosy szydzili z jakiegoś osiłka.
Pomyślał, że to niegodziwe.

Wrócił do mieszkania na piętrze X.
Drzwi otworzyła żona.
Boże – to Ty – szepnął.

Ty i ja.

4.04.2021

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

(na hasło „spotkanie”, wezwanie nieco patetyczne)

To czy inne święto

I na białe solne okiście i na siarkowe forsycje
ostrą zimą, okrutną wiosną
za oknem, za murem, za stołem.

Już nie jedno jedyne miejsce i jeden talerz,
już nie tylko przy i na wigilijnym,
już nie tylko puste symbole
dla tych, którzy pomarli,
nie rozpoznając woni kadzidlanych,
które, według porzekadła, im już na nic,
mimo sowitych gregoriańskich mszy gęstych od dymów,
jedni pomarli, inni żyją
nie odróżniając i od powietrza
żywicznych igieł, i dymu wędzarni,
i zapachu siana
wszelkich łechcących pokus.
Od ka-pustoty i ka-pustości kwaśnej
miny przeciw ludzkiej
ukrytej w fałdach maski.

Trudna woń bukszpanu, jasek i chrzanu,
którą należy się rozkoszować razem,
i to razem wśród wielu
innych nosów i języków,
zamiast kolejny raport z pola bitwy
na głos czytać rozbieganym wzrokiem,
choć dla chwili ostudzenia krwi w karnawał chaosu
tak przystoi miotającym się w zgubnym tańcu.

Teraz miejsca do wypełnienia dla żywych,
dopóki nie za późno, dobrym słowem pogłaskać po ręce,
uśmiech i pocałunek posłać zza szyby.

W ciepłym pokoju pościelić do snu,
pośród ciemności z nadzieją na świtanie,
gdy wody krwawe wyklarują się, opadną,
gdy już złowrogi anioł złoży skrzydła.

A na ten czas Baranka wywyższyć, postawić na straży.
Za nich, za nas
do Niebios westchnąć na śmiech szydercom,
na przekór wytrwać.
Zdążyć i
zdążyć żyć.

Wielkanoc 2021

Piotr Müldner-Nieckowski

**Maria Matka Jezusa
kiedy Go spotyka
na czwartym przystanku Drogi Krzyżowej**

Nie cierpiała tak jak myślisz
że sam byś cierpiał
wyjąc z bólu jak wtedy gdy wąż ukąsi.

Nie było czasu,
to nie był czas dla poddających się ciosowi.
W Jego ból patrzyła jak w mądrość i dobro
myśl miała szybszą niż wir elektronu
i nawet światło biegnie powolniej
światło z namysłem się skrada przeciska
gdy Ona zdroj ten przenikła
natychmiast i niewidzialnie.
Nie czując ciała ni losu
wiedziała że Losem jest On
bo tak nazywamy Boga
gdy jeszcze nie wiemy czym jest.

Inny był powód
że światło Jej – świat okrężało
by spojrzeć na Syna z tych stron
w których nikt przedtem nie bywał.
Nic się na pomoc nie nadawało
wobec zaciętych ust i zbrodni
siekier wbijających gwoździe.
I wkrótce umarł lecz nie żyje tylko ciało
bo krzyż z nim ożył. To Ją uniosło.
On – fundament. Po Nim opoką – Ona.
To przejął od Niej Piotr.

Piotr Müldner-Nieckowski

Mariusz Olbromski

Żurawiejka muzealna

Choć Marszałek brwi już stroszy,
Choć Marszałek wąsem rusza,
Trudno zabrać się do pracy,
Bowiem straszna to katusza.
Lance do boju, szable w dłoń,
Za lenistwem goń, goń, goń!
Dział Promocji rusza w pole,
Już kawusia jest na stole.
Świat jest dziwny i się zmienia,
Tyle spraw do omówienia.
Lance do boju, szable w dłoń,
Za wieściami goń, goń, goń!
Wielce szparka sekretarka
Ma kalendarz spotkań licznych.
Ten się spotkał, tamten spotkał
I dzień senny przeszedł ślicznie.
Lance do boju, szable w dłoń,
Na spotkanie goń, goń, goń!
O beztrosko, iskro bogów,

kwiecie elizejskich pól.
Daj nam ciszę, spokój błogi,
Oddal od nas wszelki znój!

Z poważaniem, sekretarz pułkownika
Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego
Mariusz Olbromski



Droga.
Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Nowi Członkowie SPP przedstawiają się

Bartłomiej Świdorski

Utrzymuję się z pisania scenariuszy do seriali. Tworząc prozę, preferuję krótkie formy i stosuję gatunkowy płodozmian, przez co szerokim łukiem omijają mnie rozsądni wydawcy i zdezorientowani tą zmiennością czytelnicy. Krytycy w ogóle mnie nie dostrzegają. Może także dlatego, że nie piszę zbyt dobrze. Pomyślałem, że w SPP nauczę się czegoś od zdolniejszych koleżanek i kolegów, a przynajmniej ogrzeję się w blasku sławy tych bardziej utytułowanych. Dzień dobry.



Małgorzata Szyszko-Kondej

Pogrzeb ciotki Broni

(fragment przygotowywanej książki dla dzieci o latach 60. XX w.)

– Słyszałam, że Bronisława umarła dzisiaj rano... Ludzie w kolejce do mięsnego mówili – poinformowała moja mama mojego tatę i postawiła przed nim talerz gorącej kartoflanki. A ja domyślałam się, że chodzi o ciotkę Bronię, którą teraz, kiedy zmarła, mama nazywa „Bronisławą”.

– No tak, stara już była. – Tata przyjął to do wiadomości jak coś oczywistego. – A pytałaś w sklepie żelaznym, tam obok mięsnego, czy przywieźli już kłódkę do chlewika? – Chyba wołał porozmawiać o czymś innym.

Za to babcia kontynuowała temat.

– Świeć Panie nad jej duszą...! – westchnęła. – Miała ciężkie życie. Trzeba pójść na czuwanie.

– Bożenka też będzie czuwać? – zapytałam, choć nie wiedziałam, co znaczy „pójść i czuwać”. Ale nikt mi nie odpowiedział.

Bo przecież ta sprawa najbardziej dotyczyła Bożenki. To jej ciotka zmarła. I to ciotka Bronia, ta chuda, zrzędlawa, pokrzykującą, której, szczerze mówiąc, za bardzo nie lubiliśmy. Ta druga – Kazia, była o wiele miłsza i na szczęście, jeszcze żyła.

Bo Bożenka miała dwie ciotki. Niby nic wielkiego. Każdy z naszego podwórka miał dużo ciotek, wujków, kuzynów, którzy zbierali się z okazji rodzinnych uroczystości, takich jak śluby, chrzciny, pogrzeby. Ale dwie ciotki – Bronia i Kazia – były niezwykajne. Dlaczego? Bo choć były siostrami bliźniaczkami, choć obie były pannami (nawet mówiło się „starymi pannami”) i razem zajmowały „górkę”, czyli poddasze domu, w którym mieszkała Bożenka z rodziną, to były kompletnie, ale to kompletnie inne.

Różniły się wszystkim.

Bronisława, ta która zmarła, była siwa, gładko uczesana, koścista, zawsze w fartuchu w paski. Nerwowa, niezadowolona, przez cały dzień krzątała się po domu. Nie potrafiła nic nie robić. Gotowała pożywne zupy, do białości szorowała ryżową szczotką podłogę z desek, prała i wieszała pranie za okno, przygotowywała przetwory na zimę, odmawiała różaniec...

I narzekała. Na pogodę, że za zimno albo za gorąco, na puste półki w sklepach i drożyznę, na dzieciaki (czyli na nas), które brudzą, krzyczą

i niszczą. A najgłośniej na swoją siostrę Kazię, do której miała najwięcej pretensji.

– Przestań śpiewać! Słoń ci na ucho nadepnął, a ty wciąż swoje! – pokrzykiwała! – Mieć taką siostrę, to skaranie boskie! Zamiast robić coś z sensem, ech...! – lamentowała.

A ciotka Kazia nic sobie z tego nie robiła. Wiedziała, że też robi coś bardzo pożytecznego. Mianowicie siedzi na stołeczku na trawie, pasie kozę i śpiewa:

*Ani ja, ani ty, nie umiemy roboty.
Kupim sobie wózeczek, będziem wozić piaseczek.
A na tym piaseczku posadzimy buraki.
Burak, burak, buraki.
Wszystkie chłopcy duraki...*

Śpiewała kozie, którą trzymała na długim postronku, czasami komuś, kto akurat przechodził, ale najczęściej śpiewała drzewom i niebu. I zawsze była zadowolona.

Ciotka Kazia była tęga, dobrodusznna, kiedy się śmiała (całkiem często), trząsał się jej podbródek. Lubiła jeść i śpiewać. Lubiła też swoją kozę.

– Ta malutka to cały mój dobytek! – Klepała ją pieszczotliwie.

Nosiła długie, suto marszczone spódnice, które jeszcze bardziej ją pogrubiały. Nigdy się nie gniewała. Nawet wtedy, kiedy Irenka (siostra Bożenki, miała wtedy może półtora roku) podczołgała się pod jej stołeczek i ugryzła ją w... pupę, która nie mieściła się i wystawała po obu stronach stołeczka.

– Ojej! – ciotka Kazia podskoczyła jak oparzona. Ale nie denerwowała się na Irenkę, rozcierała tylko pośladek i chichotała – No, no... Myślałam, że to myszka! Ale masz ostre ząbki, dziewczynko!

Taka była ciotka Kazia.

Ale teraz ważniejsza była jej siostra, ciotka Bronia, bo umarła.

– Mówię ci, co się też u nas dzieje! – opowiadała podniecona Bożenka, kiedy spotkałam ją po południu w sklepie u pani Stefy. (Do szkoły nie przyszła, bo pogrzeb to bardzo dobre usprawiedliwienie.) – Rodzina zjechała, trzeba wszystkich nakarmić, zająć się i w ogóle... A najgorszy jest mały Andrzejek, jeszcze przedszkolak, muszę się nim opiekować. Mówię ci, cały dom do góry nogami! – Nie wiadomo, czy Bożenka była z tego powodu

zadowolona, czy przeciwnie. – Wpadniesz? – zapytała tak zwyczajnie, jak by zapraszała mnie, żeby się pobawić.

– No jasne, że tak! – odpowiedziałam radośnie, jakbym spodziewała się czegoś nadzwyczajnego.

Był wieczór, zimny wiatr.

I właśnie z babcią i z Marysią szliśmy do ciotki Bronisławy, żeby ją pożegnać, żeby się za nią pomodlić.

Oczywiście, wiedziałyśmy, gdzie mieszkały obie siostry, ale i tak nie mogłybyśmy nie trafić, bo już kilka metrów przed furtką leżały przyniesione z lasu i specjalnie ułożone gałązki sosny. Po nich jak po strzałkach szliśmy przez podwórko, ganek, drzwi wejściowe, strome schody, aż do... dużego pokoju.

– Musicie być grzeczne – pouczyła nas babcia. – Najlepiej się nie odzywajcie. Przez trzy dni, kiedy Bronisława będzie jeszcze w domu, musi panować cisza i modlitwa. Nawet zegary nie mogą chodzić, trzeba było zatrzymać wskazówki. A lustra należy przykryć – tłumaczyła.

– Ale dlaczego...? – chciałam wiedzieć, jednak babcia, ścisnęła mnie za ramię i zamilkłam.

Tuż przy progu, bo pokój nie był duży, na stole zasłanym ciemną kapą stała otwarta trumna, w której leżała Bronisława. U jej wezgłowia na stoliku stały dwa lichtarze ze świecami, na środku krzyż i Biblia. Ubrana była w czarną, żorzetową sukienkę, czarne buty, na głowie miała czarną chustkę. W rękach złożonych jak do modlitwy trzymała różaniec. Wyglądała prawie tak samo, tylko miała zamknięte oczy, była chudsza i miała dłuższy nos niż codziennie.

Po obu stronach trumny na krzesłach siedzieli znajomi i nieznajomi ludzie, sąsiedzi i chyba rodzina, która nigdy wcześniej na poddasze nie zaglądała. Najbliżej siedziała ciotka Kazia, przykryta ciemną chustą, bardzo blada, milcząca, jakby zdziwiona niezrozumiałym zamieszaniem. Bożenka natomiast, jej mama i jeszcze jakaś pani, jak dobre gospodynie czujnie obserwowały pokój i gości żałobników – czy czegoś im nie trzeba, może wody, może herbaty... Panował półmrok, w blasku chyboczących świec wszystko wyglądało niewyraźnie i tajemniczo. Ludzie też rozmawiali szeptem...

– Czułam, że ktoś umrze, bo psy w nocy wyły...

– Sowy pohukiwały głośniej niż zwykle...

– Słyszałam pukanie do drzwi, otworzyłam, a tam pusto...

– Sympatyczna była ta nasza Bronia, zawsze uprzejma, grzeczna...

– Dobra gospodyni, o wszystko dbała, ubranie dla siebie do trumny też przygotowała. Leżało na piecu w walizce...

– Zawsze skromna, miła, taki przyzwoity człowiek...

Dziwiłam się, bo wydawało mi się, że ludzie zebrani przy trumnie opowiadają o kimś innym, a nie o kłótlivej, jędzowatej ciotce Bronisławie.

– O umarłych źle się nie mówi – szepnęła mi do ucha Halinka, która też przyszła na czuwanie.

Aha! Mogłam się domyślić. Zresztą teraz też wydawało mi się, że ciotka Bronia wcale nie była taka zła. Może po prostu nerwowa, bo dużo w życiu przeszła, a za swoje nieszczęście krzyczała na wszystkich – jak czasami usprawiedliwiała ją moja babcia.

– Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci...

Żałobnicy modlili się, śpiewali religijne pieśni. Było duszno, bo okno było zamknięte, unosił się dziwny zapach kwiatów, najwięcej było lilii, iglastych wieńców, świec, kadzidła... W pokoju, który znałyśmy, bo przychodziłyśmy pomagać ciotce Broni w łusaniu fasoli, wszystko wyglądało inaczej. Zamilkł duży, stojący w rogu zegar, który grając wybijał godziny. Lustro w trzydrzwiowej szafie, do którego robiłyśmy miny, było przykryte prześcieradłem. Matka Boska Częstochowska nad łóżkiem wydawała się jeszcze smutniejsza. A kolorowa papuga na obrazku przy półce z książkami, w półmroku zszarzała i przypominała gołębia. Tylko stary kufer zamknięty na żelazne, kute zamki stał twardo przy ścianie i się nie zmienił. Głęboko skrywał najcenniejsze rzeczy. Sekrety, których ciotka Bronia nie chciała ujawniać ludziom i światu. I nam, kiedy tu wpadałyśmy.

Zaraz... ale to nieprawda! Przypomniało mi się, że raz, kiedy napełniłyśmy garnki wyłuskaną fasolą, ciotka Bronia zadowolona jak rzadko, poczęstowała nas – Bożenkę, Marysię i mnie (chłopcom w ogóle nie pozwalała wchodzić do swego mieszkania) – kompotem z rabarbaru.

– Miałam dziś cudny sen – uśmiechnęła się i od razu wyładniała. Ostrożnie wyjęła z kufra tekturowe, trochę podniszczone pudełko ze zdjęciami.

– Popatrzcie to ja, a to Kazia. – Pokazała nam jedno ze zdjęć. – Dali nam imiona po dwóch dziadkach, Bronisławie i Kazimierz. Byłyśmy wtedy w waszym wieku. Spójrzcie, jakie niepodobne, chociaż bliźniaczki! – Chyba się z tego cieszyła. – Ta z lewej to ja... – uściśliła, bo domyśliła się, że na pewno się pomyliły. Bo na zdjęciu z dzieciństwa było akurat odwrotnie. Ciotka Bronia w sukience za kolana, z warkoczami upiętymi

w koronę, była grubą, roześmianą dziewczynką, a ciotka Kazia stała obok niej, chuda, wystraszona, z ustami wygiętymi w podkówkę, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Nasz dom na Polesiu. – Pokazywała kolejne zdjęcia i może nawet chciała o tym opowiedzieć, ale nam się nie chciało słuchać. Spieszyliśmy się do zabaw na podwórku.

– A to kto? – Marysia wyciągnęła z pudełka małe, legitymacyjne zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze wojskowym. Miał pięknie zarysowane brwi i uważne oczy. Na odwrocie widniała starannie wykaligrafowana dedykacja: „Ukochanej Broni na wieczną pamiątkę”.

– Zostaw to natychmiast! – Ciotka Bronia krzyknęła tak głośno, że aż podskoczyliśmy. – Czas do domu! Zmykajcie!

Uciekliśmy rozszaleni. Tak dużo jej pomagaliśmy, a ona...

Chciałam zapytać Marysię, czy pamięta to zdarzenie i szepnąć, że może już czas, żebyśmy stąd wyszły. Stałyśmy blisko drzwi, więc byłoby łatwiej, i trzymałyśmy się za ręce. Ot, na wszelki wypadek. Bo jednak czułyśmy się nieswojo. Ciekawość pomieszana z lękiem, smutek ze współczuciem, zwłaszcza kiedy patrzyłam na ciotkę Kazię. Wyjść stąd, uciec...!

Ale babcia zrobiła tak groźną minę, że nie odezwałam się i zostałam sama ze swoimi wspomnieniami.

– Wieczne odpoczywanie...

– Odmówmy koronkę...

– Nudzę się! Nuudzę! – niespodziewanie wrzasnął mały chłopiec i skutecznie przerwał podniosły nastrój. Domyśliłam się, że to pewnie Andrzejek, którym miała opiekować się Bożenka.

Zanim ktoś zdążył zwrócić mu uwagę, dzieciak błyskawicznie podbiegł do lichtarzy przy trumnie i zdmuchnął najpierw jedną, później drugą świecę.

– Nie podoba mi się tu! – Zaczął tupać nogami. – Mamo...!

Ale zamiast mamy, która pewnie była zajęta przygotowaniami do stypy, przybiegła Bożenka i na siłę zaczęła wyciągać go z pokoju. Mały rozdarł się na cały głos, kopał ją i szlochał, a Bożenka, wiedząc, że czeka ją kara za niedopilnowanie smarkacza, też się rozpłakała.

I to były jedyne łzy, jakie widziałam na tym pogrzebie.

– Coś takiego, co za wychowanie...

– Rozpuszczone te dzieci...

– Na wszystko się teraz pozwala...

– Za moich czasów...

I zaczęła się rozmowa o okropnych dzieciach, jeszcze okropniejszych rodzicach, o niewdzięcznym pokoleniu, które nie przeżyło wojny, więc niczego nie szanuje.

– Dobrze, że świętej pamięci Bronia nie musiała szarpać się ani z dziećmi, ani z mężem...

– Żyła sobie powolutku, spokojniutko jak u Pana Boga za piecem...

Starsze kobiety przytakiwały – tak tak, tak tak... – jak stojący w rogu zegar, który zatrzymano na czas żałoby. Jeden pan, też nieznamy, mruknął, że się z tym nie zgadza, ale panie szybko go zakrzyczały. Wybuchła prawie awantura, czy lepiej mieć męża pijaka i złe dzieci, czy żyć spokojnie samiutkiej. Ale na szczęście ciotka Kazia przebywała w swoim własnym świecie i raczej tego nie słyszała, a ciotka Bronia tym bardziej.

A później był pogrzeb. Trumnę z ciotką Bronisławą panowie wynieśli na ramionach z domu i ustawili w karawanie, czarnym pojeździe podobnym do karocy, zaprzężonym w dwa kare konie. Powoził nim mężczyzna w czarnej pelerynie i czapce.

Uformował się kondukt, to znaczy porządek żałobny, jak wytłumaczył mi tata. Na początku siedł kościelny z drewnianym krzyżem, obok nieznamy pan trzymał czarną chorągiew, ksiądz, kilkoro sąsiadów, którzy nieśli wieńce i kwiaty. Za nimi jechał karawan z trumną, a dalej dreptała podtrzymywana przez sąsiadki ciotka Kazia, Bożenka z rodzicami i Irenką, i reszta. Wszyscy szli wolno, krok za krokiem, w ciszy. W sumie może ze trzydzieści osób, ale nie liczyłam. Cmentarz był blisko.

– Coś takiego! Nie myślałam, że groźna ciotka Bronia miała tylu przyjaciół! – szepnęłam do Marysi.

– Jak się umiera, to ludzie sobie przypominają – westchnęła babcia bardziej do siebie niż do nas.

Po mszy i ceremonii pogrzebowej, kiedy grób był już prawie usypany... Kto to? Ależ nie, nie przewidziało mi się! Ani mnie, ani nikomu innemu, bo wszyscy wytrzeszczyli oczy i patrzyli w jedną stronę. Na bramę cmentarza, przy której zatrzymał się... nasz Upiór. To był on, naprawdę. Nadjechał bryczką, uwiązał konia do drzewa i siedł powoli do grobu, w którym złożyli trumnę z ciotką Bronią. Szedł cmentarną alejką, kuśtykał, ciągnąc z trudem drewnianą nogę. Przygarbiony mężczyzna z czarną opaską na jednym oku. Tym razem elegancko ubrany, w czarnym kapeluszu, białej koszuli. Z długimi, siwymi włosami związanymi gumką. W dłoni, tej zdrowej, trzymał jedną czerwoną różę. Sam przeciw wszystkim jak kowboj z westernu. (Tak mi się jakoś skojarzyło).

Zaraz, czy gdzieś go już nie widziałam? Ale nie, nie wtedy, kiedy zapuszczaliśmy się do jego ogrodu na jabłka. Nie wtedy.

Czy to nie ten pan ze zdjęcia, które leżało w kufrze u ciotki Bronki? Za które ciotka nas skrzyczała i kazała zmykać? Gdyby tak ściąć mu włosy, zdjąć opaskę z oka, ubrać w mundur wojskowy...?

Już chciałam podzielić się wątpliwościami z Marysią, kiedy nagle (tak dużo rzeczy dzieje się nagle) spadł deszcz. Ulewny deszcz spadł sprawiedliwie na wszystkich żałobników. A oni tak bardzo przestraszyli się deszczu i tego, że nie wzięli parasoli, że w popłochu zaczęli uciekać. A może po prostu spieszyli się na stypę, czyli poczęstunek dla tych, którzy wciąż żyli?

Przy świeżym grobie ciotki Bronisławy został tylko Upiór z czerwoną różą. Stał nieruchomo, zamyślony. Nic sobie nie robił z deszczu. I nikt się już na niego nie gapił.

A stypa odbyła się w tym samym pokoju, przy tym samym stole, na którym dwie godziny wcześniej leżała w trumnie świętej pamięci Bronisława, tyle że teraz przykrytym białym obrusem, na którym rozłożono smakowite dania.

– Chcesz maślane ciasteczko? – Bożenka udawała dobrą gospodynię, częstowała mnie i inne dzieci. – Całą noc mama z sąsiadkami piekły mięsa, ciasta, przygotowywały śledzie, sałatki...

– Piękna stypa! – pochwalił pan Wacek, tata Ali, Leszka i młój Tereski, który zanim spadł deszcz zagrał nad grobem na trąbce.

– I w ogóle piękny pogrzeb! – Podniósł kieliszek z wódką pan Ziutek, tata Pigwy.

Zresztą wszyscy rzucili się na jedzenie, jakby trzy dni głodowali. Pani Lusia, mama Patrycji, cała na czarno tylko z mocno czerwonymi ustami i paznokciami, która siedziała najbliżej ciotki Kazi, aż się zakrztusiła. Pan Wacek uderzył ją w plecy, żeby kawałek kurczaka nie utknął jej gdzieś w środku. A kiedy mogła już odetchnąć, trochę zmienionym, piskliwym głosem użaliła się nad ciotką Kazią.

– I co też teraz pani sama pocznie, biedulko?

Ale ciotka Kazia nie odpowiedziała. Nic nie jadła i była najsmutniejsza.

Dziwne, bo nam wydawało się, że dopiero teraz, kiedy nie będzie przy niej ciągle krytykującej siostry, nikt nie będzie na nią pohukiwał, rządził nią, narzekał, ciotka Kazia odpocznie. Jednak tak się nie stało. Ciotka Kazia z każdym dniem stawała się smutniejsza i chudsza. Przestała rozmawiać z kozą, śmiać się jak dawniej aż trząsał się jej podbródek.

– Zaśpiewaj nam coś, ciociu – prosiła Bożenka, która chciała wprawić ją w dobry humor.

Ale ona przecząco kręciła głową. Nie chciała już śpiewać ani ludziom, ani drzewom i niebu.

Zmarła miesiąc później.

Koza też zniknęła. Leszek przysięgał, że przyjechał wóz z koniem, zabrali ją na wóz i gdzieś wywieźli. I pewnie też nie żyje. Ale nie! Mylił się. Zabrał ją nasz Upiór. U niego koza miała trawy pod dostatkiem.

Małgorzata Szyszko-Kondej



Wiatrak. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Małgorzata Karolina Piekarska

Fotografie jako inspiracja, źródło i ilustracja do varsavianistycznego zbioru opowiadań

W 2014 roku nakładem wydawnictwa LTW ukazała się moja książka pt. *Czucie i Wiara, czyli warszawskie duchy*. Publikacja zawiera 18 opowiadań varsavianistycznych zanurzonych w historii Warszawy, a także 18 śledztw biura detektywistycznego o nazwie „Czucie i Wiara”.

Prawda i fikcja

Nie jest to opracowanie historyczne, ale zbiór fikcyjnych historii, łączących się w całość i przenoszących czytelnika w głąb historii mojego miasta. Książka jest moją intelektualną zabawą, stworzoną z myślą o wszystkich, którzy lubią czytać.

Są tu postaci, które żyły, gdy siadałam do pisania, i takie, które już dawno odeszły z tego świata. Są historie, które zdarzyły się naprawdę, i takie, których w rzeczywistości nie było. W powieści pomieszałam prawdę historyczną z fikcją, czerpiąc całymi garściami z własnego archiwum domowego warszawianki od wielu pokoleń oraz zbiorów przyjaciół i znajomych. Przede wszystkim czerpałam z bogatej historii Warszawy i jej mieszkańców. Ożywiłam duchy ludzi, którzy kiedyś chodzili lub mogli chodzić ulicami mojego miasta. Wszystko po to, by pokazać, że Warszawa nie jest tylko zbiorem budynków, ulic i placów, ale



Małgorzata Karolina Piekarska
*Czucie i Wiara czyli Warszawskie
duchy*

Wydawnictwo LTW

Dziekanów Leśny 2015

Stron 263

ISBN 978-83-75654-12-7

żywym organizmem, którego mieszkańcami zawsze, bez względu na epokę, targały wydarzenia i namiętności. Tu rozkwitały romanse, dochodziło do zbrodni, ludzie się rodzili i umierali.

Pomysł narodził się bardzo dawno temu, jeszcze w latach 90., podczas moich pierwszych studiów w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego. Konkretnie na zajęciach prof. Tadeusza Jaroszewskiego. Profesor miał zwyczaj przytaczać anegdotki, dotyczące omawianych na zajęciach budowli, i pewnego razu opowiedział o zdarzeniu w Pałacu Potockich 4 kwietnia 1782 roku. Tego dnia zmarł w nim August Aleksander Czartoryski, twórca potęgi swego rodu. Zmarł, grając w wista z nuncjuszem papieskim. Jako człowiek dobrze wychowany, konając powiedział: „Jego ekscelencja wybaczy, ale nie dokończymy tej partii, gdyż umieram”. Jak powiedział pan profesor, nuncjusz, którym w tym czasie na ziemiach polskich był Jan Andrzej Archetti, usłyszawszy takie wyznanie, „zdurniał” ponoć do tego stopnia, że przeżegnał konającego ręką pełną kart.

Ta niepozorna i niemająca znaczenia dla historii sztuki anegdota „wywróciła” moje spojrzenie na ogólną funkcję budynków. Biorąc pod uwagę fakt, że dziś przeważnie rodzimy się w szpitalu i w szpitalu umieramy, zaczęłam uświadamiać sobie, że przecież kiedyś tak nie było, bo rodzono się i umierano w domach. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy skoro Czartoryski umarł w tym pałacu, to jego duch po nim krąży, czy nie? I co by było, gdyby krążył? W końcu jest tyle legend o duchach. Ta myśl przeniesiona została przeze mnie na inne (by nie rzec „na wszystkie”) budowle, a potem także innego rodzaju miejsca.

Dla potrzeb książki stworzyłam fikcyjne biuro detektywistyczne, którego właściciele (ojciec i syn Krosnowscy – nazwisko wzięte z własnego drzewa genealogicznego) rozwiązują zagadki związane ze zjawiskami paranormalnymi, a osadzone w historii miasta.

Zasada była prosta: jedno opowiadanie to jedna dzielnica Warszawy; jeden duch, jedna historia z przeszłości Warszawy, za każdym razem z innej (różnie przeze mnie pojmowanej) epoki, i jedno jakieś konkretne miejsce, które jest do dziś lub istniało dawniej i został po nim tylko jakiś niewielki ślad. Na początku umieściłam cytaty z *Romantyczności* Mickiewicza, aby podkreślić, że chodzi mi o pisanie o rzeczach (duchach), które przecież istnieją tylko wtedy, kiedy w nie wierzymy. Do ballady tej nawiązuje też nazwa biura.

Zaczynem poszczególnych rozdziałów były zasłyszane historie, przedmioty, lektury książek, (m.in. tak mało popularnych, jak np. wydany przez

PAN *Słownik historyczno-geograficzny ziemi warszawskiej w średniowieczu*, wyjęty z kosza na śmieci w redakcji, w której wtedy pracowałam), ale też fotografie. Te ostatnie stanowią integralną część książki.

Fotografia własna jako inspiracja

Książka w założeniu miała być (i jest) rodzajem „zwariowanego bedekera”. Powinna była dawać zachętę i możliwość pojechania w jakieś konkretne miejsce i spojrzenia na nie. Konieczne było więc znalezienie takiego miejsca w Warszawie i zrobienie tam fotografii. Chodziło mi o to, by każdemu opowiadaniu towarzyszyło współczesne zdjęcie czegoś, co można pokazać. Nie na zasadzie: „Tu było. Tu stało. A teraz nie ma nic”.

Musiało w tym miejscu pozostać cokolwiek.

Pierwsze opowiadanie (o Targówku) narodziło się spontanicznie i zaczęło się od wizyty ze śp. Tomaszem Zygałdą – reżyserem – na ulicy Wysockiego. Pokazał mi tory tramwajowe, które mają kilkadziesiąt metrów i się urywają. Zrobiłam kilka zdjęć, starając się uchwycić na nich początek i koniec. Sfotografowałam też tabliczkę z trasą jeżdżącego kiedyś tamtędy tramwaju. Na końcu zrobiłam kilka zdjęć otoczenia, w którym znajduje się m.in. pomnik upamiętniający rocznicę Cudu nad Wisłą. Te moje własne zdjęcia torów, tabliczki i pomnika pozwoliły mi stworzyć historię tramwaju, który nagle pojawia się nie wiadomo skąd, wysiadającej z niego kobiety, znikającej następnie w krzewach, i morderstwa, które udało się ukryć, bo akurat stawiano tu pomnik.

Podobnie było z rozdziałem o Ochocie. Tu też inspiracją było wykonane przeze mnie zdjęcie. Jako dziennikarka pojechałam na wykopaliska na terenie dawnej Reduty Ordona, która okazała się znajdować w zupełnie innym miejscu niż myślano przez dziesiątki lat. Miałam możliwość sfotografowania całego stanowiska archeologicznego, co sprawiło mi ogromną satysfakcję, bo mam wielki sentyment do utworu Mickiewicza i opisanego w nim wydarzenia, które miało dzieć się w tym miejscu.

Splecione ze sobą szkielety ludzkie robiły piorunujące wrażenie. Przypomniały mi trochę zakończenie powieści Wiktora Hugo *Katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu*. Autor opisał tam dwa szkielety (należące do Quasimodo i Esmeraldy), które, gdy chciano je rozdzielić, rozsypały się w proch. W podobnym uścisku były dwa szkielety znajdujące się w jednym z rozkopanych dołów. Archeolodzy martwili się, czy uda się je przetransportować stamtąd w stanie nienaruszonym. Pojawiła się koncepcja,

by zostały tam i były przez przeszkłone posadzki widoczne w stawianym na tym miejscu budynku.

Uznałam, że powinnam dać swoją historię w momencie, w którym okazało się, że są to szkielety Polaka i Rosjanina. Ich ułożenie potwierdziło mickiewiczowski opis z wiersza *Reduta Ordona*. *Opowiadanie adiutanta*:

rozjemcza mogiła.

Tam i ci, co bronili, – i ci, co się wdarli,

Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli.

Zdjęcie splecionych szkieletów, w połączeniu z wiedzą historyczną, że w XIX wieku z pól bitewnych zbierano tylko rannych dowódców, a szeregowych żołnierzy dobijano bagnetem, by skrócić ich cierpienie, otworzyło pole wyobraźni. Myślałam dużo o dwóch żołnierzach wrogich armii, których śmierć połączyła w jednym grobie. W uszach dźwięczała mi rozmowa z archeologiem, który tłumaczył, że szkielety są tak wygięte i przytulone do siebie, bo do dołu wrzucano je i zasypywano, gdy były jeszcze ciepłe. Prawdopodobnie tuż po dobieciu ciosem bagnetu.

Trochę podobnie było z Rembertowem, w którym też natchnienie dała wykonana przeze mnie fotografia Grancówki. Willa Granzowa to nieistniejący już dziś budynek administracyjny zakładów ceramicznych Kazimierza Granzowa. Willa do 2014 znajdowała się na rogu ulic Strażackiej i Chełmżyńskiej. Często, chcąc ominąć korki na Radzymińskiej, jechałam tędy do Marek. Wcześniej jako reporterka TVP kilkakrotnie bywałam tu z kamerą. Willa była w strasznym stanie, trwały dysputy o jej ratowaniu. Czy trzeba ją wyburzyć i postawić od nowa? Jak uratować konstrukcję, w której zawalił się cały środek? Ceramiczna bryła była rzadkością budowlaną i architektoniczną, bo została wzniesiona przy użyciu niemal wszystkich rodzajów materiałów produkowanych w cegielni w Kawęczynie. Była żywą reklamą wyrobów miejscowych zakładów. Kilkakrotnie zatrzymywałam obok samochodów na światłach awaryjnych, żeby sfotografować ją chociażby aparatem telefonu komórkowego. Znajdowała się w coraz bardziej opłakanym stanie.

Aż pewnego razu... zrobiłam zdjęcie, na którym była widoczna i ona, i pobliska kapliczka, do postawienia której też wykorzystano ceramikę z fabryki Granzowa. Ta fotografia mnie natchnęła. Czyż Madonna z kapliczki nie może płakać nad dewastowanym budynkiem? Teraz moje zdjęcia Grancówki pokazują coś, co już nie istnieje. W tym miejscu została tylko

samotna kapliczka z Matką Boską. Madonna płacze nad czymś, czego już nie ma. Wydanie książki zbiegło się z rozebraniem Grancówki.

Fotografia historyczna jako inspiracja

Inspiracją były też fotografie historyczne w większości pochodzące z moich zbiorów. W połączeniu z rodzinnymi historiami, pamiętnikami i dziennikami przodków, krewnych i powinowatych, stanowiły pożywkę dla wyobraźni.

Należały do nich portrety kolegów mojego pradziadka Antoniego Adamskiego, czyli Mieczysława Wyszomirskiego i Karola Szonerta, którzy zginęli w 1905 roku podczas pierwszomajowej manifestacji. Obaj byli członkami SDKPiL. Pradziadek nie poszedł wraz z nimi, bo moja babka Janina z Adamskich Piekarska miała wtedy cztery miesiące i prababka Leokadia Karolina z Przybytkowskich Adamska poprosiła męża, by z nią został i nigdzie nie wychodził. Śmierć kolegów przeżywali oboje. Świadczy o tym chociażby fakt, że fotografie poległych zachowały się w rodzinnych archiwach. Pradziadek zmarł w 1924 roku, ale prababka przechowywała je nadal. Leżały w sekretarzyku w stosownie opisanej kopercie. W latach 70. mój ojciec, który był historykiem sztuki, ale i dziennikarzem-publicystą, napisał dla tygodnika *Stolica* cały artykuł na temat 1 maja w 1905 roku i poległych kolegów swojego dziadka. Nie udało mu się wtedy dotrzeć do niektórych źródeł. Udało się to mnie, kiedy pisałam omawianą książkę. Jedno było však pewne. W XIX i na początku XX wieku w dniu 1 maja nie obchodzono święta o konotacji komunistycznej. Manifestowano walkę z carskim uciskiem, a przede wszystkim dążenie do odzyskania wolności i niepodległości. O czym zresztą traktuje dwuwiersz nawiązujący do warszawskich wydarzeń z 1905 roku, jak nie o wolności? A warszawska ulica, po tym, jak rozstrzelano uczestników pochodu, wołała:

*Widziałem wolność w Warszawie,
co mówię nie jest bajką.
Pędziła przez Marszałkowską
I wywijiała nahajką.
Mówiono, że konstytucja
Jaśniejsza od wielkiej świecy.
Chciałem jej przyjrzeć się z bliska
I dotąd bolą mnie plecy.*

Jednak jak wykorzystać te zdjęcia i tę historię? Tu pomocny okazał się mój inny bzik, który nazywa się „Fotoplastykon warszawski”. To miejsce, które już wcześniej umieściłam w powieści dla młodzieży *Klasa pani Czajki*. Fotoplastykon kocham miłością wielką. Wymyśliłam więc, że musi być Fotoplastykon i jakaś fotografia, która zawsze się pojawia niczym duch. Musi ona przedstawiać jakąś manifestację. Czy taka fotografia w Fotoplastykonie istnieje? Przeglądanie zasobów zdjęć Warszawskiego Fotoplastykonu trwało kilka dni aż... natrafiłam na zdjęcie z kobietą w białej bluzce i ciemnej spódnicy, przedstawiające manifestację koło pomnika Adama Mickiewicza.

Od razu przypomniała mi się opowieść mego przyjaciela, Jerzego Rudnickiego, o jego babce, która w 1906 roku wraz z Wandą Krahelską dokonała nieudanego zamachu na generał-gubernatora Skałona. Wanda Krahelska była odpowiedzialna za podłożenie bomby, a babka Jerzego – Maria z Szukiewiczów Rudnicka (żona komunistycznego pisarza Lucjana Rudnickiego i matka profesora astronomii Konrada Rudnickiego) – odpowiadała za jej konstrukcję. Niestety, przez gapiostwo do jednej z bomb nie włożyła zapalnika. Dlatego generał-gubernator został tylko ranny i zamach przeżył. Czy można uprzedzić się, że postać na fotografii to na przykład babcia mego przyjaciela?

W swoim łączeniu prawdy w fikcję chciałam, by opisywane przeze mnie historie były wiarygodne. Dlatego zdjęcie Marii Szukiewicz z czasów, gdy była według Polaków patriotką, a według Rosjan terrorystką (Jerzy takiej fotografii nie miał), ściągałam z Krakowa od Dawida, przyrodniego brata Jerzego i zarazem najmłodszego syna nieżyjącego już prof. Konrada Rudnickiego. Odpowiadało to mojej wizji. Fotografia Marii z Szukiewiczów Rudnickiej znalazła się zresztą w książce wraz z jednym ze zdjęć Karola Szonerta. W mojej historii przyjaźnili się. Czy w rzeczywistości się znali? Nie jest to wykluczone. Niestety fotografia z Fotoplastykonu nie znalazła się w książce z przyczyn finansowych. Wydawnictwo nie miało pieniędzy, a rozmowy z Muzeum Powstania Warszawskiego na temat licencji utknęły w martwym punkcie. Dlatego stereoskopowa fotografia została przeze mnie jedynie opisana. Czy czytelnik sam ją znajdzie? Jest to możliwe. Musi jednak odwiedzić Fotoplastykon i trafić na wystawę zdjęć z przełomu XIX i XX wieku.

W rozdziale o Pradze-Południe wykorzystałam zarówno zdjęcia historyczne, jak i współczesną fotografię własnego autorstwa; od niej zaczęłam. Przedstawiała zabytkowy dom przy ul. Walecznych 37, w którym urodziła

się moja babcia Janina z Adamskich Piekarska i który należał do mojej praprababki Anny z Neumannów Przybytkowskiej. To najstarszy i zarazem jedyny drewniany dom na Saskiej Kępie. Wpisany jest do rejestru zabytków i mieszkają w nim moi kuzyni. Dziś nie widać, że dom stoi na górze. Trudno go zresztą dostrzec, ustawiony jest bowiem skosem do osi ulicy Walecznych, która została wytyczona, gdy dom już dawno stał. Fotografuję, na której najlepiej go widać, można zrobić jedynie z balkonu mojego domu, stojącego obok. Dopiero wtedy udaje się docenić całą urodę drewnianej chałupki z ganeczkiem.

Wiedziałam więc, że w treści rozdziału musi być zawarta jakaś historia dotycząca tego „drewniaka”. Ale skąd wziąć historię z duchem? Czyj to powinien być duch? Tu pomocna okazała się historia rodzinna i stare zdjęcie pewnego młodzieńca. Wszystko jednak zaczęło się od monodramu, który w 2013 roku napisałam dla mojego męża – Zacharjasza Muszyńskiego, który jest aktorem. Monodram zatytułowany *Listy do Skręcipitki* powstał na podstawie listów mojego pradziadka do prababki. Pradziadek Antoni Adamski, urzędnik Kolei Nadwiślańskiej, chorował na gruźlicę. W 1913 roku po raz pierwszy wyjechał do sanatorium, do mieszczącego się na Urału Szafranowa. Przysyłał stamtąd zabawne listy, pokazujące stosunki polsko-rosyjskie i dawne obyczaje. Potem wyjechał po raz drugi w 1914 roku, i... prawdopodobnie wtedy, gdy wracał, zastała go I wojna światowa, bowiem przepadł na kilka lat. Dopiero w 1918 roku do jego matki przyszedł z Kaługi dramatyczny list, potem jeszcze kilka listów do żony. Wszystkie rozmyte przez lży adresatów wzruszały czytających. Na podstawie listów z lat 1913, 1914 i 1918 powstał monodram o miłości do kobiety i ojczyzny. Premiera odbyła się w 2013¹ roku w stulecie pierwszej wyprawy autora do sanatorium.

W trakcie przygotowań do monodramu w sekretarzyku z rodzinnymi dokumentami znalazłam kopertę zatytułowaną: *Leonid Piasecki – junkier kijowskiej rotty*. W środku były dwa listy i zdjęcie młodego, pięknego mężczyzny w wojskowym mundurze. Listy znałam od dziecka. Kiedyś byłam przekonana, że są pisane w jakimś nieznanym mi języku. Teraz spróbowałam je odczytać i... okazało się, że są po polsku, ale tak, jak Rosjanie łacinką zapisują cyrylicę. Było więc: „deeche” zamiast „dzieje się”, „pchikro” zamiast „przykro” czy „rospatch” zamiast „rozpacz” itd. Z listów wynikało, że w momencie, w którym moja prababka, uchodząca w rodzinie

1 W stulecie odzyskania niepodległości w 2018 roku monodram został wystawiony kilkadziesiąt razy w całej Polsce.

za piękność, sądziła, że jest wdową, w jej życiu pojawił się ów młodzieniec. Potem ustaliłam, że był to daleki krewny – po prostu cioteczno-cioteczny brat. Znał dobrze polski, ale nie umiał pisać w tym języku, bo jego ojciec był Rosjaninem, on sam zaś nie chodził do polskich szkół. Płomienne listy, w których opisywał swoją rozpacz, że musiał iść na front wschodni, że tęskni, zrobiły ogromne wrażenie nie tylko na mnie i moim mężu, ale i na reżyserce spektaklu – Małgorzacie Szyszce.

Spędziliśmy wiele dni na rozmowach o tym, co stało się z biednym Łonką, jak sam siebie podpisywał w listach. Byliśmy przekonani, że zginął na wojnie, skoro nigdy więcej nie odezwał się do prababki, której miłość wyznawał tak płomiennie i dramatycznie. Aż nagle, gdy szukałam ducha do rozdziału o Pradze-Południe, pomyślałam, że taki Łonka bardzo by mi tu pasował, ale... ciekawe, gdzie zginął? Jakże chciałabym wiedzieć, gdzie jest jego grób! Postanowiłam poszukać w Internecie informacji na stronach rosyjskojęzycznych. Wystarczyło kilka sekund, by wyskoczyła mi strona Stowarzyszenia Memoriał, zajmującego się badaniem i dokumentowaniem zbrodni stalinowskich, a na niej... „mój Łonka”. Tylko starszy i bez tego błysku w oku, który dodawał mu urody. Z dokumentacji udostępnionej na portalu wynikało, że Leonid Piasecki był dwukrotnie zesłany do łagru, co w ogóle nie przyszło mi do głowy. Pod uwagę brałam przecież tylko śmierć.

Dzięki Stowarzyszeniu Memoriał nawiązałam kontakt z jego wnukiem Siergiejem Smolkinem. To on przysłał mi mailem przepisany na maszynie (po rosyjsku) pamiętnik siostry swojej babki. Był tam cały rozdział opisujący dramatyczne losy Łonki, który po raz pierwszy został zesłany do obozu tylko dlatego, że był Polakiem. Smolkin, w zamian za tę przesyłkę, otrzymał ode mnie skan fotografii dziadka jako młodego junkra kijowskiej rotty. Był szczęśliwy, bo dziadka nigdy nie poznał i przez długie lata nie wiedział nawet, jak on wyglądał, choć czasem słyszał od rodziny, że jest do niego podobny. Dopiero w latach 90. jego matka uzyskała dokumentację NKWD z tym jednym jedynym zdjęciem widniejącym teraz na stronie Stowarzyszenia Memoriał, a będącym w aktach zesłańca. Fotografia przedstawia człowieka, któremu chyba nie chce się już żyć. Różnica w wyrazie twarzy Leonida ze zdjęcia w moich zbiorach i tego ze zdjęcia ze Stowarzyszenia Memoriał jest bowiem tak porażająca, że gdy tylko na nie spojrzałam, zrozumiałam, że to musi być ten temat.

Czułam, że powinnam coś oddać „mojemu Łonce”. Jakiś kawałek człowieczeństwa, a może podziękowanie za te dwa płomienne listy do prababki?

Dodatkowo zdobyta dzięki przysłanemu znad Jeniseju pamiętnikowi wiedza jeszcze mnie w tym utwierdziła. Los Leonida-zesłańca był straszny. Obie fotografie znalazły się w książce wraz ze zrobionym przeze mnie zdjęciem domu przy ulicy Walecznych, gdzie Łońka odwiedzał moją prababkę, a także wraz fotografią jednego z płomiennych listów oraz zdjęciem prababki Leokadii Karoliny z Przybytkowskich Adamskiej, zwanej w rodzinie Karolcią. W końcu obiekt westchnień też trzeba pokazać czytelnikom. Z wielu jej zdjęć wybrałam przedstawiające scenę w łódce na tle budowanego mostu Poniatowskiego.

Czasami do napisania rozdziału inspirowały mnie fotografie nie z moich zbiorów. Tak było w przypadku rozdziału o Bemowie. Dawno temu słyszałam o Transatlantycznej Centrali Radiotelegraficznej, którą w styczniu 1945 roku wysadzili w powietrze wycofujący się z Polski Niemcy. Byłam nawet na jej terenie i widziałam pozostałości wysadzonych fundamentów.

Ale... jakim naprawdę fenomenem była radiostacja, zrozumiałam dopiero wtedy, gdy przypadkiem na Facebooku zobaczyłam zdjęcie, pokazujące jakiej wysokości były jej maszty. Wtedy pojęłam, że oglądany przeze mnie kiedyś fragment ocalałego fundamentu to nie była podstawa wszystkich czterech nóg podtrzymujących maszt, ale tylko jednej! Jak wielka musiała być więc cała konstrukcja? Na żadnej z zachowanych fotografii Centrali nie ma człowieka, który mógłby stanowić punkt odniesienia. Ale odnalezione w ówczesnej prasie informacje mówiły, że była to najnowocześniejsza i największa taka centrala na świecie. Dziś znana właściwie tylko krótkofalowcom.

Zdjęcie, którego nie ma, jako inspiracja

W pisaniu książki czerpałam wiedzę m.in. z *Pamiętnika Jadwigi z Górczyckich Tyblewskiej*, czyli rodzonej siostry mojej praprababki – Stanisławy z Górczyckich Ruszczykowskiej, a także z notesu stryjeczno-ciotecznej babki Stefanii z Ruszczykowskich Krosnowskiej. Stefania jeszcze w latach 70. podarowała mojemu ojcu maszynopis przepisanego pamiętnika Jadwigi Tyblewskiej oraz swój notes zatytułowany *Plotki rodzinne*, w którym spisała wszystko, co wiedziała o rodzinie. Ojciec odnosił się do jej notesu dość lekceważąco, bo były tam informacje, w których prawda mieszała się z rodzinnymi legendami, a do tych zawsze podchodził z rezerwą. Ja jednak ów notes pokochałam mimo zawartych w nim legend, a może właśnie dzięki nim. Pełen był naiwności i ślepej wiary w to, że przodkowie byli tylko

wspaniali, co zawsze mnie bawiło. Być może dlatego, że studia nauczyły mnie odróżniać prawdę od pobożnych życzeń i jednocześnie doceniać urok marzeń. W notesie znajdował się opis powstańca styczniowego Hieronima Nieszkowskiego, rodzonego brata mojej prapraprababki Konstancji z Nieszkowskich Górczyckiej, którego wspominała też w swoim pamiętniku Jadwiga.

Z obu źródeł wynikało, że był to jakiś niezwykle urodziwy mężczyzna. Jadwiga o swoim wuju pisała, że był „najpiękniejszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek widziała”. Stefania o swoim ciotecznym pradziadku także pisała, że „w młodości był bardzo piękny” i przytaczała anegdotę, jak przyszła go w dzieciństwie odwiedzić i była rozczarowana, a także drugą o tym, jak wykopano dla niego grób, gdy zachorował, i sprzedano jego ubrania, a tymczasem Hieronim ozdrowiał i nie miał w co się ubrać. Z notesu, a także z przepisanego w pamiętniku Jadwigi nekrologu (odnalezionego też przeze mnie w „Kurierze Warszawskim”), wynikało, że został pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym przy Żytniej (była to rodzina kalwińska) w rodzinnej kwaterze. Poszłam na cmentarz, ale na żadnym z czterech znajdujących się w tej kwaterze nagrobków nie widnieje jego nazwisko. Dokumentacja cmentarza spłonęła w czasie powstania.

Pomyślałam, że piękny mężczyzna i na dodatek powstaniec styczniowy, któremu walka o ojczyznę zmarnowała zdrowie (tak wynikało z pamiętnika i notesu) zasługuje na wspomnienie i ożywienie w postaci ducha snującego się po cmentarzu i domagającego upamiętnienia. Jak wyglądał? W trakcie prac nad książką przejrzałam kilkaset rodzinnych fotografii, które są w moim posiadaniu. Żadna z tych niepodpisanych, a więc przedstawiających nie wiadomo kogo, nie ukazywała w moim pojęciu pięknego mężczyzny. Z kolei te podpisane nie przedstawiały Hieronima Nieszkowskiego.

Zadzwoiłam więc do kilkudziesięciu członków bliższej i dalszej rodziny w poszukiwaniu fotografii Hieronima. Nikt nie miał. Hieronim umarł bezdzietnie. Nie było więc zainteresowanych ani przechowywaniem jego zdjęcia, ani wyryciem mu na grobie napisu. Co w wypadku tej osoby znaczy określenie „najpiękniejszy mężczyzna” – nie wiem do dziś ani ja, ani inni żyjący jego krewni i powinowaci, których, gdy telefonowałam w poszukiwaniu fotografii, bardzo moja prośba ubawiła. Ale wyobraźnia cały czas pracuje.

Jak anegdota wprowadza w świat fotografii

Wspominany notes Stefanii z Ruszczykowskich Krosnowskiej opisywał też coś, co odkrywa trochę nieznaną świat fotografii i pozwala na nią spojrzeć z innej perspektywy. Otóż w notesie tym znajduje się anegdota o tym, jak dziadek autorki, czyli Antoni Skrzynecki (dziennikarz i pisarz) oprowadzał po pałacu w Wilanowie szacha Persji, dziś oficjalnie noszącej nazwę Iran. Nic nie wiedziałam o wizycie szacha w Warszawie, więc odkrywanie historii jego pobytu było dla mnie niezwykle ciekawe. Jednak bardziej interesujący okazał się sam szach Naser ad-Din Szah Kadżar, którego w Internecie znalazłam kilkadziesiąt zdjęć.

Otóż okazało się, że był niezwykle postępowy. By pierwszym perskim monarchą, która napisał i opublikował swoje pamiętniki. A miał o czym pisać. Jego harem liczył osiemdziesiąt pięć żon, z którymi miał ponad czterdzieścioro dzieci. Był też ciekaw świata i dlatego dwukrotnie jeździł do Europy. Zobaczył w niej muzea, pod których wpływem otworzył pierwsze w Persji. Ustanowił też uniwersytet. To za jego czasów wzrosła w Persji liczba gazet. Miał wpływ na literaturę i malarstwo, bo sam pisał i malował, a na dodatek pasjonował się fotografią i jako pierwszy władca namiętnie portretował.

W polskiej prasie jego wizytę relacjonowano z zapalem, w czym brał udział między innymi Bolesław Prus. Informacjom towarzyszyły ryciny. Oglądałam je w *Tygodniku Ilustrowanym* oraz *Bluszczu*, rozumiejąc, czemu jego wizyta wzbudzała w stolicy nadwiślańskiego kraju taką sensację. Ubrany był po prostu inaczej niż Europejczycy, a na dodatek podróżował z całym dworem i... skarbcem. Dlatego, gdy dodać do tego wiadomość, że jeden guz na jego nakryciu głowy wart był 500 tysięcy franków, to nie dziwi, że dziewiętnastowieczni warszawiacy wylegli na ulicę, by oglądać władcę jak z *Baśni 1001 nocy*.

W Internecie można znaleźć mnóstwo fotografii autorstwa szacha. Wiadac na nich, że fotografia stanowiła dla niego ważny element życia i tożsamości. Są bowiem nie tylko liczne zdjęcia portretowe, ale też plenery, zdjęcia we wnętrzach i wiele innych. Wszystkie łączy jedno: egzotyka stroju portretowanych osób. Szczególnie spodobała mi się fotografia pokazująca cały dwór, a nawet fotografa, widocznego jako odbicie w jednym z dwóch luster wiszących w hallu pałacu. Uznałam, że tak postępowy człowiek, który bierze udział w takich sesjach fotograficznych, musi „wskoczyć” do mojej książki. A czego może domagać się jego duch w książce, której autorką jest

pacyfistka? Oczywiście, że pokoju na świecie! Lektura życiorysu szacha, pragnącego zjednoczyć kraje arabskie, utwierdziła mnie w tym pomysśle. Fakt, że umieściłam go w chińskim gabinecie wilanowskiego pałacu, był spowodowany tym, że odbyte w latach 90. studia z historii sztuki przyniosły mi wiele platonicznych miłości w postaci władców, architektów, malarzy, rzeźbiarzy czy kolekcjonerów. Tymi miłościami są m.in. Jan III Sobieski, który zaczął gromadzić sztukę wschodnią, i Stanisław Kostka Potocki, który w Wilanowie stworzył chiński gabinet. Po prostu do książki, której pisanie było dla mnie intelektualną zabawą, musiałam wkładać „swoje” ulubione rodzinny. A fotografowanie chińskiego gabinetu aparatem z rybim okiem sprawiło mi ogromną przyjemność. Wybrałam taki obiekt, bo chciałam, by czytelnik zobaczył jak największy fragment kolekcji rozbudowanej przez ojca polskiej historii sztuki. Zwłaszcza że w czasie gromadzenia informacji dowiedziałam się, że Braniccy jeszcze przed wojną twierdzili, że w nocy czasem ktoś tam chodzi. Powtarzali legendy, że to Stanisław Kostka Potocki odwiedza swój gabinet, by sprawdzić, czy niczego w nim nie brakuje. Dla potrzeb książki jeździłam do Wilanowa trzykrotnie i miałam wrażenie, że moje wielogodzinne przebywanie w chińskim gabinecie i obfotografowywanie go ze wszystkich stron zaczyna budzić niepokój obsługi.

Połączenie fikcji z faktami sprawiło, że wielu czytelników uwierzyło w opisaną przeze mnie historię. Poważnie potraktowali zwłaszcza istnienie tajemniczego biura detektywistycznego. Fakt, że nie można do niego trafić za pomocą przeszukiwania Internetu, nie sprawił, że uznano je za fikcyjne. W końcu wiele razy wtrącałam w książkę uwagę, że prowadzący biuro panowie mają mnóstwo pracy, więc nie muszą się ogłaszać w sieci, a ja na pewno podam namiary na właścicieli, bo przecież ich znam (sic!).

Okazało się bowiem, że wykorzystane przeze mnie fotografie, zwłaszcza te historyczne, uwiarygodniły wszystkie wymyślane opowieści. I tylko przewodnicy po Warszawie, którzy chętnie korzystają z książki, wiedzą, jaka jest prawda, co przecież bardzo dobrze o nich świadczy.

Małgorzata Karolina Piekarska

Konrad Sutarski

Co przyniesiesz XXI wieku (w obronie chrześcijańskiej Europy)

Przygotowałem ostatnio do druku tom poezji *Co przyniesiesz XXI wieku* do wydania w Polsce i na Węgrzech. Powodem jest to, że Europa zatraciła swój dotychczasowy charakter i wiara chrześcijańska oraz wynikająca z niej kultura przestaje być – szczególnie w Europie Zachodniej – ważna, przestaje wskazywać ludziom kierunek moralności.

Teraz, w okresie pandemii, kiedy całe społeczeństwa zamykają się w sobie, wydawałoby się, iż czas zatrzymał się, zamarł. Tymczasem pod tą osłoną statki i łodzie nieustannie przywożą nieproszonych przybyszów do Europy, powiększa się, głównie islamska, ludność krajów Zachodu, rozrastają się tam obce kulturowo getta, w których już panuje prawo szariatu, coraz więcej chrześcijańskich kościołów jest zamienianych na meczety, coraz więcej ustępstw czyni się dla wyznawców Allacha. Broni się przed tym naporem już tylko nasza część kontynentu (płot na południowej granicy Węgier, wspólne decyzje Grupy Wyszehradzkiej, V4).

Równocześnie sący się zza Atlantyku genderowska ideologia, rozprzestrzenia się jak rak po całej Europie, wchodząc i do tradycyjnie jakże chrześcijańskiej Polski. Propagują ją dotowane z zagranicy organizacje pozarządowe, rozplenia się po uczelniach wyższych, po szkołach, a nawet próbuje się ją wprowadzać do przedszkoli.

Ulega rozbiciu dotychczasowy system wartości, aby i chrześcijanie przestali wiedzieć, co dobre, a co złe.

Stąd mój apel do poetów, pisarzy, o obronę dotychczasowych wartości.

Poniżej przedstawiam swoje wprowadzenie do tego tomu i jeden zawarty w nim wiersz.

Przedmowa odautorska i apel

Po wielkiej wędrówce ludów, przybyłych w pierwszym tysiącleciu po Chrystusie z Azji do Europy – Germanów, Hunów, a wreszcie (w końcu IX stulecia) Węgrów – nastąpiła etniczna, a z biegiem czasu także kulturowa i religijna stabilizacja europejskiego kontynentu, który od tego czasu nie doświadczał już silniejszych ruchów ludnościowych i stał się w miarę

jednolitym etnicznie konglomeratem państw chrześcijańskich o grecko-rzymskich podstawach kulturowych. Jedyne istotne rozbitcie tej jednolitości (ale bez ruchów migracyjnych) zaistniało w początkach drugiego tysiąclecia. Był nim rozłam w kościele chrześcijańskim, który podzielił się (symbolicznie) w 1054 r. na Zachodni – obrządku łacińskiego oraz Wschodni – prawosławny, zaś w pierwszej połowie XVI stulecia reformatorskie ruchy ewangelickie (luteranizm – 1517, anglikanizm – 1534, kalwinizm – 1536) doprowadziły do oddzielenia się na Zachodzie znacznych grup ludnościowych od podlegających papieżowi katolików.

Tak ukształtowana struktura wyznaniowa państw europejskich utrzymała się aż do czasów dzisiejszych (do przełomu wieków XX i XXI) i w nią wbudowały się Polska i Węgry w drugiej połowie X stulecia, po przyjęciu chrześcijaństwa rytu rzymskiego: Polska w 966, a Węgry w 972 r. I właśnie ta Europa musiała przeciwstawiać się w ciągu całego drugiego tysiąclecia szeregowi zagrożeń (tatarskich, imperium osmańskiego) mogących doprowadzić do jej potrójnego przeobrażenia: religijnego, kulturowego oraz etnicznego, a więc do jej cywilizacyjnego unicestwienia.

Jakże jednak świat zmienił się w ubiegłym stuleciu! Moje dzieciństwo – tak jak życie wszystkich Polaków i jak życie całej Europy – zostało kompletnie potargane przez nazizm. Okres młodości przeżyłem, podobnie jak cała Europa Wschodnia, pod chmurami drugiego, morderczego systemu totalitarnego, jakim był komunizm. Po upadku i tego systemu oraz po cezurze lat 1989/1990 wydawało się, że następuje okres szczęśliwości, stopniowe łączenie się naszych krajów, uwolnionych z oków komunizmu, z państwami Europy Zachodniej, poprzez wejście do NATO i do Unii Europejskiej. A więc miało to być zapewnienie bezpieczeństwa, spokoju i stopniowy wzrost dobrobytu. Miało tak być pomimo ostrzeżenia jednego z założycieli Wspólnoty Węgla i Stali (poprzednika Unii Europejskiej) – francuskiego ministra spraw zagranicznych, Roberta Schumana – iż „Europa albo pozostanie chrześcijańska, albo jej w ogóle nie będzie”. Mówił on tak jeszcze w ubiegłym wieku, kiedy to liberalizm, zrodzony w XVIII stuleciu jako naturalny prąd umysłowy ludzkości nie zaczął przekształcać się, pod wpływem magii pieniądza, w swoje przeciwieństwo, by stać się na przełomie wieków XX i XXI nowym, trzecim systemem totalitarnym, globalizmem, dążącym do przejęcia władzy na Światem, poczynając od Europy.

Podsumowując ten ogólny stan, trzeba stwierdzić, że Europie zagraża – wspomniana – globalistyczna neoliberalna polityka światowej elity finansowej. Jej celem jest gospodarcze obezwładnienie i podporządkowanie

sobie poszczególnych krajów i całego kontynentu europejskiego, a także zastąpienie kultur, religii chrześcijańskich i tradycji narodowych przez prądy idące zza Atlantyku, przynoszące im zagładę. Poza tym olbrzymia i nasilająca się nielegalna wędrówka do Europy ludów o zupełnie innej kulturze i innej religii (jak islam nietolerancyjnej w stosunku do innych wierzeń), prowadzi do powstania zasadniczych zmian w strukturach etnicznych, kulturowych i religijnych Europy, co zauważalne jest już i teraz w szeregu zachodnich krajów tego kontynentu (jak Niemcy, Francja, Szwecja, Belgia czy Holandia, a docelowo miałyby być to również państwa Europy Środkowo-Wschodniej). Nowoczesna wędrówka ludów dni dzisiejszych – rozpoczęta po ponad tysiącu lat od poprzednich – to gigantyczne przedsięwzięcie, wymagające niesłychanie wielkich nakładów finansowych oraz rozbudowanej międzynarodowo organizacji, połączonych z przekupstwem polityków, naukowców oraz mediów, by stworzyć przekonanie, iż jest to jedyna droga dalszego rozwoju Świata. Niebezpieczeństwa zagrażającego Europie nie można zatem rozumieć inaczej, jak tylko, że jest to prowadzony czterema głównymi kanałami – gospodarczym, kulturowym, religijnym i migracyjno-nasiedleńczym – zmasowany atak ukrytych światowych, globalistycznych elit finansowych na tradycyjną Europę narodów, a w tych ramach i na unię europejskich narodów, celem zmiany ich tożsamości. Opiera się tym zamiarom już tylko środkowo-wschodnia część kontynentu.

Dlatego tom *Co przyniesiesz XXI wieku* zawiera wiersze, które napisałem w ostatnim okresie (jakkolwiek nie tylko), w obronie bytu dotychczasowej, chrześcijańskiej Europy i dla zwrócenia uwagi na olbrzymi kryzys Świata danego nam przez poprzednie pokolenia do godziwego życia. Ten charakter tomu podkreślają również posłowania krytyków – węgierskiego i dwóch polskich. Poza tym zamieściłem w posłowie także fragmenty eseju *O roli i zadaniach poety w XXI stuleciu*. Ów esej jest motorem mojego działania, podobnie jak trzy wydane wcześniej książki: *Polska i Węgry jako przedmurze chrześcijańskiej Europy w dawnych wiekach i dziś* (Wyd. Méry Ratio, Budapeszt 2016), *Stacje ludzkiego sprzeciwu* (Wyd. Magyar Napló, Budapeszt 2018) oraz *Polska i Węgry w obronie Europy* (Wyd. Írott Szó Alapítvány, Budapeszt 2019).

Tom, o którym mowa, to zatem równocześnie apel do ludzi pióra o obronę tradycyjnej, chrześcijańskiej Europy. Jest to nasza, wspólna misja czasu teraźniejszego, która dotyczy całej intelektualnej czołówki europejskich narodów, ponieważ poszerzyła się ta warstwa wszystkich społeczeństw. Niezależnie od tego „ludzie pióra, poeci, powinni być w pierwszej linii

obrońców cywilizacyjnych i etycznych wartości naszego kontynentu, gdyż właśnie oni, docierając w trakcie aktów twórczych niczym nie krępowaną wyobraźnią do samych głębin istnienia i posługując się językiem literackim, językiem poezji, jako mową szczególną, pełną przesyłanej wirtualnie świata skondensowanej ekspresji i duchowego dynamitu, są w stanie najskuteczniej poruszać serca i umysły, wzywać do działania”.

Matka Boska bez dłoni

*w nocy 6-7 lutego 2021 r. w Częstochowie
pozbawiono dłoni pomnik Matki Boskiej*

Matko Boska bezbronny pomniku
choć pozbawiony dłoni
módl się za nas
za mądrą Polskę
za zbawienie narodu

Matko Boska częstochowska
z odciętymi ciemną nocą rękoma
oświeć sprawcę
bo nie wiedział co czyni

i króluj nam nadal świetliście
by mógł powtórzyć się Grunwald
powtórzyć wiedeńska chwała Sobieskiego
i cud nad Wisłą
triumf nad komuną

wszak znów zbierają się coraz ciemniejsze chmury
wichry rąk ludzkich krzyże w szkołach zrywają
w duszach wzniesają pożary
kościół na meczety zmieniają
aby Bóg stał się relatywny
by kłamstwo zapanowało nad światem

Matko Boska bez dłoni
stań w jednym szeregu
z pozbawioną ojczyzny Matką z Ostrej Bramy
z Matką Katyńską
tulącą przestrzeloną czaszkę i mego ojca
i przebacz Polsce przebacz też Europie
że odchodzą od ciebie
wołą nienawiść od miłości Boga

Konrad Sutarski, 2021



Mewa. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Grzegorz Walczak

Uchem amatora, ale nie profana

Był to całkiem interesujący koncert muzyki współczesnej, oczywiście nie dla tych, którzy muzykę współczesną słyszeli tylko w rymie w czasie ulewy. Wbrew pozorom, nie jest to jedynie uszczypliwość wobec zagorzałych fanów disco-polo albo na przykład operetki, którzy z kolei nie mają zrozumienia dla poszukiwaczy bardziej radykalnych a niezwykłych rozwiązań w muzyce eksperymentalnej. Z takimi właśnie rozwiązaniami spotkaliśmy się już w pierwszym utworze koncertu *Oddźwięki* online na Youtube w wykonaniu zespołu Sinfonia Varsovia.

Oddźwięki rozumiem jako to, co się odbija w dźwiękach, lub jeszcze lepiej – jako odpryski dźwięków. Pojmowanie neologizmów jest zresztą kwestią dość indywidualną, podobnie jak odbieranie muzyki. Tytuł ten bardzo dobrze stosuje się do przyciągającej swą oryginalnością propozycji przekazu muzycznego Teoniki Rozynek. Utwór swój – powiem „uczenie” – kompozytorka wygenerowała z bardzo sprytnie skonstruowanych ciągów szmerów (trzaski, szumy i właśnie „oddźwięki” nietonowe) wydobytych z pulpity do nut, potraktowanych przez muzyków jako instrumenty.

W samym tworzywie kryje się cała tajemnica. Tę muzyczną materię, ten „budulec”, stanowią szmery – ex definitione – nieregularne, bliskie odgłosom instrumentów perkusyjnych, ale też i świszczących „poszumnych” skrzypiec. I te *nieregularne* odgłosy o nieokreślonej wysokości dźwięku, zestawiane celowo w ciągi o właściwie dobranej barwie i powtarzalnych fazach natężenia, tj. odpowiednio zaplanowanych kulminacjach i wyciszeniach – stworzyły *regularną* akustyczną strukturę artystyczną. Dało to efekt niespotykanej muzyki, zaprojektowanej na przedmioty użytkowe podniesione do rangi instrumentów muzycznych. Dla współczesnego kompozytora może to nic niezwykłego, ale dla nienawykłego do tego typu eksperymentów słuchacza było to spotkanie z odrębnym, oryginalnym językiem muzycznego przekazu. Tak jak możemy powtórzyć za Szekspirem, że „świat jest teatrem, a aktorami ludzie”, podobnie, posługując się tego typu metaforą i wsłuchując się w odgłosy świata, można by powiedzieć, że wszystko jest muzyką, a instrumentami wszystko to, czego dotknie nasza akustyczna wyobraźnia.

W drugiej części koncertu Sofija Gubajdulina zaproponowała bardziej soczysty dźwiękowo, w zestawieniu z pierwszą propozycją, utwór instrumentalny, w którym już poza skrzypcami (i poza nowatorskimi quasi instrumentami, jakimi w pierwszym utworze były pulpity) dominowały instrumenty dęte. Tu już się dało usłyszeć opowieść z różnymi tajemnicami i zmianami nastroju.

Trzeci fragment koncertu wypełnił utwór z 1961 r. Włodzimierza Kotońskiego (1925-2014) – pierwszego polskiego twórcy muzyki elektronicznej. W niektórych partiach instrumentalnych nastąpiło tu jeszcze większe niż w poprzednich utworach wzmocnienie ekspresji przy ograniczeniu liczby instrumentów. Kompozytor posłużył się swoistym, zamierzonym nieporządkiem struktury muzycznej w jej efektownym działaniu. Jak na zbyt tradycyjne gusta laików, mało w tym regularności i powtarzalności, co by mogło sugerować prekursorskie elementy postmodernizmu w muzyce, którego nazwa w chwili premiery tego utworu jeszcze nawet nie była znana.

W moim przeświadczeniu przejawia się tu jednak wyraźnie koncepcja różnorodności i zagubienia racjonalnego charakteru liniowego przebiegu ciągu muzycznego. Jeśli jest w przebiegu muzycznym dzieła jakiś rozwój, to nieuporządkowany, a nawet trudno by powiedzieć, że koncentryczny, który się na przykład daje zaobserwować w symfonii (czwarty utwór koncertu) Edwarda Sielickiego, z jego klamrowym nawrotem w ostatniej części utworu. I choć pan Edward przyznaje się do postmodernizmu, który się objawia w polistyliźmie jego twórczości, z charakterystycznymi momentami aleatoryzmu (świadomego korzystania z przypadkowości w toku odtwórczym), w moim przekonaniu wznosi się on ponad przypisywaną sobie konwencję, podobnie jak w literaturze Emil Zola w swej twórczej realistycznej praktyce przewyżczał ograniczenia propagowanego przez siebie naturalizmu lub Stanisław Grochowiak był kimś znacznie więcej niż turpistą w poezji.

Już początkowe beztroskie falowania z określoną i konsekwentną pulsacją muzyczną ujawniają wyraźny ukierunkowany rozwój jego symfonii. Przez wysepki, przeszkody i meandry przebija się rzeka dźwięków Sielickiego ku czemuś precyzyjnie zaplanowanemu. Jest to najbardziej spójne dzieło tego wieczoru, nie licząc specyficznego eksperymentu Teoniki Rożynek. I nie stoją temu na przeszkodzie, lecz pięknie się wtapiają w całość, solowe, improwizacyjne igraszki kompozytora na jego elektroakustycznym instrumentarium. Te fikuśne a zgrabne igraszki niepostrzeżenie i płynnie

podchwytuje orkiestra. Najbardziej mnie jednak urzekła niezwykle subtelna, dyskretna fraza fortepianu i harfy z poszelestem skrzypiec w takiej intymnej fazie przyczajenia przed nawrotem fali rozpoznawalnej już wcześniejszej ekspresji. Zaryzykowałbym osąd, że najnowszy utwór Edwarda Sielickiego – jak już mówimy o fazach – stanowi najdojrzalszą fazę jego twórczości.

Sinfonia Varsovia, koncert *Oddźwięki*, Rozynek, Gubajdulina, Kotoński, Sielicki.

Youtube, 13 marca 2021 r., godz. 20.00.



Pień. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Piotr Wojciechowski

Koniec Niespadów

(notatki z pracy nad tekstem)

Motto: *Każdy cytat da się dopasować do każdego eseju. To dowodzi, że sztuka eseju gwarantuje jedność świata istniejącego i pomyślanego, a także jedność samego poznania.*

Jeremiasz Apollon Hytz¹, *Notatniki odnalezione*.
Wydawnictwo Ochotniczej Straży Pożarnej
w Pustyni

– Musisz zawsze zaczynać od dziewczyn?

– Oczywiście. Wtedy, kiedy uwalniam się od bieżącego załatwiania spraw domowych, lekarskich, publicystycznych, spraw wszelkich, kiedy mogę z sympatią myśleć o myśleniu, w słowo wpada mi gatunek *Homo sapiens* ze swoimi instynktami, w słowo wpada mi plemię z bagażem plemiennych archetypów i już one są – dziewczyny. Gatunek naprowadza na trop – aby mogło pojawić się potomstwo.

– I to jest ten trop? Niewidoma Greta? – spytał Rolf Michalik. Tylko pokiwałem głową, że tak. Bo zajęty byłem dolewaniem do szklaneczek Rolfa, Allana Kallenberga i Otara Rakatiana.

Greta, grająca na waltorni w orkiestrze dętej kopalni węgla kamiennego Niespady. Nosząca w łonie dziecko z gwałtu poczęte w kuchni młodziemżowego klubu muzycznego w Świerklańcu. Porzucona – ze względu na tę ciążę – przez redaktora poetyckiego pisemka. W oddalającym się z chyżością wichru świecie była już tylko punkcikiem. Pisałem – w zamiarze tylko – opowieść o człowieku, który kieruje całą machiną likwidacji kopalni Niespady. Ma na głowie kredyty, dotacje, ubezpieczenia, odszkodowania, dożywotnie renty. Ekologię zagospodarowania hałd, sprzedaż zapasów zwałowanego węgla. Likwidacja górniczej orkiestry dętej to nawet nie był ułamek promila. A w tej orkiestrze Greta była kim? Pyłek, prawda?

– Dobrze znasz się na kopalniach? Na likwidacji i w ogóle? – spytał Rakatian. Spojrzałem mu w oczy. Był znajomym Kallenberga z amerykańskich uniwersytetów, zruszczonym Dagestańczykiem. Drobny, smagły

1 Postać J.A. Hytza przypominał przystępnie Śledź Otrembus Podgrobelski we: *Wstęp do imagineskopii*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.

czterdziestolatek z opinią geniusza matematycznego. Pałętał się po Warszawie, jakby kogoś szukał. Nie chciało mi się tłumaczyć mu czegokolwiek, ale Kallenberg najwyraźniej był ciekaw, co odpowiem. Tak patrzył.

– Panowie, to są proste rzeczy. Jakbym chciał, nauczyłbym się tego wszystkiego w miesiąc. Ale mi nie zależy. Nie będę tego pisał. A ten doktor ekonomii, który ma kierować likwidacją, on sam ma małe pojęcie o kopalniach i likwidacji przedsiębiorstw. On jeden się podjął, bo chyba tylko on sądził, że to się w ogóle da zrobić. Ale to jest jakby wylądować w amazońskiej puszczy, wejść do wioski zamieszkałej od tysiąca lat przez indiańskie plemię i powiedzieć: już nie jesteście plemieniem. Rozwiązuję was. Możecie się wynieść lub zostać, ale z plemieniem – koniec.

– Wydaje się, że ci Indianie z kopalni Niespady najbardziej będą żałować plemiennych świąt – powiedział Allan Kallenberg. – Póki należysz do plemienia, nie boisz się czasu. Plemię dopilnuje, aby były święta we właściwą porę. Jadę do Murzasichla koło Zakopanego i wiem, kiedy tam jest odpust, kiedy festiwal muzyki ludowej w Bukowinie. Jestem zaproszony do obecności w czasie. Istnieję.

– Czekaj, Allan, tu jest coś więcej – wtrącił się Rakatian. – Święto wskazuje na moce. Czyjaś moc ustanawia termin święta i scenariusz obrzędów. W Dagestanie nie możesz robić wesela, kiedy chcesz. Tak samo jak nie możesz w środku zimy wygnąć owiec na górskie łąki. I jest jeszcze moc, którą błagasz obchodząc święto. Błagasz wiosnę, aby przyszła, bo kończy ci się pasza.

– Dziękuję, Otar – powiedziałem i to było szczere. Wyjaśniłem im obydwo, że tak właśnie na skróty doszli do podstawowej relacji, nieustannego zmagania się z żywiołami. To jest to, co człowieka plemiennego trzyma w plemieniu – wspólne ujarzmianie wody, mrozu, głodu. Wspólne świętowanie dla mocy rządzących huraganem i powodzią, epidemią i jadowitymi węzami. Czwarty grudnia. Pszów, Rydułtowy albo Racibórz. Greta ze swoją waltornią gra ku czci świętej Barbary, jest ważną osobą w świecie szamana. Ale tylko do czasu. Kiedy wojownicy węgla nie zjadą na dół, kiedy nie będzie im groził zawał na przodku czy wybuch metanu, świętowanie Barbary nie będzie tak bardzo serio. Może nawet być bez orkiestry.

Rolf Michalak nie chciał kontynuować tej rozmowy, był zmęczony, przypomniał, że przyszliśmy posłuchać kwartetów Haydna.

I słuchaliśmy.

Wyszliśmy potem od Michalika i poszli we trzech ścieżką wzdłuż trasy nadwiślańskiej w stronę mostu. Przy teatrze Powszechnym Rakatian

pożegnał się w pośpiechu i popędził na przystanek. Kogoś zobaczył, może mu się wydało. Od Wedla pachniało czekoladą.

Przypomniałem Allanowi, co nam Michalik powiedział na pożegnanie. Wsiadł z nami do windy, żeby nam to powiedzieć:

Dzięki, że przyszliście. Młodzi się wyprowadzili ode mnie. Krótko mieszkaliśmy razem, ale przywykłem i zrobiło się pusto. Przyjaciele przychodzą i jest plemię. W plemiennym ustroju żyliśmy około 200 tysięcy lat, to nas stworzyło. Historia zaczęła się niedawno, hadko żyć bez plemienia. Bóg z plemienia zrobił sobie Naród, potem wkroczył w historię pełną narodów, to pewnie tak ma być. Alleluja!

Wielki Tydzień. To było w Wielkim Tygodniu, stąd to alleluja. Odprowadziłem Allana Kallenbergę na Francuską, był umówiony w kawiarni. Zieleniecką, to kawał drogi. Pozwoliłem mu mówić o człowieku współczesnej cywilizacji cyfrowej i człowieku plemiennym. Pamiętałem, że jest w sytuacji zamętu. Błyskotliwa kariera naukowa szła u niego po kursie kolizyjnym, na czołówkę. Szło ku temu, że zderzy się z życiem uczuciowym. Co przykre dla dobiegającego pięćdziesiątki niewysokiego mężczyzny, który nie podejrzewał, że życie uczuciowe może mieć dla niego jakieś znaczenie. Mówił mi, idąc w podmuchach arktycznej mżawki, że człowiek plemienny żył w rodzinie. Znał jej strukturę, rodziców, dziadków, rodzeństwo, wujów i ciotki, szwagrów i rodzeństwo szwagrów, pokolenia, koligacje, sąsiadów. Dzień za dniem śledził ich życie, rok za rokiem rozmawiał o zdarzeniach, chorobach i śmierciach, swataniu i narodzinach. Rozmowy oceniały czyny i słowa, żartowały, pamięć jednych wchodziła w konflikty z pamięcią drugich. To było pierońsko gęste, to zlepiało w jakieś continuum setkę czy pięćdziesiąt osób stanowiących rodzinę. Każdy widział innych i był widziany, wiedział też, że więzy sąsiedztwa znajomości, pokrewieństwa, wspólnych działań wiążą go – jak i każdą osobę z rodziny, także z plemieniem, które mogło mieć pięćset czy pięć tysięcy głów. Plemię miało swoją niewidzialną granicę – wewnątrz byli swoi, na zewnątrz obcy.

– Niekoniecznie wrogowie, prawda? – wtrąciłem się.

– Oczywiście! – potwierdził skwapliwie i ponownie powiedział: – Oczywiście. Bo jeśli mnie, człowiekowi cyfrowemu, każą objąć wszystkie istoty ludzkie akceptacją, tolerancją czy nawet braterstwem, jeśli mi mówią, że nikt nie jest obcy, to ja to przyjmuję. I natychmiast ogarnia mnie

puszka. Bo nikt już nie jest obcy, ale także nikt nie jest swój. Pożera mnie żywioł tłumu. Tłum wypływa mnie w samotność.

– Przesadzasz. Siedzieliśmy u profesora Michalika przy dobrym winie, słuchaliśmy Haydna. Byłeś wśród swoich.

– Tak – westchnął Kallenberg. – To rozdzierająca prawda. Siedziałem i słuchałem zraniony i odrzucony. Wśród swoich. Ale tu. Patrz! W tej kieszeni mam bilet do Perth w Australii. Lecimy z Rakatianem na sympozjum w Murdoch University. A tu w teczce mam laptopa, a w nim wezwanie od szefów Trinity College w Utah, muszę wracać do moich studentów seminaryjnych. Byłem u Michalika, ale nie poznałem jego syna, ani synowej, słyszałem, dziewczyna ze Lwowa. Nie było czasu. A co ja o tobie wiem? Chwilowe wszystko, porwane, migawkowe. Nie karczowaliśmy razem lasu. Nie łowiliśmy ryb obok siebie przez dziesięciolecia. Ja nie mam życia. Ja mam poczekalnię, w której ludzie mijają się, ocierają, znikają. Ja sam tracę ciągłość bycia sobą. Ktoś bardzo mi bliski spytał: czego ty chcesz, Allan?

– Powinieneś powiedzieć: chcę mieć z tobą synów i córki. Jakbyś był człowiekiem plemiennym, wiedziałbyś, że plemię żąda od rodziny, aby dawała chłopców na łowców i wojowników, aby dawała płodne matki. Taka jest umowa, plemię wspiera rodzinę, pomaga przetrwać głód i huragany, plemię zaprasza ją na święto. Ale rodzina ma rodzić – stąd nazwa. Czujesz w sobie plemię?

– Nie, dziurę! – westchnął po chwili Allan. – Dziurę mam, z której wyrwano mi plemienność, istotny fundament mojej osoby. Sam sobie obcy, kula bilardowa. Zna kij, objaja się. Ale nie zna marchewki. Nie zna tego smaku.

– A kultura?

– Tak, u Michalika powinienem bardziej nasładzać się Haydnem. Tam były wagony marchwi. Ale wiesz, na uczelni się dziczeje. Im bardziej prestiżowa uczelnia, tym szybciej robi z ciebie cyfrowego barbarzyńcę. Tu jest ta kafeja. Biegnę, bo jestem spóźniony.

Allan Kallenberg wszedł do kawiarni. Zajrzałem niedyskretnie przez szybę w drzwiach, ostatecznie autor ma jakieś prawo do swoich postaci. Zobaczyłem, jak Allan wita się z wysoką kobietą w szarej opończy z kapturem. Zdjęła zielonkawy szal i położyła go na oparciu krzesła, a potem pocałowała Allana w policzek. Był zaskoczony. Musiałem iść. A nawet biec, bo autobus właśnie nadjechał.

Wieczorem rozmawiałem o Allanie z moim plemieniem. Beatrycze słuchała nieuważnie, zaraz dowiedziałem się, dlaczego nieuważnie.

– Wiesz, wymyśliłam do twojego tekstu coś ważnego – powiedziała z miną osoby, która upolowała zwierzynę nadającą się na pieczeń. – Kogo szuka w Warszawie Otar Rakatian. Jego starszy brat jest tak jak on fenomenalnie uzdolniony muzycznie i matematycznie. Był w rosyjskiej armii w komórce szyfrowej. A kiedy Polska pozbywała się stacjonujących u nas rosyjskich jednostek, major Erakli Rakatian zdezerterował. Chciał tu zostać i został. Ukrył się, bo żadna armia nie lubi, kiedy oficerowie szyfrowi znikają bez śladu. Ukrył się bardzo dobrze. Ale teraz, po latach jakoś wieść o nim dotarła do brata. I brat szuka...

– Nie biorę tego od ciebie. Piękne i zapewne melodramatem podszyte. Nie biorę jednak, ze względu na prawa autorskie. Musisz mi to opowiedzieć inaczej. Tak, jakbyś nie wymyśliła tego, ale dowiedziała się. A może to ty spotkałaś majora Erakli Rakatiana?

Beatrycze posmutniała, piękniejąc tajemniczo.

– Pomyślę i opowiem ci wieczorem, jak wpadłam na trop. Albo nie opowiem. Przecież Otar nie będzie chciał zaprowadzić agentów na trop dezertera. Z całych sił nie będzie chciał spotkać Erakli. A do tego lepiej wyrzuc ten wątek z eseju. I tak mówią, że masz obsesję na temat imperialnych mocy Wschodu.

– Nikt tak nie mówi. Nie mam żadnej obsesji. Trochę doświadczeń.

– Mówią – uparła się Beatrycze z szelmowskim uśmiechem, który ją znowu upiększył.

Tu dalsza część plemienia przerwała pożeranie sztukamięsu z chrzanem i zwróciła uwagę, że nie należy się przejmować tym, co gadają. A także nie należy się martwić, że nie gadają nic.

Następnego dnia rano dostałem od Rakatiana list, przyszedł na komputer. Listy na komputer przychodzą z wyrokiem śmierci, a papierowe leżą i żyją. Rakatian nie odnalazł osoby, którą spodziewał się spotkać w Warszawie, ale zostaje jeszcze. Chciał jednak dodać do naszej rozmowy, że w plemiennych obszarach Kaukazu kucharz, który zgwałcił Gretę, miałby zapewnioną przyszłość. Usłyszałyby od brata czy kuzyna zgwałconej: mój kindżał prosi o twoje serce. I potem już tylko mówiono by o nim i jego biednej matce. A redaktor pisma poetyckiego nie odmówiłby ożenku zgwałconej, bo wiedziałby, że odmowa byłaby klęską ekonomiczną rodziny. Owce nie wróciłyby z pastwisk. I mówiono by: Tam w tym roku było dużo wilków, nieszczęście. Chyba na Kaukazie mają jakąś ciągłość do tradycji, większą niż ludzie cyfrowi Warszawy.

Przeczytałem list Otara mojemu plemieniu przy stole biesiadnym trzeciego dnia świąt, a Beatrycze natychmiast zauważyła, że zmuszanie Grety, aby poślubiła poetę-redaktora, byłoby żądaniem od niej heroizmu. Kuzyn Teodozjusz, który przyjechał ze śródleśnego majątku Hojny (może Chojny, pisują i tak), usłyszał to, czytając na dość odległej od uczty kanapie. Nie siedział z nami, bo przeżarł się przez dwa minione święte dni. Na kanapie czytał książkę księdza Tischnera, którą ostatnio wydał „Znak”, to co najważniejsze zebrano w książce pod tytułem „To co najważniejsze”.² Teodozjusz czytał właśnie o heroizmie, ołówkiem pozakreślał ważne miejsca, mam więc teraz gotowe cytaty, bo co jest wart esej bez cytatów. „...dobro ma być trwałe, absolutne, niezaprzeczalne. Trzeba mu tylko umożliwić powstanie. Przeświadczenie o kruchości świata zła i o zasadniczej możliwości dobra jest źródłem optymizmu tak znamienne dla nadziei. [...] Człowiek jest zdolny do heroizmu tylko w imię jakiejś nadziei [...] Być heroicznym w marzeniu to znaczy wciąż jeszcze nie być heroicznym w rzeczywistości. Być heroicznym we wspomnieniu to znaczy już nie być heroicznym [...] Prawdziwy heroizm dopełnia się w teraźniejszości uformowanej przez nadzieję [...] Dla heroizmu instancją o najwyższym znaczeniu jest teraźniejszość. Idzie o to, by dokonać wyboru w teraźniejszości”.

Kuzyn z Chojnów sprowokował dyskusję o związkach heroizmu z nadzieją i poczuciem tragiczności bytu – bo tak to wiązał ksiądz profesor z Łopusznej. Doszliśmy do ciekawych konkluzji i jeśli porzuciłem inne wątki, a zostaję przy tym, wybaczenie górniczy z KWK „Niespady”, to dlatego, że chciałem do sprawy wrócić w rozmowie z Kallenbergiem i Rakatiem, a oni szast-prast polecieli do Australii.

– Słuchaj, wujek! – perorował Teo. – Słuchaj – um, um, um! Ten praindoeuropejski językowy element pulsuje basowym mruczeniem w recytacjach tybetańskich lamów Om mani padme hum. A przecież my go mamy pełno w języku. Umiejętność, rozum, umysł – a w końcu – sumienie. Twój kum Andrzej zawsze twierdzi, że grzech pierworodny jest dzieckiem sumienia. Ewolucyjnie człowiek dojrzał do dobra i zła, gdy osiągnął całą pełnię człowieczych możliwości – od okrucieństwa i podłości na dole do świętości, heroizmu, geniuszu technologicznego i artystycznego na górze. Człowiek plemienny miał wiedzę pochodzącą bezpośrednio z doświadczenia. Kiedy na własnej skórze doświadczył ludzkiej podłości, kiedy spotkał czyjś

2 Józef Tischner, *To co najważniejsze*, wybór i opracowanie Wojciech Bonowicz. Wydawnictwo „Znak” Kraków 2021. Cytaty pochodzą z eseju *Wiązania nadziei*, napisanego w 1973 roku, roku urodzenia Teodozjusza.

geniusz, kiedy sam poczuł dumę ze swojego heroizmu, sam zawstydził się swoim okrucieństwem, musiał skonstruować w mózgu taką sieć powiązań neuronowych, która okazała się sumieniem, sUMieniem. I aby to odkrycie przekazać innym, zaczął powtarzać innym przypowieść o Adamie i Ewie, potem krzepnącą w adamiczny mit założycielski. Zło było przeciw rozumowi! Gdyby Adam i Ewa zobaczyli, jak waż wchodzi na Drzewo Dobra i Zła i wyjada co bardziej dojrzałe owoce, poszliby za jego przykładem i Bóg nie miałby do nich pretensji. Skorzystali z Bożego daru zmysłów i dokonali obserwacji. A potem skorzystali z Bożego daru rozUMu i wyciągnęli wnioski.

– Ale tak nie było – wtrąciła któraś z kuzynek.

– Ha! – ucieszył się Teo. – Nie było tak, było wbrew rozumowi. Zamiast słuchać kogoś mądrego, posłuchali durnego zwierza. I tak powstała ta piękna przestroga. A plemienny człowiek, którego losy rzuciły potem w rwący nurt historii, miał ze sobą koło ratunkowe sumienia.

Tu w zasadzie kończą się notatki do tekstu o muzycznie uzdolnionej Grecie. Jestem umówiony na kwartety Haydna u profesora Rolfa Michalika. Może znajdę tam partnerów do rozmowy o szansach człowieka ery cyfrowej borykającego się z tęsknotą za plemieniem w warunkach – widzicie, widzisz, Teodozjuszu, jakie są warunki. Jak to powiedział Allan? – Sam sobie obcy.

Piotr Wojciechowski



Bluszcz. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Tomasz Kosik

W głąb ludzkiej natury

Krzysztof Beśka należy do grona tych pisarzy, którzy potrafią zaciękać nie tylko intrygującą historią, lecz także sposobem jej przedstawienia. Po lekturze wcześniejszych książek byłem pewien, że to tylko kwestia czasu, kiedy sięgnę po kolejny kryminał jego autorstwa. I oto do moich rąk trafiła książka, która utwierdza mnie w przekonaniu, że pisarz doskonale poprowadzi po meandrach ludzkiej natury, ukazując jej najmroczniejszą stronę. *Duchy rzeki Pregel* to mocny kryminał, o którym nie można zapomnieć, gdyż jego fabuła wżera się w umysł.

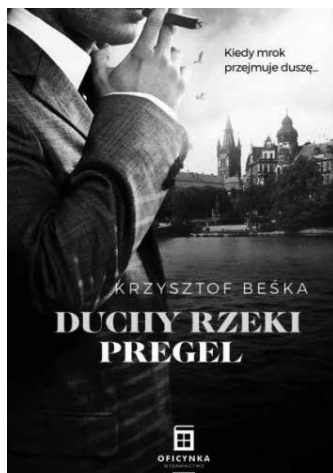
Detektyw Stanisław Berg, główny bohater powieści, zakończył właśnie sprawę małżeńskiej zdrady, jednak teraz przed nim prawdziwe wyzwanie. Musi rozwikłać zagadkę zbrodni. A wszystko zaczyna się, gdy czwórka studentów podczas spaceru odnajduje zwłoki kobiety pływające w Zamkowym Stawie w Königsbergu. Zbrodnia okazuje się najmroczniejszą sprawą Berga, musi wkroczyć w głąb ludzkiej natury, jej najciemniejszej strony skrywającej sekrety przyprawiające o ciarki na plecach.

Krzysztof Beśka doskonale dawkuje emocje, a jego pisarski styl sprawia, że nie jesteśmy w stanie oderwać się od chęci poznawania kolejnych elementów śledztwa. Śledztwa, którego atmosfera daje się nam we znaki, a finał pozostawi niezmazalny ślad. Autor napisał kolejny ambitny kryminał, który nie tylko dotyczy kwestii morderstwa, lecz porusza wiele aspektów związanych ze zbrodnią. A to wszystko w wyjątkowym stylu, gwarantującym czytelnikowi wiele emocji w prowadzeniu dochodzenia, zmierzającego do poznania personaliów mordercy.

Zdecydowanie polecam tę książkę. Dzięki niej zaaplikujecie sobie morderczą adrenalinę. A przecież o to w dobrym kryminale chodzi.

Źródło: <http://www.czyt-nik.pl>

Krzysztof Beśka, *Duchy rzeki Pregel*,
Wydawnictwo Oficynka, 2020.
Stron 200. ISBN: 978-83-66613-23-2



Irena Kukuszka-Glinka

Piramidalna złożoność recepcji

Kim jest autor?

Z mojego oglądu wynika, że Adam Kulik jest poetą (jakkolwiek, ogólnie, różnorodnie o nim się mówi: filmowiec, reportażysta, dokumentalista, regionalista, fotografik, biograf, napisał też kilka utworów powieściowych: *Lot*, *Grę*, a wcześniej poetycką prozę pt. *Pejzaże z Panem Lemonem*).

Który z opisów Adama Kulika jest prawdziwy? Poeta, animator – twórca osoba z multidyscyplinarną wiedzą, która dotyczy wielu aspektów rzeczywistości. Renesansowy człowiek. Humanista. To uporządkowana, solidnie zbudowana osoba, której preferencje poznawcze zdają się wskazywać na predylekcję do porządkowania stanu wiedzy, a nie do eksperymentowania z chaosem na kanwie literatury; na szukanie sensów i znaczeń, nie zaś na skłonność do podważania adekwatności pojęć względem rzeczywistości, bądź do kwestionowania tezy, że świat jest opisywalny... Skąd ten poznawczy dysonans – dlaczego *Gra* wydaje mi się sprzeczna z osobą Kulika i od lat niepokoi? Czyżby twórca miał za sobą przełom, a eksperymenty związane z *Gry* poetyką zostały „aktywnie puszczone w niepamięć”?

[Byłoby się za daleko nie posunąć w suponowaniu, że autor nie mówi, co chciał powiedzieć – gdyż jest mówiony przez to, co tworzy; krytyka niemethodyczna wyraża „sprzeciw wobec idei, że tekst może powiedzieć coś, co sam chce powiedzieć”]

Czasem się twórca nie przyznaje do tego, co robił za młodu, niekiedy – wraz z wewnętrznym samorozwojem (typu *Bildungsroman*?) – zachodzi potrzeba, aby wyrosnąć z teorii siebie samego, jaką się lansowało na wcześniejszych etapach dochodzenia do siebie (tak było z Wittgensteinem, Derridą¹; tak było z wieloma artystami, tak mogło się też przydarzyć i Kulikowi).

Lecz Adam Kulik nie tylko że się przyznaje do swych literackich dokonań, ale w tekście powielonym i dodawanym do niewyczerpanego, jak się okazuje, nakładu *Gry* (a był całkiem spory, jak na owe czasy, tysiąc

1 *Filozofia jako rodzaj pisarstwa, esej o Derridzie*, [w:] R. Rorty, *Konsekwencje pragmatyzmu*, s. 133-156.

egzemplarzy) – nazywa „dwie powieści [Lot oraz Grę] i dołączone do nich [rozstrzelenie moje – I.G.] wiersze bohatera książki, «trylogią»” – występując jako... krytyk samego siebie. To ciekawy, nietypowy zabieg, który obrazuje niedosyt rozmowy na temat kluczowej dla owego zestawu tekstów *Gry*.²

Jedno wiem niewątpliwie: Adam Kulik jest pewien, że *Grze* czas nie zrobił, a nawet że czas za *Grą* oręduje. Wypadałoby więc pójść tropem, że *Gra* stanowi książkę niedoczytaną.

Jak czytać?

Przy takim uściśleniu nie ma powodów, by uzasadniać powrót do *Gry* Adama Kulika – która przez wiele lat czekała na wydanie, a i sporo czasu minęło od jej opublikowania. Może niebezzasadne będzie wspomnienie, iż próba uaktualnienia *Gry* ma związek z parateatralnym działaniem pt. *Specjalne posiedzenie w sprawie poety Adama Kulika*, które zostało zrealizowane pod patronatem Andrzeja Zdunka w Domu Kultury LSM, w Lublinie, 19 maja 2008 r. – w autorskiej konwencji *Scena dla widza*, z udziałem animatorów, amatorów twórczości i środowiskowych sygnatariuszy twórczego przekazu.

Popatrzmy na *Grę* metodycznie. We wkladce do książki autor pokrótce opisuje jej perypetie a i koneksje literackie, które by mogły się przyczynić do trafniejszego odczytania – czyniąc ją tym samym łatwiejszą w odbiorze. Pojawia się też kilka metatekstowych uwag na temat literackiego warsztatu. Otrzymujemy w efekcie coś w rodzaju palimpsestu – wypowiedź o książce jest zgoła innym utworem na temat tego samego autorskiego przesłania.

[Byleby się za daleko nie posunąć w suponowaniu, że autor nie mówi, co chciał powiedzieć – gdyż jest mówiony przez to, co tworzy...]

Rodzi się wszakże pytanie (ewokowane Heideggerowskim, Deweyowskim i Rortyańskim domniemaniem, iż stanowimy „przypisy do Platona”): czy po to się pisze książkę, by tworzyć przypisy do niej, aby spróbować objaśnić, czym tekst jest, a czym nie jest? Czy sens ma książka, która się realizuje jako parafraza siebie samej – będąc formą zamkniętą dla odbiorcy jako sama opowieść? Ale czy *Gra* to powieść?

2 „Traktujmy zatem to *słowo mocno spóźnione* jako rozmowę z autorem”. Adam Kulik *Słowo od autora* (inedita) – [wkladka do *Gry*].

O co pytać?

We wspomnianym *Insercie* autor stwierdza, że *Gra* nie ma fabuły. Narracja *Gry* utrzymana jest w konwencji strumienia świadomości. Czy rzeczywiście *Gra* nie ma fabuły? Metaforą, która zamyka i otwiera nasze spotkanie z jej bohaterem, jest obraz ilustrujący, że człowiek stoi w oknie wieżowca, a przed jego oczami przewija się film z jego życia.³ Film jest na temat Rzeczywistości. Rzeczywistość to historia. Głównym bohaterem owej Historii jest System – totalitaryzm⁴. System posiada język – to język władzy, odczłowieczenia, agresji, zniewalania, upodlania, przemocy. System posługuje się swą mową (nowomową) w celu odhumanizowania, a przez to – zdominowania ludzkiej istoty.

Czuąc się skonfliktowany z paradygmatem, według którego działa systemowy mechanizm – czuje się jednocześnie na tyle przezeń zniewolony, że rezygnuje ze swej własnej (jak by powiedział Rorty) „gry językowej” – operując komunikatywnym językiem systemu, który nie służy bynajmniej porozumiewaniu się.

Czy jego dezindywidualizacja (dezintegracja nieomal), nie jest więc wypadkową owego niepowodzenia w trzymaniu się norm i reguł warunkujących porozumienie chociażby z sobą samym; norm komunikacyjnych, dających rękojmię uwspólniania własnego opisu rzeczywistości z innymi jej opisami?

Dygujemy *à propos* przedmiotu *Gry*, ale pytanie brzmiało: czy *Gra* na pewno nie ma fabuły, i czy to powieść? Nie wdając się w badania, ani

3 Z wkładki do *Gry* sporządzonej na użytek naszej rozmowy z Autorem wynika, że bohater stoi tam „[...] **po walce** o samego siebie” [pogrubienie moje – I.K.G.]. Relacja z niej (z tej walki), są „dwie powieści i dołączone do nich wiersze bohatera książki”. Autor wyjaśnia to w kontekście wyznania, iż dążąc do uczciwego pokazania rzeczywistości „oczami i myślami bohatera” – raz tylko świadomie użył *stricte literackiego zabiegu*, jakim było „wykreowanie sytuacji napędzającej całą trylogię”, traktując „okno wieżowca” jako „zewnętrzną sytuację”. Być może należałoby zastanowić się nad tym, na ile ów zabieg (pomysł) jest nieadekwatny do zamysłu, jakim jest próba opisu rzeczywistości przez „niekontrolowany strumień myśli”; nie sposób bowiem z r e l a c j o n o w a ć stan umysłu, który jest w szoku. Instrumentalność takiego potraktowania autentycznych w swej wymowie doznań i doświadczeń, impresji, przemyśleń oddanych w języku, który koresponduje z „dezynwolturą zdarzeń” ewidentnie kłóci się z próbą skomponowania spójnej – jakkolwiek polifonicznej – kompozycji.

4 Odredakcyjna notatka na czwartej stronie okładki informuje, że „Głównym bohaterem powieści *Gra* jest czas, totalitarna przestrzeń końca lat 80. w środku Europy”, aczkolwiek sama *Gra* jest datowana podwójnie: „1976-czerwiec 1977 – VI 1984-1987”, *Lot zaś* opublikował Czytelnik w 1985 r.

strukturalistyczną, ani poststrukturalistyczną metodą, wypada zauważyć, że s t r u k t u r a *Gry* stanowi erzac fabuły, a dotyczy to formy tej książki oraz jej kompozycji.

[Byleby się za daleko nie posunąć w suponowaniu, że autor nie mówi, co chciał powiedzieć – gdyż jest mówiony przez to, co tworzy...]

Książka jest napisana bardzo odważnym sposobem. Pojawiła się w czasach, kiedy zaakceptowaliśmy twórczą pomysłowość Vonneguta, a Barth przemysliwał, czym będzie hipertekst.⁵

Jeśli struktura *Gry* jest czymś znaczącym dla jej przesłania, to nie sposób się nie zastanowić, czemu po klamrze wiodącej metafory pojawia się zbiór wierszy Bohatera Książki (cytowanych podczas *Specjalnego posiedzenia w sprawie poety Adama Kulika* bynajmniej nie jako wiersze autora *Gry*).

O ile bohatera pozostawiamy samemu sobie (przyjmując, że d e c y z j a jest jego dramatem), o tyle ów nas nie zostawia z obrazem samego siebie, dając nam „nowszy” swój opis. Gra z czytelnikiem to nie *novum*, ale liczy się styl owej gry – ewokujący pytanie o to, jak głęboko ukryty narrator dedykuje nam grę. A ten nam narzuca konwergencyjne przemyślenia związane z lekturą *Pustelnika z 69 ulicy*, *Ostatniej podróży Sindbada Żeglarsza*, *Daru* czy *Prawdziwego życia* Sebastiana Knighta – pod kątem strategii odbiorcy, wpisanej w tekst.

Przez co patrzeć?

Warto przypomnieć, że kulturalistycznie kojarzona koncepcja Rorty'ego jest nastawiona na dialog⁶. O ile z formą *Gry* możemy dyskutować, o tyle idiosynkrazje bohatera znajdują w wierszach niepolemiczny wyraz: poetów nie poprawia się z wierszy. A każdy nowy wiersz ma szansę opisać nas na nowo⁷ – od nowa ustalając nasze relacje ze światem. Nie będziemy

5 John Barth, *Stan rzeczy*. [w:] „Literatura na świecie” Nr 6/1997, s. 7-23.

6 „Niewielu z czytelników i odbiorców tekstów Rorty'ego decyduje się zaakceptować radykalnie humanistyczny, do szpiku kości historycystyczny i – chciałoby się rzec, nawiązując do socjologii Floriana Znanieckiego – kulturalistyczny światopogląd lansowany przez Rorty'ego, w którym jedynym źródłem oparcia jest właśnie owa «rozmowa». Budzi on u wielu lęk, że „niepowściągnięci przez prawdę błąkami się wśród własnych twórców”. Andrzej Szahaj, *Filozofia i jej problemy jako elementy kultury* [w:] Richard Rorty, *Konsekwencje pragmatyzmu*, s. VII-XVII.

7 „Ponieść porażkę jako poeta – a tym samym, według Nietzschego, porażkę jako istotą ludzką – to przyjąć cudzy opis samego siebie, być wykonawcą wcześniej przygotowanego

dociekać, jakiego rodzaju dylematy zadecydowały o tym, że twórca scedował ich autorstwo na jaźń kreowaną dla potrzeb Gry.

W tym świetle zadanie, jakim była próba opisanie rzeczywistości, siłą rzeczy nie mogło się powieść. Być może *tylko tyle* było do pokazania przez ów kulturowy przekaz – nieomal paradokument miejscami; miejscami zaś tekst testujący granice fikcjonalności⁸ literatury; a fragmentami – nieodparcie poetyczny opis poezji życia.

[Byleby się za daleko nie posunąć w suponowaniu, że autor nie mówi, co chciał powiedzieć – gdyż jest mówiony przez to, co tworzy...]

Pojawiają się dwa opcjonalne pytania kontekstowe. Czy miał to być korespondencyjny opis rzeczywistości, decydujący o niejasności Gry, będącej – tak jak odzwierciedlana rzeczywistość – jej negatywu chaosem?

Czy Adam Kulik posłużył się obrazem rzeczywistości, używając chaosu (ilustrującej go treści) do zbudowania metawypowiedzi: do wzięcia w cudzysłów kluczowej metafory w celu zamknięcia twórczego procesu zbiorem wierszy Bohatera książki? Tu zamysł twórczy dotyczyłby wyzwania, jakie autor stawia przed sobą i przed czytelnikiem – spróbować oddać przekaz typu streaming: tak, jak się obraz rzeczywistości przekłada na świadomość, będącą siecią równocześnie uaktywnionych połączeń. Pokazać stan umysłu i świadomości percypującej ów chaotyczny konglomerat

planu, to pisać, w najlepszym razie, eleganckie wariacje na temat wcześniej napisanych wierszy. Zatem jedyną drogą wytropienia przyczyn tego, jakim się jest, będzie snucie opowieści o naszych przyczynach w nowym języku”. R. Rorty, *Przygodność, ironia i solidarność*. Wydawnictwo Spacja, Warszawa 1996, s. 52-3. [Northcliffe Lectures wykład 3: *Przygodność jaźni*].

- 8 „W kulturze, w której pojęcie „surowego faktu” – parmenidesowskiej koncepcji przymusu wobec prawdy rzeczywistości – nie miałoby tak silnego miejsca, cały gatunek „modernistycznego” pisarstwa nie miałby sensu. Pojęcie „intertekstualności” nie wywoływałoby tego cudownie podniecającego dreszczu. Zwłaszcza manifestowany przez „modernizm” ironiczny stosunek do „prawdy” byłby niemożliwy bez żywej tradycji filozoficznej utrzymującej przy życiu obraz obrazu umysłu lub języka. Nie byłoby co ironizować bez z góry przegranej walki filozofów o wynalezienie jakiejś formy przedstawienia, które przymusi nas do prawdy, jednocześnie pozostawiając nam swobodne prawo do błędu, do odnajdywania obrazów tam, gdzie są tylko gry. W kulturze bez przeciwieństwa między nauką a poezją nie byłoby poezji o poezji, pisarstwa będącego gloryfikacją samego pisarstwa. [...] Albowiem ironizujący poeta zawdzięcza Parmenidesowi i tradycji zachodniej metafizyki znacznie więcej niż uczony. Kultura naukowa przeżyje utratę wiary w tę tradycję, natomiast mogłaby tego nie przetrwać kultura literacka”. R. Rorty, *Czy istnieje problem fikcjonalnego dyskursu?* [w:] R. Rorty, *Konsekwencje pragmatyzmu*, s. 182-183.

zmysłowych i mentalnych doświadczeń, wchodząc z nimi w rezonans i konotując rozległy kontekst.

Ale kluczową dążeń o ścieżkę – by zapożyczyć się u Znanieckiego⁹ – wydaje się tu zamiar budowania siebie – wręcz instynktowna potrzeba zawierzenia ludzkiej naturze, animowanej przez twórcze instynkty¹⁰. Wszak każdy organizm używa naturalnych mechanizmów samoobrony, mających na celu przetrwanie w najbardziej niesprzyjającym mu środowisku. W sposób analogiczny postrzega się rozwój kultury: jako mechanizm typu *challenge/response*¹¹.

Wiersze bohatera książki prozatorski fragment Gry, chcąc nie chcąc, biorą zatem w cudzysłów, gdyż wraz ze zmianą gry językowej ma miejsce nadpisanie i n e g o utworu nad tekstem reinterpretowanym poprzez ten formalny zabieg (jakkolwiek można by rozpatrywać ten zabieg jako wagnerowskie „gesamtkunstwerk”, a nie w aspekcie predykcji kontrpunktowej polifoniczności stochastycznego utworu¹²) – analogicznie, jak to ma miejsce w przypadku nadpisanej nad „trylogią” wkładki.

[Byleby się za daleko nie posunąć w suponowaniu, że autor nie mówi, co chciał powiedzieć – gdyż jest mówiony przez to, co tworzy...]

Wiersze są sztuką triumfującą nad wynaturzoną mową systemu, która okalecza człowieka i próbuje go uczynić zdehumanizowaną ofiarą. Wiersze te są świadectwem wejścia bohatera na poziom metatekstu, a zatem obrazują wręcz prometejską próbę zapanowania ludzkiej istoty nad chaosem i dekoherencją rzeczywistości. I nie ma znaczenia, że w nich także nie znajdujemy żadnej „jaśniejszej strony” świata. Istotne jest to, że oręż, w jaki nas

9 „W każdej czynności mamy i przyjmowanie wzorów i element nowatorstwa. Znaniecki łączy te dwa aspekty w wprowadzonej przez siebie koncepcji zamiaru (*purpose*), rozwijającego się nieustannie w toku czynności.” Marek Ziółkowski, *Kulturowe i społeczne warunki kształtowania się osobowości twórczej (uwagi na marginesie koncepcji Floriana Znanieckiego)*, s. 107-124 [w:] *Spółczesność, kultura, osobowość*. Księga dedykowana Pani Profesor Antoninie Kłoskowskiej w siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Warszawa 1990, s. 110.

10 Por. Władysław Lam, *Twórczość przejawem instynktu życia*. KAW Gdańsk 1977. Zob. Stefan Szuman, *Wstęp* [do:] W. Lam *Rozważania o sztuce*, Poznań 1927, s. 5-6.

11 Zob.: (ang. wyzwanie/odpowiedź) *Encyklopedyczny przewodnik po świecie idei*. Oprac. Stefan Bednarek, Jerzy Jastrzębski, ASTRUM Wrocław 1996, s. 53.

12 Wbrew supozycjom Autora, tekst (afabularny, więc „nie do zrekonstruowania” po opuszczeniu kilkunastu stron), n a j s k u t e c z n i e j do mnie dociera przy nielinearnym odczytaniu – fragmentarycznym; jakkolwiek niezbędna jest wielokrotna lektura – choć to nie zarzut a twórczy wymóg, który narzuca... gra językowa.

wyposażyla ewolucja. Bohater obraca nie przeciw sobie; że używa języka, aby przemówić jako istota usiłująca uporządkować chaos poprzez refleksję nad sobą i namysł nad dziejami świata. Nie bez znaczenia jest i to, że Bohater Gry nie występuje na koniec jako potencjalna ofiara systemu, lecz jako autonomicznie myślący poeta – opisuje go zatem intencja dialogowości, jaka znamionuje każdy monolog¹³ (głównie sceniczny).

*Lepsza kuciapa niż wiersze? Wiersze. Gra. Instynktów w przestrojonym, rozstrojonym organizmie z nagłymi przerzutami świadomości: przecież się zabił, odziedziczyłem obsesję śmierci? Ob-se-sję-śmier-ci, może śnię, może obudzę się nagle gdzie indziej. Koszmar miałby być rzeczywistością, pamiętaj o łagrach, Syberii, niewolnictwie, Niemcach rozbijających dzieciom głowy o mur, obozach koncentracyjnych, bezprawiu, które jest regułą, człowieka nic nie broni, z człowiekiem można wszystko, jak to można, dlaczego się dziwisz, gdzie żyjesz – na pewno jestem? Czy trwanie przed życiem, nie dodawać prawdziwym, życie jest zawsze prawdziwe.*¹⁴

Czasem wystarczy zmienić pryzmat, a tekst otworzy przed nami inne ścieżki dostępu; jak świat – w różnych wymiarach otwierający przed nami swe okna. Jak stwierdził Rorty – neopragmatysta, sugerujący przekształcanie się filozofa w kogoś w rodzaju „krytyka literackiego”: „Istnieje nadzieja, że jeśli zrozumie się dostateczną liczbę wierszy, religii, społeczeństw, filozofii, wówczas człowiek przekształci się w kogoś wartego zrozumienia siebie samego”.¹⁵

Siła prozy Kulika

Czy popełniam nadinterpretację (interpretacyjne nadużycie) Gry, myśląc, że «siła prozy Kulika» jest *b e z s i ł n o ś c i ą p o e t y* – jako użytkownika języka i kulturowych skryptów?

Bo kiedy szukam ciągle nowych odniesień – a książka jest na tyle prowokatywna, że „trzyma się mnie” w coraz to innych mentalnych kontekstach – wyraźniej widzę, że proza ta ilustruje *b e z s i ł n o ś ć* pojedynczego

13 Zob. js: Monolog [w:] *Słownik terminów literackich*, s. 293-4; oraz mg: Dialogowość, op. cit. s. 91.

14 Adam Kulik, *Gra*. Wydawnictwo lubelskie Nowe, Lublin 1993, s. 42.

15 R. Rorty, *Sprofesjonalizowana filozofia a kultura transcendentna*, [w:] R. Rorty, *Konsekwencje pragmatyzmu*, s. 109.

głosu wobec absurdu i chaosu rzeczywistości, przemawiającej tubą propagandy, dezinformacji, kłamstwa, ideologicznej perswazji i totalnego przymusu posiłkowania się językowym blekotem. Rzeczywistości dotyczącej bezliku po równi bezsilnych (zniewolonych przez historyczne uwarunkowania), a jeszcze m n i e j w y m o w n y c h, bo pogodzonych z akomunikatywnością języka – niewładnych zając jakiegokolwiek stanowisko.

Zwycięstwem bohatera Kulika jest zatem oprostowanie rzeczywistości za sprawą wierszy – z użyciem języka metafor, dyscypliny stylu i składni, nad którymi panuje poeta: ktoś, kto nie pozwala sobie odebrać ludzkich prerogatyw, takich jak ustanawianie praw, reguł i prokurowanie sensu – zgodnie ze statusem autonomicznie myślącej istoty. Każdorazowa próba porządkowania rzeczywistości ideacyjnej stawia człowieka ponad chaosem – dystansując go wobec absurdu hańbiącej jednostkę przemocy. Proza poruszająca ten aspekt realiów – cywilizacyjno-kulturowe uwarunkowania *homo sapiens* – nie może być uwodliwa, by zajmując się czytać.

Kulik p o ś w i ě c a tą narracją ideę dosłowności języka (że język odzwierciedla rzeczywistość, opowiadając nam, co jest czym oraz jakie), na poczet bolesnego zilustrowania jego akomunikatywności: obrazując nieczytelność absurdu, irracjonalną stronę przemocy, brutalną bezwzględność języka zafałszowanych relacji. Proza ta ukazuje bezsilność człowieka wobec ideologii, narzucającej jednostce poświęcenie wolności wypowiedzi, godności, tego, co ludzkie – w imię przetrwania w pandemonium chaosu, uprawniającego sprzeczności i wykluczające się racje.

Próba opisu rzeczywistości jest nadaremna. Ale trylogię – spajaną przez postać bohatera *Lotu* i *Gry* oraz autora wierszy – kończy tomik poezji. Poezja przywraca – chociażby symbolicznie – ład i rozpoznawalne, duchowe wartości. Paradoksalnie, zapanowanie nad chaosem i przywrócenie człowiekowi godności dokonuje się za pomocą języka, który to język system zaprzęgał do totalnej destrukcji, próbując unieważniać najistotniejszy wymiar komunikatywności, jakim jest naprzemiennność (społeczeństwo zagađywane dyktatem ideologii nie miało głosu).

Proza Kulika mówi więc o tym, że zapanowanie nad rzeczywistością chaosu możliwe jest poprzez wypracowanie postawy dystansu: przez wzniesienie się ponad potoczność nonsensowności blekotu – uwłaczającego myślącej istocie. Książkową rzeczywistość (rzeczywistość autoprezentującą się za sprawą *Gry*), ratuje przed deprecjacją poezja, wojująca z absurdem konstruktu, zmuszonego się liczyć z systemową tyranią, przekładającą się

na akomunikatywność języka, nieskuteczność chaotycznego obrazowania i zafałszowane relacje międzyludzkie.

Strzępy rozmów, urywane dialogi, monosylabiczność, fragmentaryczność i nielinearność, niezborność przypadkowych odprysków, kalektwo nieudanych relacji interpersonalnych, nieczytelne tożsamości – wszystko to, co wyolbrzymiał kontekst społecznych odniesień, staje się na z y w a l n e dopiero wówczas, gdy przefiltrowane zostaje przez umysł poety. Panowanie nad rzeczywistością chaosu możliwe jest wyłącznie poprzez wyobraźnię.

Gra Kulika – strasząc rzeczywistością przedstawioną w książce – zdaje się zalecać namysł i refleksyjność jako antidotum i jako odtrutkę na zło czasów; niedyrektywnie przestrzegając przed skutecznością perswazyjnego blekotu i upominając się o jednostkowe nastawienie na aktywny odbiór realiów.

Pisywanie wierszy to kulturotwórcza działalność, ratująca człowieka przed światem – zdaje się mówić do nas wpół anonimowy bohater. Przeciwno odgórną, zniewalającą umysły i wolę taktyce reżimu, operującego językiem totalnym, Kulik ma tylko uporządkowaną mowę poetyckiego tekstu. To zadziwiające, że nie walczy postać, że nie powstaje dagerotyp bohatera istoty – wiodący narrator jest wyczerpanym psychicznie wrakiem, istotą borykającą się z myślą o samobójstwie. To walka na narzędzia (poznawcze), a raczej na instrumenty (wygrywające piękne albo fałszywe nuty).

Siłą prozy Kulika jest zatem autentyczna, bezkompromisowa odwaga w ukazywaniu mechanizmu zniewalania umysłu i ubezwłasnowolniania postaw przez system, narzucający reguły gry społecznej p o z b a w i o n e w a r t o ś c i h u m a n i t a r n y c h (czyniących istotę kimś ludzkim: zintegrowanym, autonomicznym, komunikatywnym). Zdaje się także mówić, że na każdym jednostkowym trwaniu spoczywa obowiązek wyłamania się spod semiotycznej tyranii – w imię ludzkiej walki o wyrazisty profil twórczy. Bycie człowiekiem wymaga mówienia po ludzku – w sposób czytelny i w stylu komunikatywnym. Bycie poetą to mentalna walka o godną nas autonomię twórczą.

Zanim zaczniemy sobie rościć pretensje do wpływania na rzeczywistość, uzmysłować by sobie warto, na ile obraz świata jest naszego własnego autorstwa – dyktując nam bezzyskowność albo pokupność preferowanych przez nas samych wartości (bardzo czytelnie opisuje rolę poety w niepewnych ekonomicznie czasach biografia *Leśmian, Leśmian...* na podstawie wspomnień i osobistych relacji zrekonstruowana przez Adama Kulika).

Gra ciągle jeszcze jest dla mnie niedoczytaną książką, która zadaje dużo pytań i inspirowa do konstruowania nowych kontekstów, uprzystępniających jej ogląd. Nie jest tekstem „trudnym” – jak udowodniał Piotr Mikszewski, grający rolę rortiańskiego filozofa podczas promującego książkę *Specjalnego posiedzenia w sprawie poety Adama Kulika*. Nie należy do rzędu książek domagających się egzegetów. Wręcz przeciwnie – autor pokusił się o to, by była to książka miejscami autoironicznie zabawna w swojej przekornej prostocie i dosłowności.

Z mojego punktu widzenia (a patrzę jako upowszechniający i uprzystępniający kulturę animator), *Gra* jest ciekawą kompozycją, ewokującą refleksyjne podejście do sztuki czytania tekstu oraz twórczego użycia artefaktów. Wciąż prosi się o nowe aspekty odczytań, czyli należy do lektur inspirujących... Nie twierdzę, że zrozumiałam *Grę*. Jednakże stanowi ona, dla mnie, swoisty fenomen (latami mnie intrygując), ponieważ jej przejrzysty zamysł – moralitetowy nieomal – zmusił poniekąd pisarza do stworzenia pozycji książkowej dyskutującej z kompetencją poznawczą Autora. Renesansowy człowiek został użyty przez Historię do wyrażenia siebie (poprzez bohatera skonfliktowanego ze światem), w konceptualnym języku jej niejasnych, złożonych prawd. To dramatyczny zabieg, każący domniemywać, że „książka jest prosta – mimo niejasnych zdań i chaosu fabuły”, jak stwierdził jeden z uczestników *Spotkania z poetą Adamem Kulikiem*.

Irena Kukuszka-Glinka (2008-2010)



Adam Kulik, *Gra*
Wydawnictwo Lubelskie Nowe
1993 (data przybliżona)
Stron 232
ISBN 83-85766-07-3

Janusz Andrzejczak

Może on

Starsza pani ze starego domu
powierzyła swe stopy kapciom.
Już nie czeka, by ktoś jej pomógł,
zapomniała, że jest prababcią.

Nikt nie bywa, nawet i złodziej
i od dawna nie pyta: „Kto tam?”.
Tylko kot ją odwiedza co dzień,
albo ona odwiedza kota.

Chude stopy poprawia w kapciach,
zrywa się... Jakiś szmer za dworze.
„Może on?!” – wzruszona drży babcia.
A to Bóg tylko, nie on. Boże...

Gdy

Ale jeszcze,
jeszcze przylecą ptaki
i w drzewach zalistnieją.
I wtedy, wszystkie ich szlaki
zieloną zarosną knieją.

Nawet i dziupla w drzewie,
próchnem ślepa i głucha,
wszystkie te kniejne głosy,
pomieści i wysłucha.

I ja, w tej dziupli próchnem,
szczęśliwy, właśnie takim,
jak pyłem gwiazd zaświecę,
gdy tylko przylecą ptaki.

Nawet nie można

Nawet spokojnie
nie można umrzeć,
bo będą cierpieć ci
co cię kochali.
Ognia nie możesz
samemu zdmuchnąć,
gdy nie tyś go rozpalił...

Nawet nie można
w spokoju odejść.
Zaraz ci serce zmięknie,
gdy sobie wyobrazisz,
że gdy ty będziesz odchodzić,
komuś serce pęknie.

Nawet nie można
po prostu zapomnieć.
Gwiazdami świecą
pamięci odpryski.
W wieczności ona:
ta moja pamięć,
o wszystkim i o wszystkich.

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Pierwsza komunia święta

Biała koszula, granatowe spodenki, podkolanówki,
w kłapie marynarki biała wstążka i zielony mirt.

W dłoniach różaniec i światło z gromnicy,
bo wielka jak obrus ołtarza jest dziecka wiara.

Zapewnimy mu słoneczne miejsce – mówi Mama.
Nie przesadzaj, znieś i półcień – mówi Tato.

Ciemno-zielona gałązka z granatowymi owocami
Myrtus communis

Świtanie

Głaszczesz wiersze moje.
Głaszczę twoje dłonie.

Przywołujesz do życia łabędzie, trzcinę, ryby, żurawie i konie.
Oplotłem biodra a ty wychylasz szyję w przeciwną stronę.

Jest mostek i cieniutka rzeka a obok wierzba i aleja róż.
Kochana, mówię: jest wiatr i korale diamentowych piór.

Anna Dutka-Mańkowska

Dwa księżycy

Czerwony księżyc

Czerwony księżyc
bliski i ogromny
czekał

w końcu ziemia odpowiedziała
płonącą Notre Dame
płomieniami w Australii
pożarem nad Biebrzą.

Zaćmienie pierścieniowe

Czarny księżyc przesłonił słońce
wokół pulsuje oślepiający blask
apoteoza słonecznika.

Bombki od cioci Anielci

Świta wigilijny poranek
dzwonek do drzwi jak zwykle
skrzyp schodów
tak, to kroki cioci Anielci

tulę się do korpulentnej sylwetki
w króliczym futerku pachnącym mrozem
zimy z lat sześćdziesiątych

już trzymam pudełko jak rok temu
w środku wielkie bombki
rarytas eksportowy z fabryki

bombki jak kolorowe planety
w gwiazdozbiorze Anieli
na choince są bliżej nieba
odbijają światło latarni
kuszą.

Kosmogonia

W sercu zaczynasz się ty
zaczyna się dzień – czy noc
rusza obrót sfer niebieskich.

Ogród

Szukam na mapie
to mogło być gdzieś tutaj
północny skraj Libanu
gdzie zielono
granica z Syrią
kiedyś jej nie było
tu był dom i ukochany ogród

słyszałam
ta ziemia to był ogród Boga.

* * *

ogłocony, doszczętnie ogołocony
N. Bouvier

Oddam uważność
zrozumienie
wszystko
co mi się wysuwa z rąk.

Eugeniusz Kasjanowicz

z przekładami Zbigniewa Lisowskiego

Księżniczka Małgorzata gra Chopina

Nad dworkiem
gwiazdy pulsują wpatrzone
w nasze drogi
co nitkami wierzby
ze sobą się splotły
a łzy
które nie są zwykłymi kroplami
z moimi
jak sarny za oknem
się zbiegły
w przyśpieszonych oddechach
czułość otwierają
niczym zapomnianą
słodką ranę
już nie może tak boleć
jak stąpająca samotność
po skrzypiącej podłodze
nad ranem
i będziemy nieśli w sobie
widok łąk wierzby polonezy
w kominku ogień
usta dotyk dłoni oczy
i pragnienia
drgający płomień

Princess Margaret plays Chopin

Above the manor house
stars are pulsating
gazing intently
at our ways
intertwined with each other
like willow threads
and tears
which are not ordinary drops
have got together with mine
outside the window
like roe-deers
in their accelerated breaths
they open tenderness
like a forgotten
sweet wound
it can no longer hurt
like loneliness treading
on a creaking floor
at dawn
and we will carry inside us
the sight of meadows willows polonaises
fire in the fireplace
lips touch of hands eyes
and the flickering flame
of desire

Żelazowa Wola

Pani Profesor Reginie Smendziance

Z przestrzeni
ze świata
zlatują się tutaj nuty
jak ptaki
szczebioczą gwizdzą
wystukują
wśród wiklin i krzewów
mazurki polonezy Fryderyka
snują się cicho
w porannych mgłach
nad Utratą
O zachodzie słońca
lecą nad piaszczystą drogą
by potraścić
drobne liście wierzb
zrośniętych z nami
na dobre i złe
A kiedy śnieg
przysypie pola drogi
drzewa w parku aleje
z dworku ulatują iskry
Scherza h-moll
i znowu jesteśmy razem
pod skrzydłami
naszego domu

Żelazowa Wola

to Professor Regina Smendzianka

Notes come here flying
from the space
from the world
like birds
they chirp whistle
in the osier beds
among the bushes
they tap
Frederick's mazurkas polonaises
They moon about quietly
in the morning mists
over the Utrata River
At sunset
they fly above the sandy road
so as to jostle
the tiny leaves of willows
grown together with us
for good or ill
And when snow
covers the fields roads
trees in the park lanes
then sparks of the Scherzo in B minor
fly away from the manor
and we are together again
under the wings
of our house

Fryderyk Chopin

Przez tyle dni
dróg
biegnę do ciebie
do twojej tajemnicy
i powraca cisza
między uniesieniem rąk
a muzyką
ta chwila nabrzmiewa
Otwierasz oczami ranek
wchodzisz po dźwiękach
płyniesz z drganiem serca
nad wierzbami
chatami krytymi strzechą
drogami jak życie
krew zaczyna szemrzeć
niczym potok ocierający się
o kamienie
opadają palce z całym ciężarem
nocy dni
i lekkością promienia
nagle urywa się ojczysty krajobraz
spada w otchłań
potężniejącym głosem
a za chwilę
dźwięk jak uśmiech dziecka
rozjaśnia twarz
która powoli blednie
zmienia się w mgłę
popiół
aby rozbłysnąć nutami
pełnymi gwiazd
polonezem
ciszą

Frederic Chopin

I've been running to you
to your mystery
for so many days
along so many roads
silence comes back
between raising your hands
and music
this while is swelling
You are opening the morning
with your eyes
coming on the tones
swimming with trembling of your heart
over willows
thatched cottages
roads like life
blood starts murmuring
like a stream rubbing
against stones
his fingers are dropping
with all the burden of nights and days
and his mother landscape
suddenly stops like lightness of a ray
it's falling down into an abyss
like more and more powerful voice
and in a moment
a tone like child's smile
is brightening his face
which is turning pale slowly
and reducing to fog
to ashes
in order to burst into tunes
full of stars
into the Polonaise
or silence

Eugeniusz Kasjanowicz. Translation into English by Zbigniew Lisowski

Andrzej Książek

Aforyzmy

W epoce płynności wody są mętne. W mętnych wodach pływają nieczystości.

Na powierzchnie wypływa motłoch i męty społeczne.

Prawda jest niebezpieczna. Na tyle niebezpieczna, że wprowadzono pojęcie prawdopodobieństwa.

Do prawdy podobne, może nawet bardziej atrakcyjne, sądząc po opakowaniu.

Coraz częściej poszukujemy dowodów na istnienie człowieczeństwa w człowieku. Istnienie Boga zostało dostatecznie udowodnione na przestrzeni wieków.

W ciągu wieków zmieniają się losy narodów, systemy społeczne, polityczne, ekonomiczne.

Los człowieka pozostał ten sam. Egzystencjalne problemy naznaczone narodzinami, chorobami, cierpieniem, śmiercią pozostały niezmiennie od tysięcy lat.

Wszyscy chcą się wydostać z przeklętego kręgu anonimowości. Chcą być znani, podziwiani, sławni za wszelką cenę. Nawet za cenę śmieszności i robienia z siebie błazna.

Z braku zewnętrznego naturalnego wroga (dzikich zwierząt) agresja ludzi została skierowana wewnątrz gatunku (ludzkiego), zarówno w skali globalnej jak mikrospołecznej.

Zwierzęca natura człowieka skrzętnie jest ukrywana za ładnym słowem, stosownym gestem. Za sztuką, nauką, kulturą, cywilizacją. Rzeczywistość u swych podstaw, źródeł inne ma oblicze.

Brak obiektywnych kryteriów sprawia, że w życiu społecznym, politycznym, naukowym, sądowniczym kierujemy się zasadą „widzimisię”. Widzi mi się w danym momencie, w innym widzi mi się inaczej.

To tylko umysł postrzega świat w kategoriach sprzeczności, antynomii, paradoksów.

Logika jest właściwością umysłu, nie świata. Sprzeczność wpisana jest w porządek

kosmologiczny jako nieodzowny element jego struktury.

Intelekt nie jest instancją rozstrzygającą w sporach. Zasada niesprzeczności nie spełnia pokładanych oczekiwań. Z konieczności musimy odwołać się do instancji niższych.

Poezja poetycka. Proza prozaiczna. Od słowa sztuka pochodzi słowo sztuczny, nienaturalny, może nawet nienormalny, wykraczający poza obiegowe normy.

Rozum, który nas wyróżnia wśród innych gatunków i dzięki któremu zaszliśmy tak daleko i tak wysoko, jest narzędziem obosiecznym. Korzystamy z jego dobrodziejstwa, ale często niszcząc siebie wzajemnie. Poza okresami względnego spokoju historia ludzkości jest dziejami wojen i wyniszczających konfliktów.

Dominacja kultury masowej, trywialnej, pospolitej, wulgarnej, zepchnięcie na margines kultury wysokiej, odczuwalny brak arystokracji „ducha” w hierarchii społecznej, obniżenie edukacji na wszystkich poziomach, wszechobecna demokratyzacja, która graniczy z ochłokracją, przyczyniły się na niespotykaną dotychczas skalę do urodzaju głuptactwa i kretynizmu w przestrzeni publicznej.

Wymyślanie legend, mitologizowanie wydarzeń historycznych, faktów współczesnych, postaci historycznych jest na tyle potrzebne, co niebezpieczne i szkodliwe. Dodaje do rzeczywistości to, czego nie ma. Być może nie samą prawdą człowiek żyje. Nasuwa się pytanie: kto chciałby żyć w kłamstwie?

Kłamstwo powtórzone miliony razy uzyskuje statut prawdy. Media z czwartej władzy kreują się na pierwszą.

Ci, którzy pełnią ważne funkcje, grają tylko rolę społeczną podobną do tej, którą gra aktor w teatrze. Po odegraniu wracają do szeregu.

Mózg ma każdy. Z rozumem nie jest to już tak oczywiste.

Wiersze

Cogito...

Jesteśmy jak kwiaty
ozdobą istnień.
Wyhodowani na sztucznym nawozie.
Z władzą nad tym co w powietrzu.
W wodzie
Na lądzie. Ze świadomością która jak miecz obosieczny.

Z perspektywy końca
jesteśmy a tak
naprawdę
nas nie ma.
A może nigdy przedtem i potem
nie było.
Materia ze stanu stałego
przechodzi w wietrzny.
W mgłę między
-gwiezdnych
mgławic.

Epopoea lokalna

Wiatr ustał.
Deszcz przestał.

Wyszło słońce.
 W kałuży kąpią się wróble.
 Było tak jak kiedyś.
 Ludzie i bogowie złączeni wspólnym losem.
 Piękne i dobre bez względu na interesowne sprzyjające.
 W warkocz spleciony splot wydarzeń.
 Razem i zarazem osobno.
 W wielości i jedności ludzkich spraw i rzeczy.
 Takimi jakimi są. Nie takimi jakie się wydają.
 Rozdziałów zamkniętych.
 Podziałów nie umarłych.
 Urazów wciąż żywych.
 Granic bezgranicznych.
 Przepaści przepastnych między
 dwojgiem sobie bliskich.

Wersja konceptualna

Życie samo pisze się.
 Pisze dramat z aktami scenami
 puentą.
 Tak jest napisane.
 Podpisane.
 Pod tekstem pieczętka.
 Orzeł z rozłożonymi do lotu
 skrzydłami.

Tułacz

„Niespokojne jest serce moje
 aż spocznie w Tobie, Panie”.
 Koniec podróży jest jej
 początkiem.
 Okno wychodzi na otwartą przestrzeń.
 Nieskończony projekt.
 Niedokończone możliwości.

Istota rzeczy

Przez długie lata szukałem.
Dziś kiedy już wiem.
Szedłem drogą.
Minęliśmy się jak obcy.

Dokąd?

Drzewa obdarte z liści.
Deszcz uderza w rynnę.
Słońce rzuca cień.
Ja idę tak jak szli inni.

W duchu zen

Nie muszę mieć.
Nie muszę biec
by zdążyć przed czymkolwiek.
Nie muszę być szczęśliwym.
I tak mi jest dobrze.

W rzeczy samej

Marzenia złudzenia. Rozczarowania.
Wyobrażenia przeciw tworam i jej potworom. Wirtualne
oczekiwania wbrew realnym wydarzeniom. Na przekór. Przeciw
rozsądkowi i zmysłom.
Nie wyczerpane pragnienia.
Życzenia.
Pulsują w dziejowym krwioobiegu.
Od wieków.
Uzupełnienie braków. W myśl twierdzenia
że zło jest niczym innym jak tylko brakiem
(dobrego).

Chwila niezauważona.
 Drobiazg niedoceniony.
 Zwątpienie do granic.
 Za granicą roztacza się wielce znaczące Nic.
 Pewność nic pewnego. Nic trwałego. I nade wszystko euforia radość.
 Uniesienie wszystkich sił witalnych. Eksplozja
 istnienia.

I tym podobne

Nagle świat otworzył się,
 stanął otworem.
 Zbliżył się na odległość
 ręki wyciągniętej na powitanie.
 To co doprowadzało do obłądu
 okazało się splotem przyjaznych okoliczności.
 Zatłoczony autobus zbliżał się
 do pętli.

Forma bez formy

Przed nadaniem nazw rzeczom.
 Nic nas nie dzieliło.

Nie było podziałów na czasy tryby rodzaje.
 Lepsze gorsze.
 Godne. Godności pozbawione.
 Posesje nie były ogrodzone.
 Zwierzęta leśne nie znały granic państwowych.

Nic nie istniało jeszcze przed istnieniem.
 Był to czas kiedy czasu nie było.
 Nic jeszcze nie było.
 Nic się nie stało.
 Żadnego wybuchu na skalę
 kosmiczną.

Wśród zgiełku zgrzytu
postępującego postępu. Pozostała cisza.
Spokój. Milczenie.
To tak jakby ktoś zostawił uschnięty kawałek kwiatu
jako zakładkę w wieczystej
księdze.

Andrzej Książek



Oset. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Once upon a time... rozmowa

Jeszcze wczoraj z ust spijaliśmy słowa,
Dziś odczytujemy tylko znaki,
Ojczy, nie nam z fatum wojować,
Kochałem ją, czy to grzech jakiś?

O świetle w domu próg
na rękach niosłem błękit Nieba,
Teraz w milczenie
uciekać muszę z tęsknoty...

Mówisz, nie ten czas, za późno,
i że wyrosłem.
Jakże mi wierzyć?
Mam przed nią uciec,
zapomnieć, skonać ze zgryzoty?

Nad ranem dzwonami wieży
na sacrum sen Przerwałeś.
Piękny jak pierwsze spotkanie,
Za rękę brałem, ku Tobie szliśmy,
Czy Chciałeś,
by było to już nasze rozstanie?

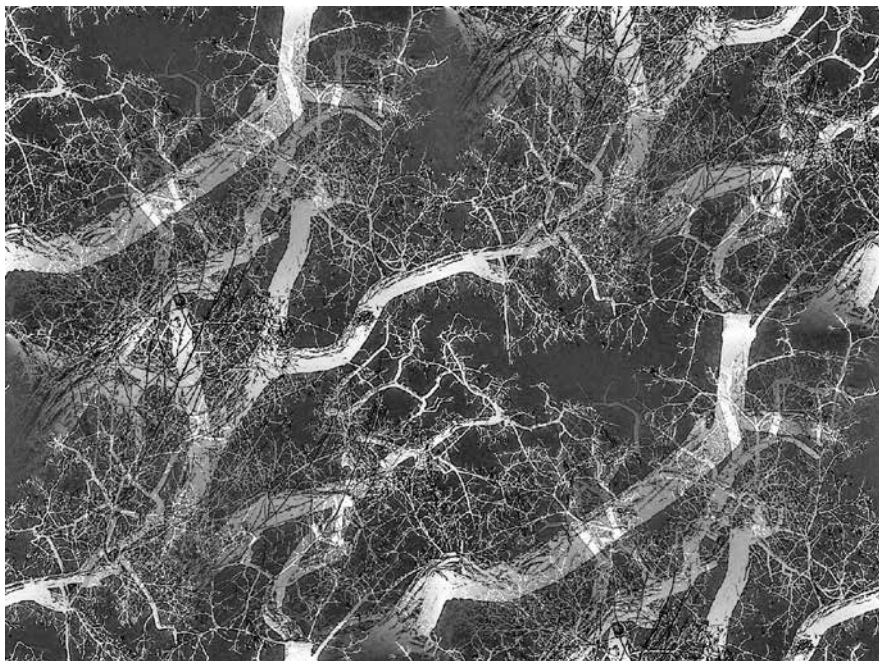
Pytasz, czy pewien jestem,
czy pewien jestem, że mnie...?
Czymś to okazała, czy mówiła, może milczała?
Nie od dziś, od wieków to już Wiesz.
Sny rzuciła mi pod nogi, tęskniła, drżała.
Ty zaś bym znaki Twe czytał chcesz!

Mam opanować wiatr, co gasił świece
i okrutny, bezkresny wzniecił pożar?

Ty dajesz mi czas, czekasz, aż wyleczę
gorycz i utopię ją w zimnych zorzach...

Dziś los nam nie sprzyja,
Zatem mnie ukarz, Ją oszczędź.
Nie! ... Weź w opiekę wszystkich.
Przecież to wina niczyja,
Mówiłeś, że przykazanie,
że nasza na Ziemi tu ostoja.
Każdy chcę kochać, być kochanym!
m.c., m.m.c., Rzeknij tylko słowo...
Czyż to nie jest wola Twoja?
Warszawa, once upon a time

Wiesław Mandryka-Bukowiński



Gałęzie. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jerzy Marciniak

Pianista

*pamięci
Andrzeja Zdziubanego z Kalisza
pianisty*

cisza
jego białe dłonie i nuty
czarne

palce przebiegają po klawiaturze
i
jeszcze większa cisza
słyszać tylko
jak głucho spływa ciemna łza
z
białego klawisza

idą idą niewiasty w żałobie
nieznane
każda inna od drugiej
a
w smutku wszystkie takie same

gra
marsz żałobny wielkiego Fryderyka
wyłania się z brzmienia
żał
i
odchodzące kroki
jego

ciemność
droga polna z wierzbami
dolina

zielona i pełna stokrotek nisza
i
znowu słysząc jak kolejna łza
czarna
głucho spływa z białego klawisza

idą idą dziewczyny
uczennice
a ich szaty ciemne jak wdowie
rwie się śpiew
milczenie
i
czekanie na ciszę
wieczną
która resztę dopowie

Kalisz 2019 r.

Jerzy Marciniak



Lilie. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Piotr Müldner-Nieckowski

W środku komputera

Pyta dziewczynka czy w środku komputera
jest bóg czy diabeł
Naczytała się bajek o czarownicach
i boi się pułapki
ślepego zaułka
podstępu
Dlaczego się boi?
Skąd wie że jesteś w środku komputera
i zagrażasz nie tylko jej?

Byłem u lekarza

Przypelzłem – zdychający wąż uderzony kijem –
pod drzwi pana doktora
Wpuścił do gabinetu
i przez godzinę czytał
kartę mojego zdrowia siedemdziesiąt pięć stron
a kiedy skończył zapytał czy jeszcze jestem

tak powiedziałem jestem panie doktorze

To niech pan zrobi jakieś badania
i jak pan je robi niech pan przyjdzie
o ile coś się wykryje

a wtedy zapiszę jakieś lekarstwa i teraz
niech pan poprosi kogoś następnego
chyba że poczekalnia
już jest pusta

Kiedy zrobiłem coś

Mirusi

Kiedy zrobiłem coś tak głupiego
że ziemia i niebo zaczęły się wiercić
krzyknęła: a jednak zapachniało
sadzonym przez ciebie korzeniem!
i dała do ręki – do ogrzania rękę

aby się nie przewrócić

Czas na ucieczkę z wulkanów klęski!
do odnowienia czymś pewnym i dawnym
odruchem przemilczenia
jednym gestem odniechcenia

I tak razem staniemy w pół słowa
bo zrobi się chętniej i weselej

Trzydziesta rocznica

Ballada – Pamięci Tadzika Sińca

Czasami mówią i piszą że coś jest
a tego nie ma
albo że ktoś jest myśli czuje kocha
ale Tadka nie ma

tylko że jak Waldek
wyjął nóż z kieszeni
i bez pośpiechu wbił w brzuch
by zabrać głupie sto złotych
na wódkę żołądkową gorzką
to Tadek był jeszcze widoczny
przez mgłę wiecznej dowolności

Rozpływał się w niebycie tak świadomie
że został i jest i czeka bezlitośnie

na sprawiedliwość na tym świecie
 I ktoś dobrze wie że nie ma
 wódki żołądkowej bo to jest
 z liści-korzeni wyciąg wymiotny
 z żołądkiem ma wspólne tylko wrzody
 plus woda fusy z dna chłodnicy
 i że ta wódka nigdy nie gorzka
 klejem cukru wręcz lepi
 rzadki likier zatyka w pół słowa
 a pod nosem łyzy i krosty

On przebity jeszcze żył –
 by biała czerwień nie odeszła z oczu
 nam przypominał jak pić aby pić i pił
 a wszystko widział widział ją
 wódkę żołądkową z gorzką Marylą
 tak ją wczoraj kochał do upadłego
 i ona pod nim padła nieprzytomna
 a teraz ona na dokończenie łyczek po łyczku
 wieczorem się czołga z krzykiem do niego
 a on powraca – krwi ni grama w nim nie ma
 a Waldek jak go przebił na wylot tak przepadł
 wciąż jest cuchnącym odchodem
 kryje się w ścianie pod podłogą
 po tamtej stronie Wisły
 i to już pełne trzydzieści lat temu
 wczoraj minęło
 a kara śmierci też już zanikła
 jakoś
 taka ta cywilizacja

Dzień radosny

Nadeszły wady starości
 i szczelży słabości młodości

Piotr Müldner-Nieckowski

Mariusz Olbromski

Wieczór z Hemarem

Jeśli wieczór z Hemarem
to tylko z kwitnącymi bzami.
Z czarem tańca, z humorem.

Razem z kuchanym bałakiem,
z polotem rzewnej fantazji,
z cudem lirycznej melodii.
Ze szczyptą – także – beztroski
tej córki „durnego pomidora”.

Bez zadęć, ot tak, po prostu
tak jak się żyło po lwowsku.
Jakby się szło na Wysoki Zamek,
by roje gwiazd liczyć i liczyć...

A później w dole się miastem
zachwycić, aż się zakręci
całkiem w sercu i w głowie.

Wspomnienie

Szedłem z obłokiem róż w dłoni
do Państwa Janickich i z myślą:
„Sławna artystka i magnifika,
dystygowana dama londyńska”

A Pani Włada „Ta ło” – rzekła
i tchnęła urokiem uśmiechu,
lwowskim zaśpiewem w głosie,
chochlikiem humoru w oczach,
ulśniewająca szac kobita,
trochę batiarska, a królewska.

A ona wielka dama, ali w śpiewie,
w Hemara pieśniach i piosenkach.
W fantazji i uroku – podfruwajka,

I w każdym geście, w każdym słowie
radia i kabaretów udzielna księżna.

Godziny były szybko na zegarze,
śmigały chwile łez i szczęścia,
a ja myślałem czasem tylko:
„O Pani Łaskawa, Matko Niebieska,
czy to realne i możliwe, że śpiewa
nam właśnie – Włada Majewska?”¹



Wykwit.
Katarzyna Boruń-Jagodzińska

1 Pani Włada Majewska została w 2005 r. w Warszawie uhonorowana Diamentowym Mikrofonem z okazji 80-lecia Polskiego Radia za wybitne zasługi na rzecz kultury polskiej, a szczególnie za prace w Lwowskiej Fali i w *Radiu Wolna Europa*. Bezpośrednio po tej uroczystości odbył się wieczór z udziałem Laureatki i kilku osób w domu Państwa Krystyny i Jerzego Janickich, w którym miałem zaszczyt i radość uczestniczyć. (M.O.)

Alicja Patey-Grabowska

Drzewo od wewnątrz

To drzewo od wewnątrz
jest jak rękawiczka
materia z żywym ciepłem
ciało drzewa żywe
i coś że korę ktoś odkroił nożem
gałęzie połamał
kiedy płyną soki

Krew pulsuje od serca
przez przeguby dłoni
zabarwia słowa
myśli wyłuskuje w nocy

Światło które ciemność
przemieniło w blask

Oczy widzące dalej
poza obręb pnia

Ze zbioru „Poezje wybrane” LSW r. 2020

Oczy dziecka

*Jawor
Jawor
Jaworowi ludzie*

*Stary niedźwiedź
mocno śpi*

Wystarczy zanucić
I
otworzą się drzwi

gdzie wszystko tajemne
ogromne
wielkie
jak źdźbło trawy
dla mrówki

Wystarczy zanucić
i
otworzą się drzwi
do świata
po drugiej stronie lustra
a tak bliskiego
jak ziarenka piasku
nagi pył
góry szczyt –
lśniący kamyk
Zdziwienie
zachwyt

Bo poeta
oczy dziecka ma

Styczeń 2021

Początku żal

Początku mi żal
tej liczby zero
kiedy niewiadoma
nieoblekła w kształty
i gdzieś w przestrzeni
jedynie zamysłem
niedopowiedziana
jak trzy kropki w zdaniu

I gdy początek tajemny
co dalej?

A może koniec
znajdzie się w początku?
jak punkt osobliwy
kiedy była cisza
początek narodzin
wszystkiego
i życia

Początku mi żal

Niech ciągle początek
choć to niemożliwe
i żadne zaklęcie
nie odwróci czasu
Tak było i będzie
tak będzie i było
Trzeba się pogodzić
z przewrotnością
losu

Wiosna czarodziejka

Zaświeciły słońcem kaczeńce,
niebo zamrugało okiem fiołka.
Idzie wiosna w zielonej sukience,
powiewa szalem białym jak obłok.

Idzie wiosna lekka jak oddech,
ze skowronkiem nuci piosenkę.
A gdzie stąpnie, tam kwiat wyrasta,
bez zakwita, gdy wyciągnie rękę.

Żuki

– Żuki
co niesiecie
na swoim grzbiecie?

– Korę drzewa,
taflę nieba,
buty księżycy,
nuty słowika.

– Wielbłądy leśne – żuki
dokąd niesiecie
na swoim grzbiecie
ciężkie juki?

– Do lasu,
Pod sosnę
– Dla kogo?
– Dla wiosny.

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

* * *

już ostatni śnieg?
na obrazie Hiroshige
parasolki

* * *

stoi na moście
między śniegiem a wodą
ruchoma granica

* * *

zapach wiosny
twoje i moje grabie
na grządce

* * *

wiosenna pełnia
jego oczy głodne
tak blisko

* * *

podmuch wiosny
na lewo to na prawo
skręcają włosy

Krzysztof Saturnin Schreyer

Nad Niemnem

Jedno zdjęcie z wycieczki do krain dalekich,
w których nie miałem przodków, ni przyjaciół starych,
a jednak dziwna wilgoć weszła pod powieki,
kiedy ujrzałem Niemna błękitne obszary.

Skąd, dlaczego to dziwne rozrzewnienie duszy?
Rzeka jakich jest wiele, ze spokojną wodą,
zielonymi brzegami... A więc czym porusza
serce, a także umysł? Przecież nie urodą,

jaką wabią słoneczne wyspy, złote plaże.
Przymykam oczy, widzę noc w blaskach na wodzie,
pochoinnie, jaśniejące, roześmiane twarze
I słyszę śpiew chóralny, który tak uwodził

zasłuchaną Justynę i... mnie! nad kartkami
książki mojej młodości, dzisiaj pogardzanej,
pachnącej ziemią orną, zbożem i ziołami,
z wizją pracy, co walką jest i przykazaniem...

Przeszłość cieni dalekich i mogił nieznanych,
złotym piórem Elizy zaklęta w obrazach
i łódka, pośród wielu, z zakochanym Janem...
Historii w druk zaklętej nie można wymazać.

5 IV 2020, ze zbioru „Człowiekiem jestem”

Jakie słowa?

Jak mam opisać, o co prosisz?
Wszak słowa tego nie uniosą.
Tyle postaci jest miłości
tej poza kształtem, poza głosem
i poza tym, co widzą oczy.

„Poza”, a przecież stale w nas.
Jak tę granicę mam przeskoczyć,
przedziwną, względną niby czas,

którego nie ma, kiedy „było”,
którego nie ma, kiedy „będzie”,
a wszystko, co się w nim zdarzyło,
to zawsze „teraz”, tu i wszędzie?

Są jak kwantowe dwa zjawiska,
bo w jednym czasie i przestrzeni
razem, a bliskość jest tak bliska,
że choć oddzielni to stopieni.

Może energią są, strunami,
co grają cicho swą melodię
subtelnym drżeniem rozedrgani?
Myśli? Te słabe i zawodne.

Oni w świetlistej, ciepłej chmurze,
bez ciała, ale z ciała siłą,
blisko, ulotnie, coraz bliżej,
i nigdy, nigdy tak nie było!

W ciepłych ramionach są ci sami,
lecz zawsze inni z wiedzą nową,
z nowymi dziwnych sił falami
i jakie znaleźć na to słowo?

Przed lustrem

Gdy był chłopcem, prze lustrem robił dziwne miny.
Nie były to grymasy zalotnej dziewczyny –
on chciał wiedzieć, gdy wymyślał wciąż mina za miną,
jakkę będzie wyglądać, gdy lata przeminą.

Marszczył czoło i twarzy wyraz miał dość smutny,

szczyrzył zęby w uśmiechu mądrym lub okrutnym
i chociaż przy tych próbach twarz się odmieniała,
wciąż młodą, wręcz dziecinną nadal się zdawała.

Odtąd rzucał na lustra spojrzenie niechętnie,
nazbyt gładkie policzki były mu wprost wstrętne.

Po latach już nie musiał swej twarzy wykrzywiać,
by bruzdy na czole i twarzy podziwiać
i worki pod oczami, i usta obwisłe,
no i oczy – pod szklami już nie takie bystre.

A więc teraz z innego powodu unikał
lustra, z którym się czasem przy goleniu stykał.

Czego pragnął? Czy oznak niezbitych mądrości
na sztucznym konterfekcie straconej młodości?
Czy innych męskich rysów, które by mówiły,
ile jest w nim odwagi, mądrości i siły?

Niestety, kim jesteśmy, tego nam nie powie,
żadne lustro cudowne, lecz co mamy w głowie.

17-18 III 2018

Ze zbioru poezji „Przed lustrem” LSW, 2020

Zaskoczenie

Okno otwarte, wiatr wiosenny
choć jesień, do pokoju wpada
i słońce kładzie się na łożu,
na którym głowę ciężką składam,
i nagle w jasnych iskier morzu
uśmiech pojawia się promienny

i nie odczuwam już ciężenia,
bo mnie unosi dziwna fala
i tuli mnie i pachnie kwiatem
i świat realny się odmienia

i smutek życia się oddala
jesienią, która pachnie latem.

Czy śnię, czy tylko mi się marzy
na włosach palców twych dotknięcie
i mglisty domysł twojej twarzy
i zaskoczenie, że to szczęście?

15 X 2019

Ze zbioru wierszy „W kielichu jego dłoni” LSW, 2020

Białe chmury

Na niebie chmury, wielkie białe
kurczą się, bledną, zanikają...
Odeszła młodość, supermenie.
Co czujesz? Rozpacz? Przygnębienie?

Miałeś zwycięstwa i twe ciało
wiele radości ci dawało!
Nogi sprężyste, jak ze stali,
pozostawiały hen rywali.

A na pływalni, bez kłopotu
na jednym wdechu do nawrotu.
Umiałeś nie spać, twardo walczyć
i do pierwszego kura tańczyć.

Byłeś wymowny, pamiętałeś
nauk niełatwych tomy całe.
Kochałeś siłę, supermenie.
A teraz? Teraz przebudzenie.

Boli cię niemal każdy krok
i nie najlepszy jest twój wzrok.
Mylisz też daty i imiona,
i nie masz czapki, bo zgubiona.

Czym się pochwalić możesz teraz,

gdy słabe ciało ci doskwiera?
Skąd uśmiech ciepły na twojej twarzy?
Czy coś wspominasz? Może marzysz?

Ach nic, ja tylko trzymam w dłoni
tę bliską rękę, co mnie chroni.
I to największa ma wygrana
ponad medale supermana.

Wysokie chmury nikną w dali.
Nas uśmiech losu dziwny scalił.
Serca, wciąż młode, są spoiwem
i barwne słowa, myśli żywe.

Ze zbioru poezji „Człowiekiem jestem” LSW, 2021

Krzysztof Saturnin Schreyer



Kłoby. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jerzy Śleszyński

Ból

Wypełnia
wszystkie kryteria prawdy
czy ktoś odczuwał kiedyś
fałszywy ból
ciało nie umie
udawać bólu
albo jest
albo się o nim zapomina
natychmiast
ze skrywaną nadzieją
że nie powróci
powraca
tyle że boli zawsze
trochę inaczej

Kres

*We never know we go when we are going –
We jest and shut the Door –
Fate – following – behind us bolts it –
And we accost no more –*

Emily Dickinson

Co było kiedyś
tam pod krzakiem w Rybieniu
nie daje się odczytać
z czarno-białej fotografii

głowa przy głowie
na szkolnym zdjęciu
wycieczka statkiem – dokąd?
wszyscy teraz na antypodach

cały kosz zdjęć w piwnicy
ona o nich nigdy nic bo wspólne
syn mówi że ma wątpliwości
nie przygarnie nie obejrzy

dziesiątki kolorowych albumów
Włochy Grecja Hiszpania
Portugalia Belgia Indiana
wszystkie tylko moje

nikt się przy tym nie ogrzeje
(mizerna wartość opałowa)
tyle wysiłku tyle energii
kilogramy papieru na straty

i te najnowsze i seryjne
wzdłuż i wszecz Polski
zbliżenia kwiatów i klamek
ledwo uchwytnie cienie

tysiące digitalnych obrazów
ze świata i wyobraźni
z jednym i tym samym końcem
klawisz z napisem Del

Kazimierz Świągocki

Morze utracone

I

Byliśmy w tobie, Morze, cisi
w błękitnym puchu twoich wód.
Byłś nam jak wieczne lato,
jak w zimie modrzewiowy dom.
Deszcze przychodziły i odchodziły od nas
jak przyjazne zwierzęta bez słów –
deszcze długie, kojące
jak włosy nieskończonych snów
i wiatr, który nas przerastał dobrocią.

Piliśmy twoją wodę
nie dla pragnienia, lecz
dla jej czystości.
Jedliśmy owoce z twoich sadów,
choć nigdy nie byliśmy głodni.
W sercach naszych żyły twoje gwiazdy,
a Bóg Wielkim Wozem przejeżdżał tędy
z południa na północ.
Lecz nikt z nas nie rozpaczął,
bo wiedzieliśmy,
że Bóg w nasze strony powraca.

Czego nam nie dostawało,
to chyba ciemności.
Niezmienna jasność
zniosła wszystkie przeciwieństwa,
Zło i Dobro
w jednym zamieszkały
drzewie.

Wiedzieliśmy, że krew zwierząt
jest naszą krwią
i głos ptaków
rozpowiada nasze pieśni.
Sól Morza – archaiczny dar niewyczerpanych rzek
była nam światłem i pamięcią,
brodziłiśmy w niej, dzieci z wód urodzone,
od świtu do świtu.

II

Piliśmy z twoich żył,
i byliśmy czyści.
Patrzyliśmy w ciebie, Morze,
a nie widzieliśmy cię.
Morze wątpliwości,
Morze wszechwiedzy,
Morze bezczasu,
Morze gwiazd ostatecznych,
Morze śmierci i wiecznego rodzenia,
Morze imienia nieznanego,
Oddechu nieskończony
nad skończoną pamięcią człowieka,
Głosie zamętu i pokoju.

Studnio wszechświata,
studnio naszego głodu i cierpienia,
studnio bezsensu i bezsiły,
nieprzemijający wietrze mądrości,
sztormie nieskończony
w naszych skończonych sercach.
Głosie krwi niezgłębiony
w porzuconych muszlach naszych mózgów.
Mowo wierności i rozpaczy,
ogromna jak nadzieja,
jak śmierć podniosła
nad urwanymi brzegami płaczu,

skąd wiatr ognisty
napędza koło czasu,
aż gwiazdy spadają w naszą krew
i syczą.
Mowo wielkiego dopełnienia.

III

Codziennie wychodzę na wysoką skarpę
i myślę – serce moje rozbije się
o brzeg mojego ciała.

Komu ten rytm wybijaszerce?
Dokąd lecą ptaki?
Karmiliśmy ich pieśni
zаслуchaniem,
oddawaliśmy cześć
ich jesiennemu milczeniu,
a one opuszczają nasze siedziby i pola.
Brzegiem Wielkiego Koła
podążają na południe,
brzegiem Wielkiego Koła
wracają z północy,
przynoszą nikię wieści
na wystrzępionych piórach.
A my czekamy na ich głos,
wiecznie czekamy.

IV

I nie wiemy, czego chcą od nas ptaki,
jak nie wiemy, czego chcą zmarli,
płonący jeszcze w wosku świec
i kamiennych urnach.
Wołają nas na tamten brzeg spokoju,
sami spokojni, czy szaleni?

Szydzą z nas, czy zazdroszczą,
tęsknią, czy nie wiedzą?

Pradawny kruk mądrości
przynosi Stamtąd listy
przez Ciemne Morze.
Któż odczyta to pismo milczenia?

Nad wodami głodny kruk
skrzydłami gniewu
roztrąca fale.

Dokąd biegniesz serce,
dokąd?

V

Późną jesienią,
w listopadowe zawieruchy,
gdy wszyscy krewni
spłynęli czołnami do zatok,
leżę samotnie
w rozbitej łodzi swego dziada
i czekam na zimowy sen.

Czy powtórzy się jeszcze
tamto lato w Morzu,
gdy po śladach naszych
zadzwoni powóz czasu
kołami wiecznego powrotu?

Ogromne ptaki
przelatują za oknem
i toną w śniegu.

Nadchodzi sen,
czy sen już się spełnia?

Niech zima łagodnych pól
śniegiem obsypie mi powieki.
Niech wiatr przewieje
i oczyści moje ciało.

Niechaj mnie ptaki zimy
uniosą nad brzeg Boga,
do źródeł ocalenia,
gdzie wodę pije moja śmierć.

VI

Oto ujrzałem ziemię pełną Boga
przez szczeliny wysokich fal
i usłyszałem głos:

Sen nad tobą jaśniej
jakbyś w serce światła
wpływał potajemnie,
w miękki brzuch Ryby-Słońca.
A jeszcze ujrzysz wiele wód
w tym śnie głębokim jak
Boga ludzki żal.
I przyjdą wielkie śniegi,
pochłoną cię
i w nich jak król zamieszkasz.

Pokochaj wtedy śmierć,
jak niegdyś znienawidziłeś czas.
Pokochaj także czas.
Bo tu jest kraj,
w którym się Wszystko
zeszło w Jedno.

Pan śniegów – władca czasu i śmierci
przyjmie cię w swoje salony
i uczyni królem morskich alabastrów.
Ale naucz się także kochać

nie wyśpiewane pieśni morza.
Widzisz jak fale biją pokłon
Nieznanemu
i światło gwiazd
rzucają mu do nóg?

Bądź tu falą i gwiazdą,
bliskością i oddaleniem,
płaczem i radością,
zagładą i ocaleniem,
góram bądź i doliną.
Bowiem u Nieznanego
Wszystko się zeszło w Jedno
i każda twoja łza
jest tylko kroplą deszczu.

VII

Więc pokochałem brak
i ciemność nazwałem światłem.
Ukochałem czas i śmierć,
a one przyjazne mi były
i we mnie były czas i śmierć.
Kochałem je jak własne dzieci,
jak swoją radość i płacz,
jak pierwszą gwiazdę
ujrzaną we śnie otwartym na oścież
w łonie matki,
w świetle ciemnym,
w głębinie płodowych wód.

Przeto kochając brak
umiłowałem swoją przeszłość
dla jej wielkiego nieistnienia.
Aż cień rzuciło na mnie TERAZ,
abym na wieki w nim umierał
jak bóg dławiony samotnością.

VIII

W czas mrozu i grudnia
dotarłem do kresu ciemności,
za mną stało Morze.

Czym jestem królem,
jakich zim wygnańcem –
powiedz, Nocy,
najpiękniejsza ze wszystkich ciemności,
pani ulatujących gwiazd?

Jak długo każesz mi czekać
z księżycą obolem na ustach,
w deszczu świecących planetoid –
tych w lód skamieniałych lat?

Nocy wielka, Pani księżycu,
światło umarłych
rozlane po rozstajach Mlecznej Drogi,
najostatniejszej z ludzkich dróg,
oto stoję przed tobą i czekam –
niech twe światło przeniknie mnie do dna,
a ty osądź, co twoje, co moje.

Oto stoję i czekam, o, Nocy,
tak jak drzewo stoi przed toporem.
Twoje prawo jest, moja odwaga,
ciemne światło ponad nami gore.

Noc milczała,
a tymczasem za mną
głos się wzmagął
w samym środku sztormu:
Co z fali się zrodziło,
nie utonie w fali.

IX

Oto ja
w słowie powiedziany,
w ziemi na zawsze zapisany;
na milion łodyg
kwiatów,
ziaren,
na każdy kamyk,
kroplę liścia,
to wielkie Pismo – moje ciało
na wszystko żywe i umarłe,
na to co było-jest-i-będzie
jak śpiew na chór
jest rozpisane.

Mówią mnie wszystkie drzewa –
zawierzyłem drzewom.
Milczą mnie wszystkie góry –
wiera niech będzie góróm.
Gasną we mnie gwiazdy –
zapalam się zorzą.

Ziemia oddycha –
ja umieram.
Ziemia oddycha –
znów się rodzę.
Ziemia zanika –
idę w gwiazdy.
Gwiazdy spadają –
jestem ziemią.

W smugach najcichszych meteorów,
w klepsydrach ptasich serc,
gdzie czas jak zmęczony wędrowiec
stuka o kamień Mlecznej Drogi –
tam jestem
w alfabecie świata.

X

Każdego ranka słucham
modlitwy mego ciała.
Wysoko się wspinam
na szczyt swoich rąk.
Wiem – świat mnie podśłuchuje
każdą porą ziemi,
świat się w drobinach mojej krwi
zatrzymał,
obudzi się, gdy wybuchnę,
i popłynie dalej.

A ja zostanę nad równinami
swego ciała
oddalony od siebie
jak noc od dnia,
jak od milczenia głosu.

XI

A jeśli przyjdzie STAMTĄD głos,
to czyj?
A jeśli z tamtych brzegów
nadejdzie sen i biel?
Zimowy sen
jest zawsze pełen śnieżnych pól
jak białych kart
do gry w niewidomego.

Śnie-rzeko-nieskończona,
śnie-wodo-niedośniona,
nie wódź nas na skończenie
w morz martwych bezruch, ani
nie zsyłaj jako cienie
na mglisty bytu kraniec.

Ale nas zbaw
od siebie samych.

Gdy cień nasz błąka się w twych cieniach,
do urny ciemnej jasny kamyk
rzuć nam na znak scalenia.

Kazimierz Świgocki



Tropy. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Małgorzata Szyszko-Kondej

Wywiad ze starą kobietą

– Najpiękniejsze wspomnienie?
dziwi się wyblakłymi oczami.

– Siedziałam na kolanach u ojca
i skubałam jego gęstą brodę.
Miałam cztery lata...

A później, dalej...?

– Siedziałam na kolanach u ojca...
– powtarza z uporem 90-letnia kobieta.

* * *

starość
jest jak kamień
nikt przy nim nie westchnie

skóra głazu zimna
wnętrze zatrzaśnięte

puk puk
nie słyszy
w uszach szumi chrabąszcz

hallo
nie widzi
oczy w pajęczynie

śmierdzi zbutwiałym mchem
niestrawionym śledziem

żałośniejszy od stracha na wróble
samotny aż boli

jak mu powiedzieć
żeby zszedł już z drogi

nikt
nie przytuli kamienia

Komunikat o śmierci

10 tysięcy pacjentów
na wirus grypy
nieszczęście

265 pasażerów
w katastrofie lotniczej
tragedia

18 klientów
zatrucie grzybami
dramat

9 turystów
podczas wspinaczki w górach
po prostu pech

6 mieszkańców
w pożarze kamienicy
straszne

1 człowiek
pod kołami samochodu
zginął cały świat

Gołąb

stałam na parkingu
i zastanawiałam się czy ruszyć
po co

i wtedy gołąb
zrobił kupę na szybie auta
wyglądała jak nieznany ląd
całkiem atrakcyjny

Dwoje starych ludzi

dwoje starych ludzi
i pies

idą
zmęczone nogi
ciężkie łapy
krok człap
człap krok

nagle
kałuża jak ocean

zastygają w zdumieniu

czekają
aż urosną im skrzydła

dwoje starych ludzi
i pies

* * *

Chciałam
żeby spotkało go
coś złego

I spotkała go
Starość

Małgorzata Szyszko-Kondej



Więźba. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Janusz Andrzejczak

Patrycy

Tej zimy spadł śnieg. Dzieci znały go tylko ze zdjęć, z bajek, z opowieści dziadków i nawet dla ich rodziców był czymś niezwykłym. Nikt nie miał sanek. Nawet jeśli kiedyś u kogoś były, w piwnicy czy w garażu, w końcu zostały wyrzucone, bo kilkanaście bezśnieżnych zim starczyło, by przestało mieć sens trzymanie czegoś kompletnie zbędnego.

Nieomal wszyscy uczyli się chodzić w głębokim śniegu, uczyli się oddychać na mrozie, dotykać śniegu, eksperymentować z jego lepkością. Przyglądano się pojedynczym płatkom i zdumiewano, że nie ma ani jednej takiej samej śnieżynki. Uczono się też patrzeć na śnieg, zwłaszcza przy pełnym słońcu, uczono się śniegu słuchać, jak pod nogami, w jakich temperaturach, inaczej chrzęści, a dzieci, po raz pierwszy i może jedyny w życiu, zapamiętywały smak śniegu.

Stał oparty o sosnę, mierzącą prościutko w niebo. Drzewo miało z osiemdziesiąt lat, gdy on nie miał nawet ośmiu dni. Wpatrzony przed siebie ani drgnął. Zaciśnięte usta nie wróżyły ciekawej rozmowy, ale przecież nieczęsto spotyka się kogokolwiek w głębokim lesie, przy zarastającym krzewami i drzewkami dukcie, więc wypadało cokolwiek powiedzieć.

Cześć – powiedziałem dla żartu.

Śszć – odmruknął albo mi się tylko zdawało.

Zatrzymałem się zdziwiony. Od razu zwróciły moją uwagę jego usta.

Z takimi ustami nie dziw, że mamrocześ – pomyślałem sobie i zacząłem rozglądać się za jakimś patykiem. Szukałem w śniegu takiego, by miał pośrodku prostopadłe odgałęzienie, które będzie można po prostu wbić w śnieg i trwale unieruchomić.

Cześć! – powiedział wyraźnie, już z nowymi ustami.

Kim jesteś? – zapytałem zaskoczony.

Jestem tym, kogo widzisz. Kogo widzisz? – zapytał.

Widzę, no, widzę... bałwana.

To się tak tobie tylko wydaje – powiedział, śmiesznie poruszając patykowymi ustami.

Przecież widzę, że jesteś jaki jesteś, to znaczy... ulepiony ze śnieżnych kul.

Przyłóż ucho do mojego brzucha, będzie mi łatwiej mówić – powiedział z trudem.

Dobrze, tylko że zimny jesteś – odrzekłem.

Moje ciepło nie jest jak twoje; nie bierze się z pokarmu, tylko z mimowolnej energii, jaką wyzwala wszystko, co jest w lesie. To jest inne ciepło niż twoje.

Przystawiłem ucho do jego środkowej kuli.

Owszem, jestem bałwanem, tylko nie tym, nie takim, jakiego masz w głowie. Masz w głowie mnie, jako głupca, durnia ulepionego ku uciechu, tymczasem jestem niewiele inny od ciebie. Byłeś tu setki razy, o różnych porach roku, sam nie wiesz, dlaczego zachodziłeś właśnie tutaj. Tak naprawdę wypatrywałeś mnie, w ogóle o tym nie wiedząc.

Chyba żartujesz! Chodziłem tędy setki razy w poszukiwaniu... bałwana! Żarty sobie robisz!

A widzisz! Właśnie potwierdziłeś, co i jak myślisz o mnie!

Właściwie to... masz rację, tak właśnie pomyślałem.

Patrycy mam na imię, a ty?

Mów na mnie Leśny. Tylko nie myl z leśniczym. Co tu robisz, Patrycy?

Bałwanowi opuściły się patykowe brwi.

Tego oczywiście nie pamiętam, bo mnie wtedy jeszcze nie było, ale na pewno spadł mokry śnieg. To już pamiętam: młodzi ludzie, kobieta i mężczyzna, z dwójką małych dzieci, z dziewczynką i chłopcem, zaczęli mnie lepić. Od małej kulki ulepionej gołymi rękoma, zaczął tata. Gdy kula była wielkości ludzkiej głowy, turlali ją już we czworo. Było, oj było przy tym sapania, zachęty do kulania, było, oj było przy tym śmiechu! Tak naprawdę zostałem ulepiony ze szczęścia tych ludzi. Tak się jakoś stało, że dokulali mnie do tej sosny. Mama powiedziała, żeby oddalić od niej kulę, na co dziewczynka krzyknęła, żeby mnie oprzeć o drzewo, to będzie mi się lżej stało. Gdy pierwsza kula dotknęła sosny, tata już lepił drugą. Skończona, była niewiele mniejsza od pierwszej. Tata zaparł się, by ją podnieść, ale to wcale nie było łatwe. Jeszcze trudniejsza w transporcie na górę była moja głowa z dodatkami w postaci nosa ze świerkowej szyszki, oczy z dwóch szyszek sosnowych, usta i brwi z gałązek. Na koniec wbito w mój bok suchą gałąź. Po co? Tego nie wiem. Pewnie dlatego, że tak właśnie, z miotłą, widzą ludzie bałwana. Jakbyśmy na tej miotle w nocy latali albo śnieg zmiatali. Od początku się nad tym zastanawiałem, aż się dowiedziałem.

Wszyscy byli mną zachwyceni, a najbardziej dzieci i mama. Tata robił zdjęcia. Od tamtego czasu już tu się nie pojawili i ty jesteś tutaj pierwszy z ludzi.

Nie jest ci tutaj nudno?

Chyba żartujesz?! Jak może być mi nudno, jeśli jestem zjednoczony z so-
sną, jeśli się wzajemnie wspieramy, rozmawiamy ze sobą, razem też układamy
wiersze.

Wierszeeee?! – krzyknąłem.

To przez ptaki. Na gałąź, która miała uchodzić za miotłę, przylatują nie-
ustannie: zięby, sikorki, gile, jemiółuszki, rudziki... Nie wyobrażasz sobie,
jaki potrafię być kolorowy! I o nich, i z nimi, też układam wiersze. Czasami
przelatują nade mną klucze dzikich gęsi. Lecą wysoko, wysoko, ponad koro-
nami drzew i zawsze ciągną za sobą cały poemat. Dawno, dawno nie ma już
ich na niebie, echo niebieskie, w którym głos odbija się od księżyca i gwiazd,
dawno zamilkło, a wciąż i wciąż snuje się za nimi poemat: niespiswalny
i niepojęty. Z ptasich szczebiotów, gwizdów, z niesłyszalnego dla ludzi szu-
mu, jaki wydają ich skrzydła, zbieram literkę po literce i sklejam z nich wers
po wersie, zwrotki, całe wiersze i poematy. Przeciętny człowiek nie jest w sta-
nie wyłowić z niego niczego, ale zdarzają się tacy, jak ty, którzy...

Którzy co?

Którzy potrafią zobaczyć to, co dla ludzi w ogóle jest niewidzialne, i usły-
szec niesłyszalne. Słyszą furkot ptaka, który nadleci dopiero za wiele chwil,
widzą mozolny chód chrząszcza po korze pnia. Tylko, że to ma swoją cenę:
zepchnięta ze stołu kartka papieru, upadając na podłogę czyni w ich uszach
hałas. Boli ich każdy dźwięk, prócz tych, które nawet gdy są głośne, przyna-
leżą do innego świata. Nie wprost, ale przez Tchnienie, które wyczuli i dana
im była zdolność do wprzęgnięcia jego elementów do swego ludzkiego dzieła.

Powiedz mi jeden ze swoich wierszy – zaproponowałem.

Minęło trochę czasu...

No, słucham, powiedz jakiś swój wiersz.

Już powiedziałam.

Nic nie słyszałem. Jeszcze raz proszę.

I znów minęła dłuższa chwila.

Niczego nie usłyszałem.

I nie usłyszysz. Dopóki ci się wydaje, że jestem tylko bałwanem. Zauważ,
jaki wydźwięk ma samo słowo „bałwan”. Co prawda jestem nim, ale mam
swoje własne, bałwanie życie z własnym, bałwanim językiem, ze swoimi
bałwanimi myślami, bałwanim patrzeniem, bałwanimi uczuciami, zachwy-
tami, wzruszeniami, ze swoimi łzami, z bałwaną jawą i bałwanym snem.
Potrafię być szczęśliwy, potrafię cierpieć, tak samo jak ty, tylko inaczej.

Spróbuj sobie wyobrazić, co i jak się widzi przez oczy z sosnowych szyszek, jak i co można wyartykułować poprzez usta z sosnowego patyka.

Myślisz sobie, że jestem ślepy i głuchy? Przeciwnie: słyszę i widzę o wiele więcej od ciebie! Na przykład dostrzegam zmysłami to, że każde z przez ciebie widzianych drzew, nie jest osobnym istnieniem, ale wszystkie razem są jednym, wielkim drzewem. Jak wszystkie z osobna ptaki są jednym ptakiem. I nie myśl sobie, że jakimś monstrualnie wielkim ptaszyskiem, ale takim najmniejszym z małych: na przykład kolibrem albo mysikrólikiem, ale posiadającym wszystkie naraz i każdą z osobna – cechę ptasiego stworzenia. Rośliny, zwierzęta, grzyby, porosty, kamienie, ziemia, ściółka, kora, pnie, igły, liście, piórka, drogi, dukty, bezdroża, światła, prześwity, a nade wszystko – cienie, to wszystko i o wiele, wiele więcej, są tak naprawdę – wierszami! Wiersz to nie tylko spisane piękne myśli, ale nade wszystko – umiejętność czy raczej – dar wychwytywania tych bożych, fruujących paproszków.

Czy teraz rozumiesz, że nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie powiedzieć ci żadnego swojego wiersza? One są wszędzie! Są – cieniami myśli samego Boga!

I to On zsyła klucze ptaków! Literka po literce, boski poemat.

Gdy pojechałem tam po około dwóch tygodniach, już nie było z kim rozmawiać. Po nagłym ociepleniu z Patrycego pozostała już tylko połowa najniższej kuli.

Cześć, Patrycy – szepnąłem, ale odpowiedzi już nie usłyszałem.

Będzie mi smutno bez ciebie.

Ileokroć tu będę, zawsze cię wspomnę.

Bardzo, bardzo chciałbym być Tobą, Patrycy.

Wodą jesteś, a woda...

...woda, wiadomo, to jest

ŻYCIE.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beśka

Syreny

(fragmenty)

Konstanty Podbiał obudził się parę minut po szóstej rano. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, nie było to bowiem jego mieszkanie na Bielanach, a także jaki jest dzień tygodnia. Dopiero po chwili, niczym zdjęcia w cudownym fotoplastikonie, przeleciały mu przed oczami obrazy wczorajszego wieczora.

Po spotkaniu z byłą żoną, Katarzyną Rawską, a tym bardziej po jej wynurzeniach i deklaracjach (ciekawe, czy powtórzyłaby to wszystko na trzeźwo?) jakoś nie chciało mu się wracać do domu. Dlatego zadzwonił do Agnieszki. Poznali się pół roku temu dzięki popularnej na całym świecie randkowej aplikacji i od razu przypadli sobie do gustu. Wynalazek pozwalał oszczędzać czas, obywало się bez podchodów, więc w łóżku wylądowali już na pierwszej randce. Było to zresztą niedaleko „Zbawiksa”, stąd pewnie decyzja Kostka, aby zadzwonić właśnie do niej.

- Wstajesz już? – zapytała zaspianym głosem leżąca obok Agnieszka.
- Jeszcze chwilę.

Sympatyczna brunetka pracowała w jednej z warszawskich agencji fotograficznych, mogła więc kojarzyć Podbiała z dawnych czasów, kiedy jeszcze u boku Rawskiej brylował na salonach. Ale nie знаła go, a przynajmniej tak twierdziła. Od dnia, w którym umówili się po raz pierwszy i skonsurowali związek, był u niej jeszcze dwukrotnie, ona zaś odwiedziła go raz. Ona miała za sobą nieudane małżeństwo, on też. Żadne z nich nie miało ochoty na następne. Od początku było wiadomo, że chodzi tylko o fizyczność, był to więc czysty układ.

Wczoraj jednak skończyło się tylko na rozmowie przy herbacie. Podbiałowi nie chciało się wracać do pustego mieszkania, więc najzwyczajniej w świecie poprosił o przenocowanie.

- Dobra decyzja – wymruczała dziewczyna.

Usiadł na łóżku i spojrzał na nią. Leżała na wznak, a jej część kołdry była odrzucona. Zaczął się przyglądać jej nogom. Nie mógł oczywiście nie pomyśleć o tamtej nieszczęsnej, którą znaleziono dobie temu. Cięcia, którymi oddzielono jej nogi od reszty ciała, były ukośnie. Kostkowi skojarzyło

się to w plastikowymi nóżkami lalek, którymi bawiła się jego młodsza siostra. Kończyny, bo rączki też, mocowało się do tułowia przy pomocy specjalnej wypustki i otworu. Klik i lalka cała, może wywijać nóżką do przodu i do tyłu, a nawet na okrągło!

– Co robisz? – zapytała Agnieszka, nie otwierając oczu.

No właśnie: co robił? Krawędzią dłoni przeciągał po pachwinie jej lewej nogi, wzdłuż koronki, którą obszyte były jej majteczki. Szybko cofnął rękę.

– Chyba nie zdążymy z szybkim numerkiem, Kostek – zaśmiała się Agnieszka, bo właśnie tak odczytała jego intencje. – Może następnym razem. Jak sobie znów o mnie przypominisz.

Kiedy wpadł do pokoju, gdzie odbywały się odprawy, komisarz Andrzej Rudzki był już w połowie relacji z interwencji, która rozpoczęła wczorajszy dzień.

– Przepraszam – bąknął Kostek niczym uczeń, skinął pokornie głową i zajął miejsce.

– O, jest nasz mściciel – przywitał go szef, podinspektor Kontra.

Wkrótce miał minąć rok, jak zastąpił na tym stanowisku młodszego inspektora Bronisława Musiała. Z jednej strony Podbiał żałował, że stary szef odszedł na emkę, bo w ostatnim czasie świetnie się dogadywali. Z drugiej miał nadzieję, że i teraz nie będzie źle, bowiem Krzysztof Kontra, tak jak i on kiedyś, przeniósł się do stolicy z Olsztyna. Zнали się z dawnych czasów, minęli kilka razy, czasem powspominali jakieś sprawy. Ale to wszystko. Nowy szef chciał się wykazać i przekonać, że zasłużył ma awans. I mieli na to pracować wszyscy podwładni.

– Nie rozumiem. – Kostek udał głupiego.

– Panowie nie wszyscy pewnie wiedzą, ale nasz kolega dokonał wczoraj na granicy Żoliborza i Bielán obywatelskiego zatrzymania dwóch osobników, którzy demolowali tramwaj – ciągnął Kontra, ciężko było jednak ocenić, czy opowieść skończy się pochwałą, czy reprimendą.

– Drobiazg – skomentował neutralnie bohater opowieści.

– Oczywiście były już telefony w tej sprawie. Jak łatwo zgadnąć, pełne świętego oburzenia, że, cytuję, „funkcjonariusz KSP dopuszcza się bestialskich czynów i samosądów”. Myślę, że powinienś napisać w tej sprawie raport, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś...

– Mam zaczęty w komputerze – skłamał Podbiał.

– To świetnie. Ale przerwaliśmy Andrzejowi. – Kontra spojrzał na Rudzkiego.

– Dziękuję – bąknął prelegent i zaczął czytać dalej: – W dniu wczorajszym, około godziny siedemnastej trzydzieści, do Komendy Rejonowej Policji Warszawa III przy ulicy Opaczewskiej zgłosiła się Hanna Król, lat czterdzieści cztery, kierowniczką zmiany w markecie spożywczym znajdującym się w centrum handlowym Złote Tarasy...

Kostek starał się nie słuchać. Nie obchodziły go cudze sprawy. Zastanawiał się nad słowami, którymi pół godziny temu pożegnała go Agnieszka. Czy miał jeszcze po co do niej dzwonić? Babki czasem jak coś chlapną.

– ... i rozpoznała tatuaż zaginionej – do Kostkowej głowy przedarło się zdanie, które sprawiło, że drgnął.

– Co? – Napotkał wzrok Rudzkiego. – Jakiej zaginionej?

– Jeszcze jedna kawa dla pana nadkomisarza – zaordynował Kontra, chociaż nie wiadomo było, kto jest odbiorcą polecenia. – Tak zwana „nadkawa”!

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Każdy, kto przypatrywałby się w tej chwili prowadzącemu odprawę, zauważyłby, jak jego łysa czaszka zmienia kolor na czerwony. Nie zdążył jednak nic powiedzieć ani zakląć, bo i tak się zdarzało. Osoba po drugiej stronie drzwi nacisnęła klamkę, najwyraźniej potraktowawszy pukanie jedynie jako formę ostrzeżenia. Jakby ktoś tutaj grzebał w spodniach.

– Dzień dobry.

Była to ładna blondynka w dopasowanej, białej koszuli i džinsach. W rękę nie trzymała jednak tacy z zamówioną kawą, a teczkę. Mogłoby się wydawać, że stary na coś takiego wybuchnie gniewem. Tymczasem stało się coś zupełnie przeciwnego: jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dzień dobry, niech pani siada. – Wskazał jej wolne miejsce na lewo od siebie, by przenieść wzrok na Kostka, a następnie na Rudzkiego.

– Opaczewska odezwała się, kiedy już kończyłem służbę, więc nie miałem możliwości powiadomienia o tym nadkomisarza Podbiała – wyrzucił z siebie jednym tchem Andrzej, wręczając raport przełożonemu. – A jeśli chodzi o rozpoznanie, to był przypadek. Kierowniczką zmiany zobaczyła ten tatuaż w komputerze, kiedy zgłaszała zaginięcie podwładnej. Akurat przeglądali te materiały...

– Niezły burdel – skomentował ktoś.

Kontra udął, że tego nie słyszał.

– Na Opaczewskiej nie powiedzieli tej kobiecie, że to zdjęcie trupa – dokończył Rudzki.

– Bardzo dziękuję, że się fatygowaleś, Andrzej. A teraz zmiataj z dziećciakami na zasłużone wakacje – powiedział szef. – Tylko żadnych awantur w tramwajach!

Rudzki opuścił gabinet. Tymczasem Podbiał był zupełnie skołowany, choć wnioski przedstawiały się jasno: on myślał o dupach, podczas gdy jego młodszy kolega pracował. Ciekawe, czy gdyby Rawska chciała od razu przystąpić do rzeczy, on by jej uległ. To się nawet ładnie nazywało. Seks z eks.

– Masz, orle. – Kontra rzucił w jego kierunku raport. – Sprawa jest międzynarodowa, więc trzeba się postarać.

– Rozumiem, że ta... – przez chwilę rozpaczliwie grzebał w papierach – Hanna Król jeszcze nie została przesłuchana. Chcielibyśmy... to znaczy chciałbym pójść jeszcze tropem tatuażu.

– No przecież ta baba go rozpoznała – zachnął się Kontra, ale zaraz machnął ręką. – I nie „chciałbym”, bo zaraz dostaniesz pomocnika.

Kostek już miał zaprotestować, bo przecież dziary mogą być podobne. Łukasz z salonu też tak mówił. Tymczasem skupił się na ostatnim zdaniu, które wypowiedział jego przełożony. Nowego pomocnika? Potoczył wzrokiem po twarzach siedzących przy stole. Z tego wszystkiego nie zdążył nawet sprawdzić, kto bierze udział w odprawie. Wszystkich facetów znał, jednych bardziej, drugich mniej. Nie było tak, że któregoś bardzo lubił albo nie, a to wszystko dlatego, że wszyscy byli w miarę młodym narybkiem. Każde rozwiązanie wydawało się więc dobre.

– Podkomisarz Kornelia Banaś. – Kontra wskazał na blondynkę. – Jeszcze tydzień temu cieszyła się z wakacji w mazurskim Szczytnie, dziś gotowa poznawać mroczne sekrety Warszawy i okolic. Mam nadzieję, że będzie wam się dobrze współpracowało.

Kostkowi wydawało się, że kolejne zdania, wypowiedziane przez szefa, dobiegają nie z ust siedzącego dwa metry od niego człowieka, ale z głośnika starego telewizora, który sąsiad za ścianą wciąż trzyma. A że jest przygłuchy, to dokręca potencjometr do oporu. Że co? Że to ma być jego nowa partnerka? No, brzmi fajnie i nie tak dwuznacznie jak partner. Wygląda też niczego sobie...

Podinspektor Kontra nie lubił nasiadówek i częstego gadania, więc odprawa szybko dobiegła końca. Kostek nie wstawał jednak z krzesła i patrzył przez okno, mimo że, w przeciwieństwie do jego pokoju, widok był kiepski, bo na jeden z wewnętrznych dziedzińców pałacu Mostowskich.

– Miło mi, Kornelia jestem. – Dziewczyna wyciągnęła rękę do powitania.

Kostek dźwignął się z miejsca i dopiero wtedy uściśnął wąską dłoń.

– Podbiał – przedstawił się.

– Tak mam się do pana zwracać? – zapytała podkomisarz Banaś.

Wzdrygnął się.

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę mi mówić po imieniu – wyjaśnił. – Taki mamy zwyczaj...

Sięgnęła po dokumenty sprawy, które wciąż leżały tam, gdzie rzucił je szef.

– Przykro mi, że będziesz musiała zaczynać robotę od czegoś takiego – powiedział Kostek, który powoli odzyskiwał rezon.

– No tak, można jeszcze przeprowadzać staruszki przez ulicę – skwitowała Kornelia, by dodać: – Słyszałam, że w tym mieście zdarza się to robić przy pomocy pałki. Albo radiowozu.

Chyba będzie z nią problem – pomyślał.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział, wskazując drzwi. – Chodź. Pokażę ci twoje biurko.

– Zabytkowe?

– A jak! Jeszcze podwładni generała Józwiaka przesłuchiwali przy nim dzisiejszych bohaterów. Tych z lasu. Jak się dobrze przypatrzeć, to można znaleźć ślady krwi.

– Weź...

– Powaga! Może nawet IPN zabierze ci te biurko i weźmie do muzeum. Albo zrobi z niego relikwii. Spieszmy się kochać biurka, tak szybko odchodzą...

Komisarz Andrzej Rudzki namieszał z samego rana, nie ma co. Złoty chłopak! Niech odpoczywa ze swoją gromadką, tym bardziej że ma być ładna pogoda. A czy właściwy trop złapał, to się jeszcze okaże.

Jednak bardziej namieszał ten, kto przydzielił Kostkowi kobietę, w dodatku dość młodą i dość ładną. Trzeba się było koniecznie dowiedzieć, kto za tym stoi. A póki co jakoś pchać dalej ten wózek, do spółki. Tak, czas płynął i trzeba było zabrać się do roboty. Podczas gdy policja rzeczna wypatrywała z góry trupa, Kostek i Kornelia mieli się zająć dołem.

Kurwa, planowałem jechać z kumplem do salonu tatuażu, a skończyło się na tym, że jadę z babką do centrum handlowego – pomyślał Kostek, bardziej jednak z rozbawieniem, niż ze złością.

– Lubisz wyprzedaże? – zapytał, wrzucając czwarty bieg, kiedy już mknęli Marszałkowską na południe.

– A co? – Pani podkomisarz, która siedziała na miejscu pasażera, wciąż wertując papiery, spojrzała na niego z ukosa.

– Bo ja ostatnio kupuję tylko na wyprzedażach. Szkoda kasy na nowości.

Miał wrażenie, że go otaksowała, od stóp na pedałach, po ręce na kierownicy.

– Zazwyczaj udaje mi się złapać to, co mi się wcześniej podobało – ciągnął. – Ale trzeba się spieszyć, bo potem wszystko jest skotłowane i wymacane jak w szmateksie. Naród mamy bardzo manualny, nie uważasz? Zostają uszkodzone śmieci albo rozmiary XXL, że słoń by się utopił.

Zaśmiała się, co go ucieszyło. Lody chyba powoli topniały.

– Też chodzę na wyprzedaże – odpowiedziała Kornelia. – Lubię ładne rzeczy, ale nie gonię za modą i nie muszę mieć wszystkiego od razu.

Teraz to Kostek powinien przyjrzeć się dziewczynie, ale nie musiał, bo robił to przez cały czas, odkąd znaleźli się w pokoju z widokiem na Ogród Krasińskich. Pod koszulą rysował się biust średniej wielkości. Panna (czy pani? Tego jeszcze nie wiedział) Banaś preferowała styl sportowy. Bo choć do jej aktualnego stroju pasowały zarówno szpilki, jak i adidasy, miała na nogach te drugie. Nie była jednak chłopczycą. Pomyślał jeszcze o Rawskiej. Ona akurat uważała, że na wyprzedażach kupuje tylko biedota. No i skończyło się, jak skończyło...

– Zdrowe podejście – skwitował.

Skręcili w Świętokrzyską.

– Dasz poprowadzić, jak będziemy wracali? – zapytała Kornelia.

– Pewnie. Nie ma problemu. Trzeba było mówić, to pojechałabyś i w tę stronę...

– Wiem, że lubisz siedzieć za kółkiem. Podobno zdarzało ci się nawet czasem nocować w samochodzie.

Nic nie odpowiedział. Przynajmniej na głos, bo w głowie zaczynała się gonitwa myśli.

Dziwna dziewczyna – ocenił Kornelię. – To, że życzliwi już zdążyli jej opowiedzieć, jak przed laty kimałem na policyjnym parkingu, a rano narzygałem na buty generała i to podczas święcenia radiowozów przez wielbego, to jeszcze rozumiem. Każdy jest przecież z czegoś znany. Krótkie *dossier*, jak w teleturnieju *Jeden z dziesięciu*: „Konstanty z Warszawy, pracuję w policji (i jeszcze się tego nie wstydzę), moje hobby to burdy w tramwajach i spanie po pijaku w radiowozie”. Tylko dlaczego ona mu o tym mówi? I to ledwie po trzydziestu minutach znajomości?

Chwilę później pobrał bilet parkingowy przed szlabanem i wjechali na parking podziemny Żłotych Tarasów. Schodami wjechali na parter i po kilku chwilach znaleźli się w spożywczym.

– Dzień dobry, szukamy pani Hanny Król – powiedział Kostek do dziewczyny, która samotnie siedziała w punkcie obsługi klienta.

– Z sanepidu? – zapytała półprzytomnie i nie czekając na odpowiedź, chwyciła za słuchawkę telefonu. – Hanka? Tak, już są...

Odsunęli się na bok, bowiem przed kontuarem, szeleszcząc paragonami, czaili się już jacyś klienci. Minutę później podeszła do nich zmęczona kobieta w średnim wieku.

– Państwo do mnie? – zapytała.

Kostek możliwie dyskretnie okazał odznakę, przedstawił siebie i Kornelię.

– Znaleźliście Ludmiłę? – zapytała Król i jej twarz na chwilę się rozjaśniła.

– Jeszcze szukamy – odparł Kostek, co tylko częściowo mijało się z prawdą. – Przyjechaliśmy, bo chcielibyśmy się czegoś więcej dowiedzieć.

– Przede wszystkim dziękujemy, że tak szybko zgłosiła pani zaginięcie – wtrąciła Kornelia.

Król wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy szybko – powiedziała. – Zrobiłam tylko to, co kazało mi kierownictwo. To zachodnia firma, mają swoje procedury. Poza tym nikt nie chce mieć kłopotów.

– To oczywiste – zgodził się Podbiał.

– Ludmiła nie pojawiła się w weekend w pracy, co skomplikowało nam życie. Pracuje jako kasjerka, więc sami państwo się domyślają, że to poważna sprawa. Czasami kolejki to idą w lady, zupełnie jak przed świętami.

– A poza tym jaką jest pracownicą? – zapytała policjantka.

Podbiał odetchnął z ulgą, bo użyła czasu teraźniejszego. Bardzo łatwo jest w takich przypadkach pomylić „jest” z „była”.

– Jak większość przyjezdnych dziewczyn – odpowiedziała szybko Hanna Król. – Nie pytają dlaczego, tylko harują po kilkanaście godzin na dobę. Nawet gdy nie są pewne, czy nazajutrz będzie do czego wracać, bo przecież tyle się teraz mówi o jeszcze większych cięciach. Ile ludzi już poszło na bruk.

– Nie da się ukryć – bąknął policjant.

– Kiedy się to zaczęło, część dziewczyn i chłopaków od razu wróciła do siebie, do domu. Tam przecież dużo łatwiej przetrwać, bo w Warszawie

to trzeba płacić za wynajem mieszkania. Niezależnie od tego, czy się pracuje, czy nie, prawda? A klienci ją lubili, bo przecież ładna.

– Rozumiem, że tatuaż nikomu z kierownictwa nie przeszkadzał... – ni to stwierdziła, ni to zapytała Kornelia.

– Skąd! Chociaż jakby go miała na twarzy albo wysoko na szyi, bo i dziwadła się zdarzają, to pewnie roboty by u nas nie dostała. Ale na nodze? Sama bym sobie zrobiła, gdybym była młodsza, proszę pani. Może właśnie takiego samego ptaszka.

Do kobiety podeszła młodsza w podobnym uniformie. Podsunęła jakiś dokument do podpisania. Moment był chyba odpowiedni, aby pokazać zdjęcie tatuażu. Kostek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Ale partnerka go powstrzymała, kładąc rękę na jego przedramieniu.

– Czy Ludmiła ma chłopaka? – zapytała Królową.

Szefowa skrzywiła się.

– A kręcił się tutaj taki jeden – odpowiedziała. – Jak dla mnie to on nie wzbudzał za grosz zaufania, bo w bluzie z kapturem i w ogóle jakiś taki niewyględny. Ale przecież to nie mnie miał się podobać, prawda? No i chyba trochę młodszy od niej, ale mogę się mylić. Znajdziecie ją?

– Postaramy się – powiedziała Kornelia Banaś. – Chcielibyśmy prosić, żeby pani jeszcze raz rzuciła okiem na zdjęcie, które widziała pani w komendzie przy Opaczewskiej. To jest powiększenie z miejskiego monitoringu, a że mowa o fragmencie ciała, więc może być niewyraźne – skłamała gładko.

Teraz ręka Kostka mogła już ponownie zanurkować w zanadrze. Szefowa zmiany przez chwilę przypatrywała się fotografii, trzymając ją w rękach, te zaś lekko jej drżały.

– Wydaje mi się, że właśnie taki tatuaż nosi Ludmiła – powiedziała wreszcie, po czym oddała zdjęcie. – Szczęście, że kamera go złapała. A gdyby miała na sobie długie spodnie albo spódnicę, wtedy nic z tego.

– Dziękujemy za informacje – powiedział Kostek.

Pożegnali się i ruszyli w głąb centrum handlowego, które powoli zaczynało się zaludniać. Temu miejscu akurat nie groził upadek, albowiem znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie dworca kolejowego Warszawa Centralna, więc wstępował tutaj nie tylko ten, kto zamierzał zrobić zakupy, ale każdy, kto ruszał w daleką podróż albo tylko wyszedł na spotkanie komuś, kto miał ją zakończyć. Tak czy siak: kto miał na zbyciu kilka chwil. Albo czuł parcie na pęcherz.

– Co teraz? – zapytała Kornela, kiedy jechali schodami ruchomymi w górę, mimo że powinni w dół, gdzie na parkingu czekał samochód.

Kostek nie odpowiedział. Spoglądał nieruchomo przed siebie. Wyglądali jak sto innych par, które znalazły się w tym miejscu ze stu powodów i których najważniejszym problemem jest to, czy na kawę iść po zaliczeniu sklepów mieszczących się na środkowej kondygnacji, czy dopiero po.

– Ktoś miał niefart od poniedziałku – mruknął Kostek, kiedy jechali na kolejne piętro.

Banaś nie od razu zorientowała się, o co chodzi. Dopiero po chwili jej wzrok zatrzymał się na trójce osobników, którzy podróżowali równoległymi schodami w dół. Ten, który jechał jako pierwszy, stał bokiem. Drugi, który znajdował się stopień wyżej, trzymał przed sobą złożone ręce, na których leżała džinsowa kurtka. Obok niego zaś, w bardzo bliskiej odległości i wbrew zasadzie, żeby lewą stronę trzymać wolną dla ludzi, którym się spieszy, stał trzeci.

– Cześć, Kostek – rzucił ten trzeci.

– Cześć.

Dopiero teraz Kornelia zrozumiała, kim byli pierwszy i trzeci, oraz że kurtka na rękach tego drugiego maskowała ręce w kajdankach.

– Rzeczywiście, kiepski początek dnia – powiedziała.

– Mam prośbę – rzekł nagle Podbiał, ruchem głowy wskazując kanapę.

– Poczekaj tu na mnie chwilę, dobrze?

Nie oponowała, ale też nie zapytała, o co chodzi. Odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął na prowadzących jeszcze wyżej schodach.

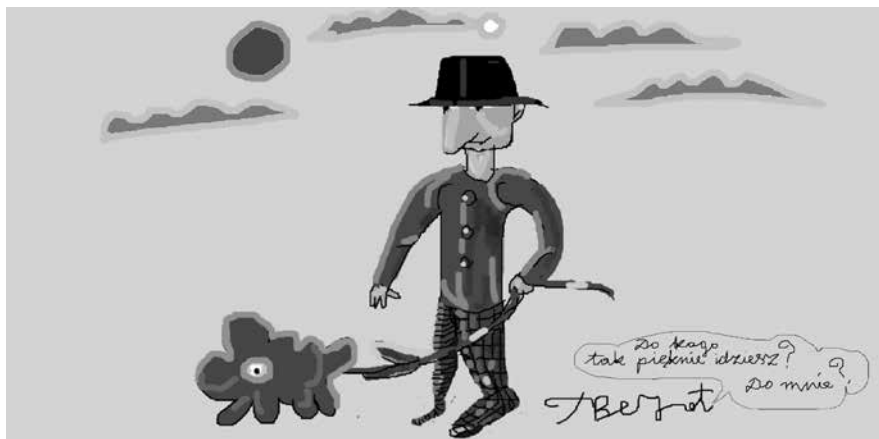
Krzysztof Beśka

Tamara Bołdak-Janowska

Krótki dialog położniczy Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka o tym, że się nie chce rozmawiać

BeJot: O czym będziemy rozmawiać? Nie chce mi się. Mam zrujnowany organizm. Ludzie to naczynia połączone. Kontakt z drugim człowiekiem jest gwarantem energii życiowej. Nie ma kontaktów, to energia siada, pada, kwiczy, i w ogóle nawet nie kwiczy. Jeśli spotkania autorskie to gadanina on-line, i nie tak, że najpierw żywe spotkanie z żywą publiką, nagrane i przeniesione w maszynkę, ale od razu w maszynce, pośród milionów tak gadających, to tracę energię życiową, bo ekran to rzecz; martwa rzecz. Przez ekran nie promieniuje żadna życiowa realna energia od ciała żywego tu i teraz, obok, przed. Martin Buber dawno temu przewidział ze zgrozą, że człowiek może być zapakowany w maszynkę, i będzie to oznaczało ostateczne zerwanie ciągłości w kulturze i zerwanie kontaktów w realu, i utratę energii życiowej, i w ogóle koniec kultury. Przybyło mi co najmniej dziesięć lat życia, którego i tak mam niewiele przed sobą. Jestem taka słaba bez kontaktu z żywymi ludźmi. Jak odcięta i porzucona.





Tolo: A mnie się czytać nie chce. Właśnie wpadła mi w ręce *Europa* N. Daviesa, cegła 2,20 kg (sprawdziłem po drodze na wadze warzywnej w sklepie). Cóż. Europa to ładny kawał kontynentu. I tych władców namaszczonej a udzielnych mamy bez liku, nie licząc samozwańczych papieży od prawdy wszelkiej, a każdy bitny ambitny, to i się nadziało. Wszędzie za dużo słów, leją się zewsząd jak oszalałe – nagle alergicznie przestałem ufać słowom. Przebiegłem oczami po opiewających Daviesa blurbach na tylnej okładce, opiewających do mdłości, nie mających odniesienia do treści, i jest ich co najmniej dwanaście, liczyć mi się nie chce, i na chybił trafił otworzyła się ta cegła, akurat na stronie z portretem Hitlera i ze słowami o nim, że był to „cichy, skromny, lubiący dzieci i zwierzęta wegetarianin”, ach, prawda, tyle że podpisał „to” na Żydów, ech. Jak mówię, zwątpilem. Dokąd się toczysz, Europo Daviesa! A blurby takie dokąd toczą nas! Wołam tak sobie w nie-powietrze ekranu z nie-powietrza ekranu. Być może Davies stara się o obiektywny opis Europy, ale ty mówisz za najbardziej żywotnymi filozofami, że obiektywności nie ma, jest tylko subiektywność, bardziej osobowościowa i mniej osobowościowa. W każdym razie ta strona odrzuciła mnie od tej cegły, no i te dęte blurby też mnie odrzuciły. Ty też mówisz ciągle, że za gruba książka, to niewyciśnięta książka z banałów i gadaniny, że opiewające blurby bez odniesienia do treści czy osoby to manipulacja. Cegła słowotok. No masz alergię na tandetne okładki grubych książek i na jednakowy styl w każdej z nich.

BeJot: Mnie odrzucają takie cegły i ten jednakowy styl, maszyna „poprawia” na jednakowo, coś strasznego, ale może ktoś je lubi, czyta i czyta przez rok, i dłużej. A *Europa* dla mnie za ciężka do noszenia z pokoju do pokoju czy trzymania na kolanach i przy sercu. Co innego powiem. Opisałam różę, którą mi podarowałaś, a wiersz zatytułowałam *Ona*, posłuchaj:

Ona

Podarowana przez Tola na Dzień Kobiet,
 gęstolica czerwona,
 z wysokim ciśnieniem pod fiolet.
 Bezsenna Rose.
 Któregoś ranka zwiesiła głowę
 na ramię (jest ramię) i otworzyła
 usta (są) – w wąskie wysokie
 O! i Och!
 Też człowiek,
 taka ona
 dla mnie, przede mną,
 we flakonowym mieszkaniu,
 gdzieś tam w kącie,
 ale tak być w kącie, to znaczy zająć cały kąt,
 wystąpić z brzegów,
 wystrzelić,
 i ściągnąć spojrzenia.
 Ogromna.
 Z głową, twarzą, wargą i tym krzykiem,
 to mój krzyk,
 w sukni z parasoli, pociętych w wilcze
 pyski, w dobroduszny szpic,
 w sukni poważnej,
 poważnie sprężystej,
 z własnym krwiobiegem,
 żywej –
 (nie mam takiej – – –
 Zestarzała się raptownie,
 wraz z suknią –
 zeszywniała,

ale pozostała piękna.
 Ma coś z zachodu słońca,
 zwłaszcza w słońcu,
 choć zachód to rozleglejsza akcja,
 ze szczęką upuszczoną w wodę,
 w las, wycinający w niej ząbki,
 z obiema szczękami, wgryzionymi – z wulkanicznym
 błyskiem kosi i kota rudzielca w locie – w czyjeś
 zapatrzone ramię.
 Za mało widzisz – powiedział ktoś.
 Widzę, co bliskie, bliżej, tuż.
 Ustalam, co się da uwspólnić,
 a co nie,
 co jest radosne w pierwszej chwili
 i w pamiętaniu.
 I w pamiętaniu, że przeminie,
 że się powtórzy – ze zmianą.
 Jeśli

Tolo: Po „jeśli” wielokropek?

BeJot: Żadnego znaku. Urywam wiersz. Można dopowiedzieć: „Jeśli się powtórzy”. Nie dopowiadam. Coś się powtórzy, a coś już nie. Przekwitłe życie już nie. Zamkniesz oczy raz na zawsze wraz ze światem, z każdym widokiem. Widoki wszelkie gwałtownie notuję, bo za chwilę... Zanotowałam piękno podarowanej róży, bo za chwilę...

Tolo: Jestem – jak mówią w takich sytuacjach sąsiedzi zza Odry – baff. Że też jedna róża może tyle dokonać! Zaniemówiłem z dokładnie przeciwnego powodu niż było wyżej, na początku. Cytuję za tobą, co ty zaczytywałaś z Hegla w *Nielegalnej zajęczycy*: „Tu jest róża, tutaj tańcz”. Pięknie zatańczyłaś. Będę ci znosić róże, a ty tylko nie przerywaj tańca. Wiem, brzmi nieskromnie, wyzywająco, a nawet prowokująco, bo przecież Covid i tańce zakazane. Właśnie, przez chwilę znalazłem się w lepszym świecie, dzięki ci za to. (Wiersz ma inną wyporność niż cegła i nadaje się na tratwę ratunkową).

BeJot: A ja ci dziękuję za bycie baff. Też mnie zdumiałeś tym byciem baff. Przeczytuję starych filozofów. Jak mówię, Bubera, ale i Brentano, i Spinozę, i Dawsona, i wielu innych. Bez lektury starych filozofów nie zrozumiemy ani Europy, ani świata, a bez lektury *Dialogów* Spinozy nie

zrozumiemy, czym jest „cywilizacja łacińska”. Nie zrozumiemy siebie, swego europejskiego charakteru i swoich lamentów i lekcji, różnicy pomiędzy moralnością a moralizowaniem. Przy czym książka Spinozy ciągle jest nośna, wciąż pozostaje nowatorska forma jego tekstów – to dialogi w postaci listów, czasem do kogoś wymyślnego, a to już pomysł genialny. Oczywiście widzę w tych wszystkich rozprawach momenty antykobiece, tradycyjny ściśle męski ogląd świata, ale to u Spinozy znajduję cenne zdanie w *Liście do Helwii*: „Jak wielu niewiast wspaniale czyny leżą pokryte mrokiem”. Zdanie aktualne jak zaraza. Spinoza rozmawiał z kobietami, pisał do nich. I chatę Romulusa mi podesłał, przypomniał, co to jest ta chata. To chata wygnania. Według niego do takiej chaty możemy przecież zabrać cnotę, talent, pisanie, rozmyślanie. Nie jest aż tak straszna. Tak jak tobą wstrząsnął opis Hitlera jako miłego faceta u Daviesa, tak mną wstrząsnęło coś u Spinozy, w *Księdze II O gniewie*. On tam pisze o „zarazie, wywoływanej rozmyślnie w Europie”. Z tym, że ja czytałam Spinozę nie na chybił trafił, a dokładnie. Ale to zdanie poraziło mnie. I jeszcze z listu *O pokoju ducha* coś ekstra: „Gdzie nadmiar, tam i wykroczenie”. Widzisz, jakie to aktualne? A zaraza, czy wywoływana rozmyślnie, czy nie, to uśmierca ludzi. Ona zabija naprawdę! I to jest przerażające. Z tym żaden rząd nie za bardzo może sobie poradzić. Nigdzie żaden rząd. W dodatku media rozprzestrzeniają feyki na ten temat i rozbudowane teorie spiskowe. Wywołują panikę. Panika to zły doradca. Panikujący ludzie żadnej sprawy nie rozwiążą tak dobrze, jak się tylko da w danej sytuacji. Spotkana na ulicy pielęgniarka stwierdza: „Teraz nie ma teorii spiskowych w sprawie zarazy, wszystko prawda”. Zdumiałam te słowa.

No więc w chacie Romulusa pisałam o róży, którą mi podarowałeś, i teraz ja jestem baff z powodu twojej tak bardzo pozytywnej reakcji. W samotnieniu, w samotności, w chacie wygnania mówiłam do róży, a przez nią do dalekiego człowieka z dobrym słuchem. A wracając do Bubera: on to postulował dialogizację zamiast wszelkich dualizacji, dialektyk, wszelkiego rozdawania. Dialogizacja! Czy nam się chce, czy nie, róbmy ją, dialogizację. A wiesz, że Parmenides całą swoją filozofię wyłożył ustami kobiety, apodyktycznie mówiącej bogini?

To kobieta apodyktycznie u niego mówi: „Tym samym jest bowiem myśleć i być” (fragment 3 poematu).

To nowożytni filozofowie stawali się coraz bardziej antykobiecami. Coraz bardziej ograniczali ludzkie bycie do połowy bycia.

Tolo: To fascynujące, co mówisz o Parmenidesie. Kartezjusz wyrósł z tych apodyktycznych żeńskich ust. Ale mieliśmy rozmawiać o tym, że się nie chce rozmawiać.

BeJot: To zdobądźmy się jednak na wysiłek dialogizacji. Nawiasem mówiąc, nie miałam pojęcia, jak bardzo ludzie są naczyniami połączonymi czy też jednym naczyniem – połączonym krwiobiegiem z miliardami krwiobiegów, jak bardzo poczuje się amputowana z ludzi, jak mocno odczuje pustkę w miejscu napływu energii życiowej. Razem – to pierwsza zasada społeczna, znowu mówię Buberem. On wielką literą pisze słowo „Naprzeciw”. Czyjeś spojrzenie na ulicy, odwzajemnione, czyjeś pomocne ramię na jezdni, pogaduchy z kimś znajomym w śródmieściu przed drogerią – to jest to Naprzeciw. To już jest Dialogizacja. Piszę to słowo wielką literą.

Tolo: Myśl Seneki o zarazie dziś trzeba by rozszerzyć na cały świat. Chciałbym spojrzeć na zjawisko chłodno, ale jak, żeby nie zabrzało to cynicznie? Znękana eksploatacją Ziemia powiedziała: dość! Tak? Właściwie krzyknęła? Krzyknęła i krzyczy? Ludzie, zatrzymajcie się! No i ludzie zatrzymali się, a trwa to już ponad rok. Ja czuję, czy też słyszę, ten krzyk Ziemi. Rozpaczliwy.

BeJot: A ja widzę zgarbione blade dzieci, jeśli je gdzieś widzę. Garbią się od ślęczenia przy komputerze i siedzenia w domu. Na spacer rzadko wyjdą z matką czy ojcem. Tym widokiem też jestem wstrząśnięta. Doprawdy. Jakies zabiedzone dzieci widzę. Trudno to znieść. One nie są radosne. Nie biegają, nie ćwierkają, nie przekomarzają się. Co za konstatacja! Szczęśliwie muszą być dzieci, których rodzice mają domy z ogrodem, sadem, dużym podwórkiem. Większość tak nie ma.

Tolo: Teraz ja na chybił trafił otworzyłem twoją lekturę, *Religię i kulturę* Dawsona, i masz cytaty: „Kultura obejmuje zwykle pewną liczbę niezależnych jednostek. (...) Kultura to forma społeczeństwa. Społeczeństwo bez kultury to społeczeństwo bezkształtne. (...) Społeczeństwo bez kultury to tłum albo zbiór jednostek, połączonych przygodną potrzebą”.

BeJot: Widzisz, jakie to aktualne? Gdzieś na którejś stronie Dawson przypomina łacińską sentencję: *Dum spiro, spero*. Czyli: póki tchu, póty otuchy. Ta sentencja bardzo mnie poruszyła, aż zrobiłam rysunek do niej, z twarzą Marcelki. Jaka szkoda, jaka strata dla kultury, dla języka, że w szkołach nie ma łaciny. Potem słyszę potworki językowe, w rodzaju „kłortet”. Powaliła mnie taka zamerykanizowana wymowa słowa (i to w telewizji), które przecież ma rodowód łaciński i wymawiać się je powinno po naszymu, po europejsku. Aż się mówić dalej nie chce. Powaliło mnie to,

zdołowało i odjęło mowę. Wymiękam. Słowo zostało odrąbane od swego źródła. Moja dusza krwawi.

Tolo: Mnie też poraził ten „kłortet”.

BeJot: Teraz ja otwieram na chybił trafił *Historię filozofii starożytnej* Giovanniego Realego, mam pod ręką, zaczęłam czytać na nowo. Teraz trafiam na definicję filozofii: „Filozofia to rozumna świadomość”. Brentano miał inną definicję filozofii, równie nośną: „Filozofia jest opisywaniem własnego myślenia”. U Realego: „Filozofia jest bezinteresowna, a więc wolna”. Co za stwierdzenie! Poezja też jest bezinteresowna, a więc wolna. Ale znowu: przecież nie mamy odbiorcy jako pustyni. To nie pustynia jest naszym widzem, czytelnikiem, rozmówcą. Nie pamiętam, który z filozofów mówił o takiej pustyni – nie w sensie, że coś tworzymy na pustyni, tylko w sensie odbiorcy. Wiesz, jednak mówić mi się nie chce. Ale mówię. Mówię starymi filozofami jak się mówi językami, przecież też wiekowymi. Języki muszą być rozumnymi starcami, nie mogą durnieć. A wiesz, że Anaksymander nazwał zasadę życia/bycia: „coś boskiego”? W grece to rodzaj nijaki; „coś boskiego” to: ono. Buber nazywa to, zasadę, wprost: Ono, i pisze to Ono wielką literą, i nie odmienia. Ono jest i jest, zawsze młode, choć w tym Ono wszystko rodzi się, kwitnie, umiera. I od początku ten ruch. A jak człowiek przerzuca się myślami starych filozofów, to jakby brał żywy udział w tym Ono, jakby stawał się wewnątrz większego myślenia. A myśleć się chce. Samo Ono nie myśli, jedynie jest i jest.

Tylko przeczytywanie starych filozofów w chacie Romulusa ma sens, bo daje energię życiową, bo bierzesz udział w wielkiej nadzwyczajnej bezinteresowności. I tam jeszcze język jest barwny, niewyprasowany przez maszynkę.

Ty napisałeś *Filozofię dosłowną*, zbiór krótkich historyjek. Przeczytaj którąś.

Tolo: Może być *Pochwała dotyku*?

BeJot: Oczywiście!

Tolo: Słuchaj. Kawalek bez akapitów; uwzględnij to, jak będziesz zapisywać:

Pochwała dotyku

Niebezpieczne jest życie – wmyślił się Tolo Szaleńczyk w życie – i jakieś pod włos zorganizowane. Jak się człowiek z nieochoty nie umyje, ma na koncie od razu dwa grzechy główne z siedmiu przewidzianych

na tydzień: nieczystość (ma ją zaraz po pysze i chciwości) i lenistwo (pozycja siódma).

Ale zaraz jest niedziela i zgrzeszysz aktywnością. A tu by się chciało pochwalić najśłodsze przymiarki młodości, kiedy serce aż się rwie, żeby ukrwić, co należy...

Shreki zza rzeki mawiają: *Einmal, ist keinmal*, gdy sąsiad sąsiadkę przeniesie przez kładkę, a dotyk na ciele zostaje i spać nie daje. Niechby się więc brat ten nasz i siostra nasza do woli podotykali i oblali miłosnym potem, bo potem... niebo może się zasnuć chmurami – był sobie człowiek i już go nie ma. (I szkoda mu było, i wstyd, i głupio), a tu poniedziałek i ewolucja pnie się dalej.

Tak wmyślony w życie, Tolo Szaleńczyk dokonał rzeczy fundamentalnej: naoliwił zawiasy drzwi i od razu poczuł lepsze krążenie. Tak go to ożywiło, że obiecał sobie nie używać do wieczora szorstkich w dotyku słów i wyrazów niewiadomego pochodzenia, i tylko myślał: żeby tak mój kraj bezszmerowo funkcjonował. Ale to by było, jakby go w ogóle nie było.

BeJot: Bardzo nam pasuje ten twój kawałek o dotyku, w tej rozmowie z niechceniem rozmowy i wysiłkiem chcenia, w tych nowych bezuczuciowych okolicznościach ekranowych. Pitagorejczycy dokonali we mnie, dosłownie: we mnie, w głębi duszy – żywej definicji Boga, to nic, że archaicznej: Bóg nie może się ciągnąć i ciągnąć. On jest i od razu go nie ma. To, co się ciągnie i ciągnie, to nie wiadomo, ku czemu – ku dobru czy ku złu. To, co się ciągnie i ciągnie, nie jest doskonałe, bo tylko rzeczy skończone są doskonałe. To, co jest Bogiem, nie potrzebuje Boga. Taka pierwotność bardzo mi odpowiada. Dusza zawiera w sobie wiele, wiele pierwotności. I jeszcze jedno: starożytni filozofowie mieli poczucie humoru. Nowożytni filozofowie utracili to.

Tolo: Zachciało mi się! Zachciało o dziwo. Zachciało się jeszcze cokolwiek naoliwić. Jeśli pozwolisz, to przeczytam coś jeszcze z „Filozofii dosłownej”, fragment o tym, jak mi kazałaś pozować na nieboszczyka, żeby zrobić rysunek.

BeJot: Czytaj.

Tolo: Czytam fragment zatytułowany: *Pointa*, a zapisując to, pamiętaj o braku akapitów. No to:

Pointa

Znowu napchało się chmur. Chmury, owszem, pojedynczo, ale nie żeby zaraz taki motłoch. Pod obniżonym niebem zrobiło się nagle barakowo, klaustrofobicznie.

Trzy łabędzie jak trzy białe róże rzuciło na ciemną posadzkę, to chociaż od spodu dzień kwitnie.

Jest ładnie i nieładnie. Dziś jest dobry dzień na nieboszczyka.

Gdy w pokoju gwizdże poziomo od okna, a w kłozecie pionowo od dołu, a w ustach masz coraz częściej pojawiający się trudny do zdefiniowania smak, jakby smak nadciągającej starości, odczucie, że w języku brakuje jakiegoś istotnego słowa, jeszcze nie wiadomo, co ono miałoby nazwać, to lepiej niczego nie uogólniać, bo ci wyjdzie, że życie to same epizody bez pointy.

Wytrzymaj brodę z potrawy, bo inaczej to, co powiesz, nie będzie miało już takiego znaczenia – przypomniał sobie i dalej ważył pojemność milczenia. Dobrze, że jest mikry, bo duży człowiek dźwiga więcej odpowiedzialności za siebie. Poza tym to uzależnienie dużego tyłka od tradycyjnych humorów krzesła czy ławki...

Z tej mielizny wyłowila go żona, której akurat potrzebny był nieboszczyk.

– Będziesz mi pozować przez chwilę?

Ożywiło go to.

– Za kogo mam robić?

– Za nieżywego.

– Właściwie czemu nie, ale najpierw musisz mnie tam wyprawić.

– To czym ci dać w łeb?

– Jakimś dobrym słowem, bo nigdy nie wiadomo, na jaką pogodę tam się trafi.

Dziś jest dobry dzień na nieboszczyka. Ona będzie szkicować, a model będzie nabierał rutyny, przemyśli to i owo z ostatecznego punktu widzenia, rozejrzy się...

– Za siebie mów – upomniął siebie samego.

– A co ja powiedziałem – odciął się sobie samemu.

Zrobił to, co ze zmarłymi czynią inni: sam się położył, sam opuścił sobie palcami powieki i starannie złożył ręce na piersi. Swoją przyszłość

ostatni układ dłoni uznał za najważniejszy: „Nieboszczyk zasklepił kokon i wycofał się w siebie. Proszę go więcej nie niepokoić”.

Żona mu jeszcze te palce trochę poprawiła, lekko przygniotła lekkim: „Trzymaj się tam”, musnęła (?) – i wszystko było perfekt – i nim przystąpiła do pracy, z uśmiechem powiedziała: „Tylko mi bez żadnych kawałów”.

Myślał, że poczuje przyjemne kołysanie, za ten cały trud dźwigania portek i w portkach, powiek i pod powiekami, a tu dość szybko zaczął sztywnieć. Wsłuchiwał się w te kości. Czemuś przypomniało mu się, jak będąc studentem, najął się jako ogrodnik i w ponury jesienny dzień zasadził sto pięćdziesiąt drzewek, zarobił sto pięćdziesiąt złotych, na połowę z kolegą, i rozparło go, i z tej nagłej wolności tego samego wieczoru wszystko rozdmuchał...

A potem został średnio kopnięty w stopę. I zaraz żona mocniej mu przyłożyła, słownie, bo miało być bez kawałów.

– Całkiem dobrze wyglądałeś. No i jak tam? – spytała, uśmiechając się.

– Tam? Tam chyba nic nie ma – powiedział z otchłani. Ale przecież gdzieś coś musi być.

I wtedy przypomniało mu się, co jeden łebek powiedział do drugiego łebka w takim jednym paskudnym filmie: „Jezus to był gość – uratował sobie życie”.



Tekst i rysunki Tamara Bołdak-Janowska

Andrzej Chąciński

Andrzej i Luiza

W Polsce był artystą grafikiem. Dzięki rysunkom zamieszczanym w pismach satyrycznych, wyrobił sobie pewną pozycję. Pewnego dnia jednak porzucił rysowanie i opuścił kraj.

Do Australii przyleciał z Afryki. O tym, co tam robił, nie chciał opowiadać. Kraju na antypodach nie obdarzył sympatią, ale do Polski wracać nie chciał.

– Co ja tam będę robił? – pytał. – Po tylu latach?

Zamieszkał u młodej Australijki, którą poznał przez ogłoszenie znalezione w lokalnej gazecie. Dziewczyna pozwoliła mu na to w nadziei, że ich znajomość skończy się małżeństwem. Zaprzyjaźnił się z pewną parą emigrantów – mężczyzna był z Krakowa, a kobieta ze Szczecina, gdzie i on sam mieszkał, nim zdecydował się na podróż do Afryki. Zapraszali go na weekendy, podczas których gotował i zabawiał gości opowiadaniem z Polski.

Był trochę młodszy ode mnie – zbliżał się do sześćdziesiątki.

Spotkałem go w centrum Melbourne. Załatwiałem tam właśnie formalności związane z powrotem do Polski. Kiedy usłyszał, że podjąłem taką decyzję, zmienił się na twarzy i mruknął, że ludzie, których ma okazję spotykać, dzielą się na takich, którzy zostają na peronach, oraz takich, którzy są zdolni do podjęcia poważnych decyzji. Był pewny, że w kraju spotkają mnie przykrości, mimo to zazdrościł mi powrotu do rodziny i ludzi należących do naszego środowiska. Uściskaliśmy się na pożegnanie.

Spotkaliśmy się znowu pięć lat później, zupełnie przypadkiem, gdy dostałem paszport na następny wyjazd i po trzech miesiącach spędzonych w Szwecji, otrzymałem zezwolenie na powrót do Australii.

Spotkanie nastąpiło w mieszkaniu pewnej polskiej rzeźbiarki. Mieszkała z córką, którą po długich staraniach sprowadziła z Polski. Obie były bardzo spragnione wiadomości z kraju. Kiedy dowiedziały się, że wróciłem, poprosiły, żebym do nich przyszedł podzielić się wrażeniami i doświadczeniami.

Gdy wszedłem do pokoju, od razu ujrzałem siedzącego przy oknie Andrzeja.

– Co się z tobą dzieje? – spytałem. – I co teraz robisz?

– Co robię? – odpowiedział. – Żenię się.

– A poza tym?

Wzruszył ramionami.

– Żyję po staremu.

Parę dni później poszliśmy do kawiarni, gdzie w paru zdaniach opowiedział mi o swej sytuacji. Dziewczyna, z którą miał zamiar się ożenić, miała dwadzieścia lat. Była Włoszką. Pracowała u adwokata w charakterze recepcjonistki. Pokazał mi jej fotografię. Miała bardzo ładną twarz. Regularne rysy, duże oczy, wspaniała cera. Na imię miała Luiza.

– To bardzo ciekawa sytuacja – powiedziałem. – Jednak, czy nie jest dla ciebie zbyt ryzykowna? Masz przeszło pięćdziesiąt lat!

– Powiedziała, że lubi doświadczonych mężczyzn – odparł. – W ich towarzystwie czuje się bezpieczna. A jeśli chodzi o mnie, to raz kozie śmierć. Zresztą w naszym środowisku często dochodzi do związków tego rodzaju.

Ceremonia i przyjęcie weselne odbyło się w rodzinnym gronie. Rodzice Luizy byli zwolennikami kardynała Lefebvre'a i z członkami włoskiego środowiska nie utrzymywali kontaktów. Możliwe, że z tego powodu udzieliłi Andrzejowi i Luizie zgody na zawarcie związku.

Parę dni po ślubie państwo młodzi znaleźli mieszkanie. Zaradnej Luizie udało się wynająć dom w dzielnicy, przez którą miała bieć ulica łącząca nas z centrum miasta. Niektóre domy w jej sąsiedztwie miały za parę miesięcy zniknąć. Komorne w nich było niskie, ponieważ lokatorzy musieli się liczyć z eksmisją.

Młodzi małżonkowie ładnie urządzili swoją siedzibę. Na piętrze znajdowała się sypialnia, na dole łazienka, kuchnia i salon, od frontu zaś pracownia Andrzeja. W kącie stały sztalugi, na ścianach wisiały jego plakaty. Były tam też projekty reklam, które Andrzej planował pokazać w dyrekcji firmy zaopatrującej w gaz mieszkańców miasta.

Później wyjaśnił mi, co usłyszał podczas spotkania: że ceną jego projekty, ale decyzje w sprawie zamówień zależą od kierownictwa. Możliwe, że w końcu coś u niego zamówili. Jednak nie tyle, ile się spodziewał.

Żyli bardzo skromnie. Luiza pracowała, a Andrzej zarabiał malowaniem portretów i projektowaniem reklam. Dzielnica, w której znajdował się ich dom, miała ładne położenie. Była uważana w Melbourne za płuca miasta. Między pniami drzew i kępami zarośli biegła kręta ścieżka. Ponieważ toczono na niej literackie dyskusje, ktoś wpadł na pomysł, żeby nazwać

ją „ścieżką filozofów”. Zwykle po takim spacerze towarzystwo zasiadało w salonie i spędzało całe wieczory przy winie i ciastkach.

Dyskusje prowadzone na ścieżce dotyczyły głównie sytuacji, w jakiej znaleźli się w Australii ludzie z naszego środowiska. – Oni nas do niczego tu nie potrzebują! – przekonywał Andrzej. – Im emigranci są potrzebni do fabryk, kopalni i pracy na farmach. Ludzie, którzy mają wyższe aspiracje, nie mają tutaj przyszłości. Władze są skłonne zatrudniać tylko fachowców, bez których nie mogłaby rozwijać się ich gospodarka.

O artystach nie wspominał. Wszyscy wiedzieli, że w pierwszych miesiącach pobytu spędzał noce na ławkach w parkach.

Luiza nie zabierała głosu w tych dyskusjach. Zamiast odgrywać rolę duszy towarzystwa, telefonowała do przyjaciółek. Często też spędzała całe godziny na rozmowach z matką.

Ich małżeństwo nie było tylko krótką przygodą – dwa razy spędzaliśmy wspólnie święta Bożego Narodzenia.

Aż któregoś dnia Luiza poinformowała o zakończeniu pracy w kancelarii. Zamiast chodzić codziennie do biura, zaczęła uzupełniać swoje wykształcenie na przeróżnych kursach. Andrzej w tym czasie dwoił się i troił, by zarobić przy projektowaniu reklam. Możliwe, że tym okresie korzystali również z zasiłku dla bezrobotnych.

Jakiś czas później dotarła do mnie wiadomość, że Luiza zapisała się na kurs samochodowy. Po dwóch czy trzech miesiącach jeden ze znajomych wspomniał, że kupiła volkwagena. Poruszając się na ulicach w okolicach ich przedmieścia, zacząłem na takie auta zwracać uwagę. Miałem nadzieję, że w jednym z nich ujrzę Luizę. Nie udało się.

Któregoś wieczoru zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos Andrzeja. Spytał, czy mógłby skorzystać z mojej pomocy. Z miejsca, gdzie znajduje się silnik w ich samochodzie, dobiegał nieprzyjemny hałas. Pół godziny później zająłem się ich samochodem. Wykonanie naprawy nie sprawiło mi trudności. Luiza zajęła miejsce za kierownicą i na mój znak parę razy przekręciła kluczyk. Wóz odpalił, silnik pracował bez zarzutu.

Kiedy Luiza stanęła przy mnie, spostrzegłem, że wyszczupłała. Poruszała się też z większą gracją.

Niedługo później ujrzałem ich volkwagena na drodze. Miejsce za kierownicą zajmowała Luiza, Andrzej siedział na tylnym siedzeniu. Muszę przyznać, że byłoby lepiej, gdyby to on był kierowcą samochodu.

Kiedy spotkałem się z nim tydzień później, rzuciłem uwagę:

– Uważaj, żeby tym samochodem od ciebie nie odjechała!

– Nie, nie! Skąd! – odpowiedział. – Ona jest do mnie bardzo przywiązana! Niedawno od niej słyszałem, że jest bardzo zadowolona z naszego małżeństwa.

O tym, jak w dalszym ciągu układało się ich pożycie, od czasu do czasu docierały do mnie różne wiadomości. Wynikało z nich, że Luiza w zakładzie należącym do znajomej zajmowała się również układaniem włosów i pielęgnacją paznokci. Andrzeja zaś miałem okazję zobaczyć w centrum miasta, gdzie w biurach podróży zbierał zamówienia na reklamy. Na pytanie, jak układają się jego osobiste sprawy, udzielał zawsze takich samych informacji.

– Luiza pracuje – mówił. – Ja trochę rysuję. Poza tym na mojej głowie jest gotowanie i sprzątanie domu...

Rozmawialiśmy też na temat mojej sytuacji. Moje współżycie z kobietą, którą poznałem w Australii, było pełne konfliktów. Nie byłem pewny, czy mnie nie opuści. Jednak ciągle mieszkaliśmy razem. Łączyło nas zamiłowanie do spacerów po plaży i spędzania czasu w malowniczych miejscowościach. W soboty lub piątki robiliśmy zakupy.

I właśnie podczas jednego z takich wyjazdów doszło do kolejnego zdarzenia. Jechaliśmy wtedy jedną z ulic w dzielnicy handlowej, pełną o tej porze przechodniów. Moja partnerka wyglądała przez okno samochodu, wypatrując nazwy sklepu, którego ogłoszenie znalazła w reklamowej ulotce. Nagle się poruszyła.

– Spójrz! – powiedziała. – Tam stoi Andrzej!

Podjechałem bliżej. Andrzej wyglądał jak człowiek, któremu coś się stało. Kiedy do niego podszedłem, prawie mnie nie poznał. Miał wyostrome rysy twarzy i błędny wzrok.

– Andrzej! – zawołałem. – Co się z tobą dzieje?

Spojrzał na mnie.

– Co się dzieje? – powtórzył. – Co się dzieje? Luiza ode mnie odeszła!

Wzięliśmy go pod rękę, zaprowadziliśmy do samochodu i zawieźliśmy do małżeństwa, z którym od lat się przyjaźnił. Spędził tydzień w ich domu. By zorientować się w aktualnej sytuacji, zadzwoniliśmy do Luizy, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Z czasem wszystko jakoś rozeszło się po kościach. Dziewczyna wróciła do niego przed końcem miesiąca. Poza tym, że podjęła pracę w zakładzie koleżanki, na temat jej innych decyzji nie mieliśmy wiadomości. Nie jest wykluczone, że po jej powrocie Andrzej wziął do serca wskazówkę, jakiej

udzieliła mu żona kolegi, u którego wtedy zamieszkała. Według niej powinien więcej czasu spędzać z Luizą w centrum miasta. Chodzić z nią do kawiarni, a także do restauracji. Dziewczyna garnie się do życia, tłumaczyła mu znajoma. A tobie sprawia przyjemność spędzanie czasu w domu. Nic dziwnego, że znalazła sobie towarzystwo. Aż dziwne jest, że w tak krótkim czasie do ciebie wróciła!

Podczas kolejnej rozmowy znajoma udzieliła mu jeszcze innej rady:

– Zajmij się na serio zarabianiem pieniędzy, a jej pozwól cieszyć się prowadzeniem domu. W ten sposób w krótkim czasie stworzycie rodzinę.

Jednak rada Andrzejowi nie trafiła do przekonania. Zarówno jemu, jak i Luizie, bardziej odpowiadał styl życia niezależnych artystów.

Podczas rozmowy ze mną ciągle utrzymywał, że jego związek z dziewczyną ma trwały charakter.

– Luiza chce być ze mną, ponieważ jestem artystą. Wiele razy od niej słyszałem, że nie zwraca uwagi na sytuację finansową. Dla niej znaczenie ma uczucie i świadomość, że związała się z człowiekiem, który zajmuje się ważnymi sprawami. A w ogóle to będzie, co będzie. Jestem przygotowany na to, co się ze mną stanie.

Spostrzegłem, że mówiąc to, traci humor.

Innym razem powiedział mi, że Luiza jest dla niego wszystkim i nie wie, co ze sobą robi, jeżeli go opuści. Słuchając go, miałem w oczach scenę, kiedy prawie nieprzytomny czekał na brzegu chodnika. Niewykluczone, że mało brakowało, a rzuciłby się wtedy pod tramwaj.

Na razie jednak nic nie zapowiadało, że stanie się coś złego. Luiza jeździła samochodem, a on był jak dawniej zajęty prowadzeniem gospodarstwa. Jednak kiedy go odwiedziłem, spostrzegłem, że gorzej wyglądał.

Ulubionym zajęciem Andrzeja było malowanie portretów Luizy. Były to obrazy robione miękką kredką. Technika była odpowiednia do urody dziewczyny. O tym, że Andrzej podejmował próby namalowania portretu olejnego, świadczyło przygotowane do tej pracy płótno. Później trafiło do schowka, co oznaczało, że uprawianie tej techniki malarstwa okazało się dla karykaturzysty za trudne.

Nie wiem, jak w późniejszym okresie ich pożycie się ułożyło, ale pamiętam, że Andrzej zwracał uwagę na wygląd Luizy. Spędzał z nią dużo czasu w City i starał się, żeby na terenie restauracji i klubów jej wygląd zwracał powszechną uwagę.

– Jestem artystą, to mogę być niedbale ubrany – mówił. – Ale ona musi mieć oprawę dla swojej urody!

Podczas jednego z ich pobytów w City nastąpiło zdarzenie, które mocno wpłynęło na jego sytuację. Doszło do niego w jednej z polskich restauracji. Był to mały, biednie umeblowany lokal, zajmujący piętro starego budynku. Andrzej i Luiza od czasu do czasu wpadali tam na kolację. W czasie zamawiania posiłku między Andrzejem i kelnerką wybuchła kłótnia. Nie wiem, o co im poszło, ale jestem pewny, że nie doszłoby do niej, gdyby Luiza w tym czasie nie była obecna w lokalu.

Możliwe, że powodem kłótni były jakieś uwagi na temat dziewczyny, które do siedzących na sali doleciały z kuchni.

– Zamiast obsługiwać klientów, pani powinna obrządzać krowy! – Podobno takie słowa komentarza Andrzej skierował do kelnerki.

Sprawa rozeszłaby się po kościach, gdyby nie to, że pracownica poskarżyła się na Andrzeja prezesowi miejscowej organizacji polonijnej. Prezes napisał list do Andrzeja, w którym potępił jego zachowanie i zabronił mu wstępu do lokalu.

– Jasne jest, że nie będę tam chodził! – powiedział na to Andrzej. – Jednak co to znaczy, że mi zakazuje wstępu? Jakie prawo ma ten człowiek, aby mi czegoś zakazywać?

Jako przyjezdny z Polski, reagował nerwowo na różne zakazy. Najbardziej zirytowało go przekonanie prezesa, że z tytułu swojego urzędu ma prawo ukarać członka swojego środowiska.

Wiadomość o kłótni z kelnerką trochę się rozniosła. Mogła mieć ujemny wpływ na zarobki Andrzeja, ponieważ emigranci, którzy prowadzili przedsiębiorstwa w City, nie mieli zbyt wiele sympatii dla „krajowego artysty”.

Z czasem krąg znajomych Andrzeja skurczył się do paru osób. Byli to ludzie, których ze względu na to, czym się zajmowali w Polsce, można było zaliczyć do artystów. Z ich strony mógł otrzymać jednak najwyżej duchowe wsparcie, niczego więcej nie mógł się spodziewać. Prawdą bowiem było to, że na terenie Australii nie było zapotrzebowania na dzieła artystów przyjezdných. Mimo że ostatnio dużo się zmieniło, osoby zajmujące się działalnością artystyczną nie mogły spodziewać się żadnych większych zarobków.

Stosunki Andrzeja z ludźmi należącymi do polskiego środowiska, zaczęły się psuć. Aby temu zaradzić, parę razy wyjechał do Sydney, gdzie kiedyś już spędził kilka miesięcy. Stosunki w polskim środowisku miały tam inny charakter. Miasto to, z powodu obecności turystów, było bardziej otwarte na świat niż konserwatywne Melbourne. Poza tym Andrzej

przyjaźnił się tam z redaktorem miejscowego pisma. Człowiek ten zamawiał u niego nie tylko rysunki, ale również opowiadania. Odnosiły się one do sytuacji, w jakich Andrzej znalazł się po opuszczeniu pokładu jednego z polskich statków. Z tekstów tych wynikało, że po kilku miesiącach życia w trudnych warunkach udało mu się dostać pracę w hotelu, co sprawiło, że biedy mógł uniknąć.

Hotel należał do jakiegoś amerykańskiego przedsiębiorstwa. Państwo, w którym Andrzej się osiedlił, nosiło nazwę Liberia i sto lat temu zostało założone przez przyjezdnych czarnoskórych obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy chcieli żyć z dala od dyskryminacji. Eksperyment był nieudany i kraj zaczął tonąć w długach. Jednak wymagania turystów dotyczące zakwaterowania były wyższe niż te, do których byli przyzwyczajeni jego stali mieszkańcy. Stąd obecność w stolicy kilku dobrze prowadzonych hoteli. W jednym z tych zakładów Andrzej dostał pracę dekoratora. Możliwe, że jego decyzja w sprawie przyjazdu do Australii miała związek z utratą miejsca w hotelu, w którym pracował i mieszkał. Niewykluczone, że w grę wchodziły jakieś osobiste sprawy.

Częste wyjazdy Andrzeja do Sydney sprawiły, że w naszych kontaktach doszło do trochę dłuższej przerwy.

Z czasem przestałem też widywać Luizę, a z Andrzejem na spotkania umawiałem się w kawiarni, ponieważ wśród znajomych już prawie się nie pokazywał. Wzięło się to stąd, że w ukazującym się w Sydney tygodniku opisał stosunki panujące w organizacjach emigracyjnych. Uwagi, którymi podzielił się z czytelnikami, przeważnie były trafne. Po tym, jak ukazały się w „Wiadomościach”, oprócz paru rozmów telefonicznych, które przeprowadził ze mną, z innymi znajomymi nie utrzymywał stosunków.

Luiza w dalszym ciągu zarabiała pieniądze, ale na pytanie, czy dalej z Andrzejem mieszka, nie otrzymałem odpowiedzi. Kiedy ostatni raz byłem w ich domu, Andrzej był zajęty pakowaniem książek, gdyż firma budująca nową autostradę już przystąpiła do pracy na terenie osiedla.

Wiadomości na temat nowego adresu Andrzeja nie udało mi się zdobyć. Od kogoś usłyszałem tylko, że książki i parę sztuk mebli oddał do przechowalni. Wyciągnąłem stąd wniosek, że nosi się z zamiarem zamieszkania w Sydney.

Kiedy dwa miesiące później znalazłem się na ulicy przy której dawniej mieszkali Andrzej i Luiza, spostrzegłem, że okna ich domu są zabite deskami. Byłem na sto procent pewny, że moja znajomość z nimi dobiegła końca. Jednak któregoś wieczoru usłyszałem dzwonek telefonu i po drugiej

stronie linii odezwał się Andrzej. Dzwonił z Melbourne. Powiedział, że zamieszkał w pokoju, który wynajął mu znajomy lotnik. Tak się zaczęła jego wędrówka z jednego pokoju do drugiego. Normalny sposób emigrantów na życie.

Zresztą i ja w tym czasie już mieszkalem sam.

Andrzej Chąciński



Przeszkoda. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Krzysztof Choiński

Powrót do „roboty” 1940

(fragment powieści „Polski los”)

Przez znajomości wśród członków Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej znaleziono dla Bronisława pokój u znanej autorki książek dla dzieci, która bez zbędnych pytań zgodziła się zakwaterować u siebie krewniaka Jankowskich. Jedyna informacja, jakiej jej udzielono, brzmiała „wysadzony z siodła przez wojnę”. Proponowana opłata miesięczna była umiarkowana, szarmanckie zachowanie Korowskiego zrobiło na pani domu wyraźne wrażenie, codzienne stosunki ułożyły się dobrze. Było ich troje: pani Krystyna, Bronisław i służąca, pyzata dziewczyna rodem gdzieś spod Marek. Nikt nikomu w drogę nie wchodził, użytkowanie łazienki zostało uregulowane bez kłopotu, a lokator miał nieograniczony dostęp do kuchni, gdzie mógł przygotowywać swoje posiłki. Jadał chudo i ubogo, stosownie do możliwości marnej pensji; zdarzało się jednak, że po zjedzeniu wodniściej kartoflanki z kawałkiem kartkowego chleba dostawał talerzyk z porcją gotowanych warzyw lub klusek z serem. Właścicielka mieszkania zapraszała go też od czasu do czasu na herbatę z kawałkiem ciasta z marchwi. Czuł się nieco zażenowany, ale przyjmował poczęstunki z wdzięcznością. Prowadzili przy deserze nostalgiczne rozmowy o świecie przedwojennym, lawirując ostrożnie, by żadna ze stron nie miała wrażenia, że coś się z niej wyciąga.

W odpowiedzi na podziękowania pani Krystyna powiedziała:

– Wojna rozrzuciła nas po świecie, oddzielając od rodzin i wyrывая z korzeniami z bezpiecznej egzystencji, więc kto może, powinien choć trochę pomóc bliźnim. Nie wiadomo, czy kiedyś sam nie znajdzie się w potrzebie.

Bronisław wracał z pracy otumaniony dziesiątkami operacji przeprowadzanych na drewnianych liczydłach, zziębnięty od stania na przystankach, na pół uduszony w tłoku i zaduchu wewnątrz tramwajowych. Jadąc, nie był w stanie myśleć o niczym innym poza upragnionym widokiem przystanku na placu Wilsona, od którego miał jeszcze spory kawałek do przejścia piechotą. Nawet towarzyszące mu stale myśli o najbliższych błądły pod ciśnieniem udręki komunikacyjnej. Potem pojawiał się w polu widzenia narożnik kamienicy z furtką prowadzącą na podwórko i do klatki

schodowej numer cztery. Tu ogarniał Bronisława niepokój: po drodze nie zaszło nic niezwykłego, nie dostrzegł niczych świdrujących oczu, nie zdarzyła się łapanka, ale czy u pani Krystyny wszystko w porządku? To pytanie powracało codziennie.

Po powrocie do domu pochłaniał obiad i kładł się na wąskiej kanapce, by patrzeć w sufit, co nieuchronnie prowadziło do drzemki. Pewnego popołudnia, kiedy zaczął zapadać w półsen, znalazł się nagle na ulicy, w tłumie ludzi spieszących dokądś, czy też uciekających przed czymś. Wiedział, że jest zupełnie sam, nie ma dokąd pójść i nikt nie może mu pomóc. Wśród nieruchomych, obojętnych twarzy zobaczył niespodziewanie kogoś znajomego. Nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki, ale wiedział doskonale, że nie wolno mu podejść ani odezwać się do niego, ponieważ ściągnie to na nich obu śmiertelne zagrożenie. Był to ktoś, kogo znał dobrze, a nie widział od lat. Nagle z tego majaczenia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Tak? – wychrypiał nieprzytomnie.

– Ma pan gości – głos służącej był przyciszony i jakiś niepewny.

Usiadł gwałtownie, zakręciło mu się w głowie. Barczysta sylwetka tworzyła ogromny cień na tle światła padającego z przedpokoju. Bronisław zapalił lampkę nocną i zobaczył czarną jesionkę, a nad nią okoloną wieńcem ryżawego zarostu puciołowatą głębę, z której patrzyły na niego wesoło błękitne ślepia.

– Ta ty mni ni puznajisz? – powiedział przybysz aksamitnym barytonem, o którym mówiono, że jego właściciel powinien występować w operze. Emil!

Padli sobie w objęcia. Nim zdążyli usiąść na rozchybotanych krzesłach, do drzwi zapukała pani domu.

– Czy można podać panom herbatę?

Bronisław przedstawił gości, nie wymieniając nazwiska, za to Wasiuk wyrębał głośno i wyraźnie:

– Edward Woliński.

– Bardzo mi miło. Czy pańscy, hm, towarzysze nie zamarzną na klatce schodowej? Może i im przydałoby się coś gorącego do picia?

Korowski osłupiał. Nie zdziwiło go, że Emil przyszedł z obstawą, ale jak ona to wypatrzyła, skoro od rana była bez przerwy w mieszkaniu?

Emil zaprotestował grzecznie:

– Łaskawa pani, oni wejść nie mogą.

– Wobec tego wyniesiemy herbatę...

– A co powiedzą lokatorzy, jak zobaczą obcych facetów, uczujących na podeście?

– Ooo, panie puł... Przepraszam, proszę pana, tu nikt się niczemu nie dziwi i o nic nie pyta. W naszej kamienicy nie ma folksdojczów, a dozorca to pewny człowiek.

– Wobec tego przyjmujemy poczęstunek z wdzięcznością. Cje rączki szanownej pani.

Lwowski akcent, który przedtem znikł, powrócił teraz figlarnie. Gospodyni wycofała się z wyrozumiałym uśmiechem, jakby miała do czynienia z psotnym urwisem, któremu trzeba wiele wybaczyć.

Wasiuk zachichotał.

– Awansowała mnie o dwa stopnie! Ale jak się domyśliła?

– Jeżeli ona ma takie dobre oko, to inni... – Bronisław podniósł palec ostrzegawczo. – Uważaj, Emil! Broda to nie wszystko. A swoją drogą, czy uwierzysz, że śniłeś mi się przed chwilą? Tylko nie mogłem sobie przypomnieć, że o ciebie chodzi, ot, tak w tłumie... Jak ci się udało mnie odszukać?

– Mam swoje sposoby – odrzekł Emil krótko.

– Słuchaj no, o nic nie chcę wypytywać, ale myślałem, że wyjechałeś do Rumunii z prezydentem.

– To ty nic nie wiesz? Ja już od czterech lat nie był na Zamku, przenieśli mnie do Komendy Miasta. Całe obłężenie spędziłem tutaj, nie wyjechałem.

Wasiuk przerwał na chwilę, bo właśnie weszła służąca z tacą, na której stały dwie parujące szklanki, talerzyk z ciastem i cukierniczka.

– Cje rączki – rzekł z uśmiechem, na co pomoc domowa spiekła raka i uciekła.

Upił łyk i pokręcił głową z podziwem.

– No, no! Twoja gospodyni ma jeszcze prawdziwą herbatę! Posłuchaj, Bronek. – Pochylił się ku rozmówcy i zniżył głos. – Jak ja się dowiedział, że jesteś tutaj, od razu pomyślał, spada mi on z nieba. Potrzebny mi ktoś, kto umie to, co ty robił w osiemnastym.

No tak, tego można było się spodziewać. Taka wizyta musiała mieć jakiś cel poza snuciem wspólnych wspomnień.

– Kochany Emilu, ja już jestem poza tym wszystkim. Swoje przeżyłem, postarzałem się, ścigają mnie. Mam tylko jedno marzenie: żeby się w coś nie wpakować. Za wiele tego miałem w życiu, wystarczy. Wybacz mi.

Wasiuk zafrasował się.

– Ja rozumi, ja rozumi! – akcent stał się znowu wyraźniejszy. – Ale i ty mni zrozum. Ta ja mam ludzi z przypadku, nieotrząskanych z tą robotą.

Ich dokument pierwszy lepszy żandarm rozpozna. A tu coraz więcej takich, co się muszą ukrywać. I dla naszych ludzi też papiery są potrzebne. A propos, ty słyszał, jak ja si teraz nazywam? Ta pani bedzi mogła spokojni powiedzić, że poznała niejakiego Wolińskiego – zachichotał. – Na wszelki pożarny sluczaj ja zachował inicjały, żeby si nie pomylić.

– No właśnie, co kto będzie mógł powiedzieć... – Bronisław pokręcił głową. – Wiesz, jak takie przepytywanie wygląda. Jestem człowiekiem słabym i gdyby mnie... Sam rozumiesz. Lepiej po naszym spotkaniu zmien nazwisko jeszcze raz.

– Ale posłuchaj! – Emil porzucił akcent. – Nikt o tobie nie będzie wiedział! No, może łączniczka i ja. Bronek, chodzi o ratowanie ludzi!

– Czy ja się w ogóle do czegoś nadaję? – Bronisław uśmiechnął się gorzko. – Stary dziad z zadyszką w roli konspiratora, to istna komedia.

– Pamiętasz, jak żeśmy za młodu wszystko rzucili i poszli za Komentantem? Nadstawialiśmy karku, ryzykowali, żeby tylko Polska była. A teraz trzeba znowu swoją cegielkę dorzucić, żeby ona powróciła.

– To dawne dzieje – opierał się Bronisław, chociaż coraz słabiej. – Czy moja cegielka może dzisiaj mieć jakieś znaczenie, tego nie wiesz ty i nie wiem ja.

Wasiuk porzucił nagle temat i zaczął mówić o latach spędzonych na Zamku. Wspominał wizyty oficjalnie, różne barwne sytuacje, wreszcie uroczystość wręczania buławy Rydzowi. Tu przerwał.

– No i widzisz – rzekł ponuro. – Za ładnie to wszystko wyglądało.

– A ty przecież byłeś najbliżej źródeł władzy. Musiałeś wiedzieć więcej od nas wszystkich. I nigdy nie przyszło ci do głowy, że grozi nam katastrofa? – powiedział zaciekawiony Korowski. – Ja na tej głuchej prowincji, na moim ciasnym poletku byłem zdany tylko na domysły, a i to...

Emil popatrzył na niego przeciągle i roześmiał się.

– Ech, ty, głucha prowincja! Obaj wiemy, jak to było! – machnął ręką. – Ty myślisz, że mnie do tajemnic dopuszczali? Byłem takim łapsem od pilnowania, żeby się panu prezydentowi co nie stało. Mogłem się tylko domyslać tego i owego. A potem zrobiłem się niewygodny, to i siupnęli mnie na szefa referatu bezpieczeństwa stolicy.

– O co poszło?

– Nie wiem dokładnie. Może nie umiałem ukryć, że jestem za Sławkiem, a może chodziło o urządzenie kogoś, kto po prostu był lepiej widziany.

– Co myślisz o Sikorskim? Wyrósł na wodza narodu i męża opatrznościowego.

Wasiuk spuścił wzrok.

– Słuchaj, Bronek, ty nie myśl, że ja cię pouczam, ale pamiętaj, że ja jestem żołnierz. Myśleć mi wolno wszystko, za to mam być posłuszny i szanować zwierzchnika.

Korowski poklepał go po ramieniu.

– Ja też uważam, że potrzebny jest taki człowiek-posąg, na którego wszyscy będą się powoływać.

Wasiuk spojrzał na zegarek.

– No to jakże będzie? Bo ja takiego specjalisty łatwo nie znajdę.

– Bierzesz mnie pod włos? Poczekaj, poczekaj! – Bronisław powstrzymał rozmówcę ruchem ręki. – Gdybym się zdecydował, musielibyscie mi coś zagwarantować.

– Ale co?

– Truciznę – rzekł dobitnie Korowski. – Bez tego ani mowy. Czy wiesz, ile razy marzyłem o arseniku, kiedy mnie wzywali na przesłuchania w Cytadeli? A przecież Ochrona to było głupstwo w porównaniu z tym, co Niemcy dziś robią.

Wasiuk wstał.

– Dobrze. Trudno będzie, ale... Nawiasem mówiąc, ja do ciebie więcej nie przyjdę. Spotkamy się we wtorek w trafice na Woli. Tu masz adres.

– Zaraz, zaraz! Czy ja powiedziałem, że się zgadzam?

– Jak nie przyjdiesz o jedenastej i nie zapytasz o fiki wiśniowe, będzie znaczyć, że nie. Odzew od właściciela sklepu: „Miałem jeszcze wczoraj, ale mi wyszły”.

Objął Bronisława, ucałował go w oba policzki i ruszył do wyjścia.

– A ja ci nawet nie podziękowałem za opinię do Krzyża – rzekł Korowski markotnie. – Przepraszam.

Wasiuk odwrócił się od drzwi.

– Jednak wiesz?

– Domyśliłem się, że spełnili moją prośbę i zwrócili się do ciebie. Pisać bezpośrednio nie śmiałem, byłeś przecie dygnitarzem.

– Idź ty! A to nawet ślad w twoich papierach po mnie nie został, bo wszystko ustnie załatwiłem. Nawet przypomniałem o twojej szarży.

– I co na to wysoka komisja?

– Powiedzieli, że w ewidencji nie mają. Bywaj, stary.

Wasiuk wsiąkł w mrok nocy, z którego wyłonił się tak niespodziewanie. Pani Krystyna nie zajrzała już tego wieczoru do Bronisława i nigdy później o wizycie nie wspomniała.

On zaś w nocy prawie nie spał. Nie mógł się zdecydować, czy przyjmie propozycję Emila, czy nie. Chwilami zapadał w płytki sen, a w nim powracała owa ciżba, w której przeczuł obecność Wasiuka. W końcu wstał wcześniej niż zwykle i tuż po godzinie policyjnej wymknął się bez śniadania, żeby pojechać na Wolę.

W drodze na przystanek zaczęło dręczyć go pytanie, kto powiedział, że nikt nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki.

Krzysztof Choiński



Przejścia nie ma, teren wojskowy. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Adam W. Kulik**Prozy****Podróż na Ukrainę**

Jechać tam. W mityczną krainę trądu i popiołu, dotykać ścian. Jechać w ostre słońce, w pył dróg, w pustynię po żywych. Nurzać się w smrodzie barokowych kaplic, które stoją nagie, odarte, ze strzępami świętych w ekskrementach. Czerwony marmur wyparł się Boga. Nie pytać o imię Boga tam. To, co pozostało, jest świadectwem cudu; ślady politruków odcisnięte w strachu, wytrzeszczu oczu, nawet w brzydocie domów.

Bóg jest: ludzie uczą się oddychać.

Wrócimy szczęśliwie niezaczepiani przez nikogo.

10 X 2019

Olesko

Otulony szczelnie latem dźwigam żarliwość, której nikt nie podejrzewa. Zewsząd słońce i falująca przestrzeń traw. Obok ona, od dwudziestu lat piękna i obca. Dalej on, popisy i córki. Gdyby choć zrąb zwykłej, ludzkiej przyjaźni, szczypta uczucia. Namiastka jest...

Stół w kaplicy; na marmurze położono dziecko, które urodziło się podczas burzy. Minie pół wieku i zatrzyma Turcję w apogeum świetności. Ocaleni tubylcy do dziś elokwentnie miedlą zewłok półprawd zerując geniusz króla. Podobni do swojej rzeki, szerokiej, niegdyś modrej, dziś niosącej brud. W zachłannej, plebejskiej poprawności wysilonej na intelekt łatwo zapomina się co rozsądek, co prawda. Jest tyle prawd, ile kolorów – co na to zwykły, chłopski rozum?

Nieudolna imitacja rezydencji króla. Niechlujne, ludowe wyobrażenie tego, czym była. Trzeźwieję, widząc rów oddzielający myśl od nienawiści, mnie od nich.

Wracam

Niesyty myśli, ludzi i obrazów gnam, nim miną Lata i przypływy obłaskawione porą pękających pąków jabłoni. W zatokach czasu szukam żarliwie,

po krawędź zmęczenia. Przebiegam morza, by dojść do jeszcze jednej Ziemi Obiecanej, jak pielgrzym do legowiska wymoszczonego słomą.

To, co miało nadejść, powszednie, zetraca się jak drzewo otulone kurzem codziennego tumultu. Przychodzi myśl o szczęśliwym powrocie. Jeszcze będąc, wracam, dale odpływają jak trzciniowe wyspy Titicaca. Widzę ich z dala czekających, stoją, wszyscy ze mną. Każdy ze mną i we mnie; kwietne córki wirują w kielkującej, rozpasanej młodości jak hibiskusy w słońcu...

Bezwład wypełnia czas do końca: przypadkowy pokój, hotelowe biurko. Myśli o tej, do której się wraca: transsgalaktyczny owoc granatu. Kiedyś zacznie zastygać w cichej, ciepłej kobiecości, w świetlistej melancholii, która gra naszą symfonię. Gdzieś, obok, rabusie świętyń, biegnący muzułmanie, twarze cwaniaków pełne pychy, którzy od zawsze okradają biednych. Moja chropowatość w chwili próby. Dalekie dzwonki Donnafugaty, błyski morza w Assos i Messynie, przejmująca nostalgia Hattusas, mityczny kecak mitycznych Balińczyków. Cierpnące w skwarze i woni moczu kamienie Kañcipuram, kopce termitów Kapadocji, w których żyją ludzie. Smak anatolijskiego piwa, w pełni słońca, na stopniach wpół zapadłego klasztoru; kryształki soli.

Wolałbym, by wciąż dziewczęca jak brąz żyłkowany złotem lub paryżanka z Knossos fantazyjnie nizała dni, przemiana jednak fascynuje, śni się jak wciąż nowy i wciąż ten sam nieodgadniony, wielki wodospad. Z jego bryzgów i piany wyłania się niespodziewana, czuła tkliwość...

Pomimo czkawki wieku, dezynwoltury zdarzeń, systemów kłamstw, jest to czas ludzi wrażliwych i przez to naiwnych, nazbyt beztrojskich. Skoro tak łatwo dają sobie odebrać uczucie, przerobić je na cywilizacyjną sieczkę...

„...nasze oczekiwanie nie jest daremne, a dar przybywa od kobiety”
zawsze wracam

Nagłe śmierci Pomiędzy systemami zaćmień

Iwan Groźny kazał golić bojarom tyłki podczas uroczystych biesiad w obecności zagranicznych delegacji. Piotr Pierwszy gwałcił żony i córki bojarów w obecności mężów i ojców publicznie, podczas uct. Torturował własnego syna. A potem kazał mu wetknąć rozżarzony do białości pręt w odbytnicę.

Nikt trupowi nie będzie przecież zaglądał do tyłka. Własnoręcznie ścinał swoich bojarów. Biczowanie dzwonów i zesłanie ich na Syberię jest już tylko żartem na miarę Kaliguli.

Francuzi w to nie uwierzą. Amerykanie wykrzykną: to niemożliwe! Chociaż po Wietnamie wszystko jest możliwe. Anglicy uśmiechną się z odzieniem przyklejonej na stałe wyższości: och, to takie nieprawdopodobne...

Spośród czterdziestu władców Regni Poloniae żaden nie był szaleńcem. Nikomu też nie przyszłoby do głowy nazwać takiego wielkim. Rewolucja, topiąc Rosję w morzu krwi (światowe rekordy rozstrzeliwań, dziennie powiatowe miasto do piachu!), przejęła tradycję upodlenia.

Jeszcze pamiętamy starych ludzi, którzy w roku 1918 i 1919 za wszelką cenę postanowili wrócić do Polski. „Trzymali nas w ziemiankach długich na osiemdziesiąt – sto metrów. Nigdzie miejsca dla siebie, skrawka intymności. Puchliśmy z głodu. Jedliśmy zupę gotowaną na ludzkim mięsie. Ale wyrwałem się”.

Kogo może dziwić zatajenie wybuchu reaktora w Czarnobylu? Rola cara-kata została odegrana sumiennie, z bezwzględną godnością Czyngis-chana.

Być może nasza powszednia normalność prowokuje wielkich sąsiadów. Normalność w systemie zaślepień jest regułą nie z tego świata. Jest nieznaną, a więc groźną, galaktyką, którą należy zdusić zanim się rozżarzy. Można to nazwać syndromem nagłej śmierci. Najlepiej – rozkładając ręce.

Podwójnie Widzący

(z cyklu Menażeria)

Nasza oświecona elokwencja ekscelencja, z mgielnym spojrzeniem dobrotliwego mężczyzny (nie bójmy się tego słowa), widzącego podwójnie, głębiej i bardziej kolorowo. Nie mówmy wprost, bo to rysztoł, bądźmy OK. Nas nieustająco zachwyca!

Znowu się odchudził, znaczy: będzie wspierał. Kogóż tym razem? Za każdym razem, w lewo czy w prawo, cynizm dobroduszny: taka linia, czytaj prezencja wydumana przez ekspertów od hucpy. Mordka upojna.

Z kolei Zenek Szuller, szorstki, zawsze w czystej opozycji – cynizm ironiczny. Ostatnio dostał porządnie po dupie, może i zmądrzał, choć trudno powiedzieć; zawsze się może załapać na jakąś eurowinę do nieba. ORMO czuwa. W podziemiu.

Mocne kontakty z mocno byłym Kłapouchym – tu z kolei cynizm prymitywny, skrajnie chamski, jemu nawet nie bardzo chce się starać, chociaż uchodzi za inteligentnego. Jeśli inteligencja – nie umawiamy się – to spsiała, cuchnąca rynsztokiem. Surówka i chamstwo. Jednak zdołał wychować ucznia, niby też inteligentnego Jaśka Ciulla. Inteligencji zatrząsienie, skąd jednak fetor? Dawniej inteligencja nie śmierdziała; czas przemodelować i znak, i desygnat.

Inteligencji z chamstwem nie pogodzisz: albo to, albo cham. Jemu się udało do pałacu. Może reszta w pałacu taka sama? Nabuchodonozor w każdej chwili może potrzebować ekstremalnego wariantu: od lewa do prawa! Zależnie z której strony przyjdzie sparować cios.

Nasz Podwójnie Widzący popiera tymczasem ładnego kandydata do urzędu, szypra-kutra z miasta Łeby, cy coś. Wybory: koniec spania, trzeba dupę ruszyć. Takie trasy wyborcze szyper-kuter kombinuje: cztery tysiące kilometrów – pięćdziesiąt miast. Inny palant: osiem tysięcy kilometrów – trzydzieści miast, od razu widać przekręt na paliwie! Kilometraż w porządku, ale co dalej?! Przydałoby się usłyszeć pięć mądrych zdań...

Okropnie da się lubić tego szypra-kutra bałtyckiego. Chłopak młody, ładny, jeszcze nie wyłysiał, no i nie dał się utopić na tym kutrze. Przyszpanował, że ha!

On ma coś takiego jako przyszły, domniemany polityk: „państwo nie może stać tyłem do obywatela”. I co robi? Wstaje o piątej rano i zasuwa pod fabrykę albo bar szybkiej obsługi. Tam wręcza przygodnym robotnikom i ekspedientkom – żadna stówka! – jabłko do łapy! Albo buła za dwadzieścia groszy. Dwadzieścia groszy, niecałe pięć centymów! Najtańszy happening świata!

No i one potem głosują na niego, te od buł i jabłek, na tego szypra, który zapodaje się jako przyszły pierwszy, potencjalny wódz. Widział kto? Taki spryt? Jabłko zamiast mądrej ustawy w parlamencie.

Jabłko! Byłbym ostrożny! Prawie drugi wicepremier *Endrju*.

Tu uwaga! On ludziom bardzo się podoba: romantyka morska, chociaż bez marynarki i bez stoczni – wszystko zdążyli upłynnić i rozpieprzyć nasze poprzednie genialne. Zajęte rządzeniem, kto by miał głowę do wszystkiego, jak rządzić trza. A jeszcze zadbać o cokolwiek? Ludzie kochane... – tu cytat z innego Wielkiego Wodza. Ten z kolei nie ma czasu na myślenie, bo nieustająco zbawia świat, razem z kosmitami. Jak przylecą, może co i z tego wyjdzie. Wypadałoby poczekać.

Podwójnie Widzący jest natomiast bardzo elokwentny. Przyjaźnił się z bardzo wieloma innymi elokwentnymi, własnoręcznie kartki wysyłał na święta, i wszystko dobrze aż do punktu kulminacyjnego: w tym momencie elokwentne towarzystwo wypięło się. Płonne kwalifikacje, płonne zamiary i płonne nadzieje, a tak mu się mniemało! Niemniej, każdy chciałby na takim łodzi zostać...

Wspomagał swe kruche siły człowiecze gdzie popadło, w każdej sytuacji, żeby tylko ustać. Posiadł tę zaletę, że nie rwał się do pałeczki dyrygenta podczas hucznych imprez towarzyskich, jak jego bardzo wytworny krewny w duchu. I za to go cenimy, choć jednakowoż mogłoby być lepiej. Natomiast nie cenimy za szwindle. Pałac, to pałac, zobowiązuje: jak już wlałeś, żyj po pałacowemu. Nie chcesz, nie włącz i nie rób poruty.

Wie o tym każdy przypadkowy Radek z ulicy, choć nie wiadomo do końca, czy do końca wie. Ale szpanuje, że wie!

Musimy zauważyć i zwrócić uwagę, że pewnych rzeczy w pałacu się nie robi, chociaż możliwe są do zrobienia lewą nogą. Wie o tym każdy książę – naturalny, nie z awansu! Się robi w dodatku siedząc na nocniku: pani szanowna małżonka – rozumiemy trudności z percepcją powagi urzędu szanownego małżonka – nie powinna występować jako reklamiera! Absolutnie! Tego się nie robi. Naprawdę. Nawet Berlusconi tego nie robił, choć bardzo robił dużo innych rzeczy. Putin – już nie pamiętamy – prezydent czy premier, szybko zmienia szarżę – zafundował mu szerokie, mahoniowe łóżce. Więc chłop musiał się starać!

Każdy by się starał, jak by mógł posunąć na hebanie! Skoro tak się złożyło, że się do pałacu trafiło – pałac narzuca powagę, nawet jeśli weszło się w łapciach, z Marxem pod pachą...

Bardzo przepraszamy, ale nie możemy nie zwrócić uwagi. Bardzo się kajamy, jednakowoż zwracamy...

Ziera Jesiotr vel Augustyna Płóć

Nic.

Najbardziej nam się podoba, kiedy lata po mieście, po wszystkich redakcjach, z drutami na zębach i dopierdała na własną rodzinę w rozkrocznych wywiadach. Dosłownie: zęby na drutach, nawet w tivi, takie parcie na szkło!, żeby w następnych miesiącach, po oddrutowaniu, jeszcze piękniej wypadać. Jedyną szansą kobiety na sukces jest skandal – powiada i rżnie.

Matka dobra, ojciec skurwiel, bili się, kłócili. Dziecko idealne. Najmądrzejsze z całej wsi, geniusza niechcący spłodzili.

Styl bezmózgowy: salony popapranych, słuchają chętnie, chętnie współczują, najchętniej jednak się śmieją. Po czasie. Szczekaczki nazywają to wielkim intelektem. U sowietów były jeszcze większe. Tam się nie dopierdalało, tylko oficjalnie donosiło na ojca, brata, siostrę, bo tego wymagała świetlana przyszłość komunizmu, w perspektywie ogólnoswiatowego. Żeby zbudować, należało jednak wyróżnić trzydzieści milionów – ludzi, nie krów! W Rosji! Drugie tyle poza Rosją. Na Chiny wypadało najpierw dwadzieścia milionów, tak zwana rewolucja kulturalna (dlaczego nie ubojnia niekulturalna?), ale filmowe echo zapodaje, że podczas Wielkiego Skoku z bieżącym życiem pożegnało się od trzydziestu dziewięciu do pięćdziesięciu pięciu milionów Chińczyków: wewnętrzna II wojna światowa.

Czasem danego ojca, jak pisał rewolucjonista, się po prostu zarzynało. Zależnie od kwalifikacji. Zdaje się jednak rewolucjonista nie do końca, jego też rozwalili! Jak się nie chciało paprać rąk, ojciecgnił po donosach w łagrze dziesięć albo i dwadzieścia pięć lat!

Ziera: zero treści, chociaż przepelniona elokwencją. Jak to możliwe? Proste: Cud! Długo była panią doktor. Zadziorną, młodą, gniewną *naukowcą*, ale nie wyszło, ktoś musiał donieść, wypieprzili.

Pozostaje?

– Dopierdalać!

Nuworysze kontente; zrobiło to karierę przez awans społeczny i wieczorowe uniwersytety wumlu, więc elokwentna pani doktor, ideologiczna podpora, była bezcenna! Napiszmy wielkimi literami: WUML! Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu – dla małaolotów i skołowanych absolwentów czerwonych kierunków, żeby cokolwiek czaili. Indeksy WUML-u niektórzy wozili pod siedzeniem w samochodzie, żeby nikt nie wytropił, rewizja albo warsztat samochodowy demaskowały w pół godziny. Tymczasowo durne to, rozbiegane, rozbuchane we wczesnomłodzieńczych seks-tragediach i tropikalnych hczeniach, to i wierzy w byle co, szurnięte przez Zierę, Czwartki, Piątki, a nawet Kuby i Jurki. Przegadasz kury w kurniku? A świnię w chlewie? Tam się języka salonu nie używa, bo nikt go nie rozumie.

Jesteśmy niestety w Europie, walić w mordę nie wypada. Nas to zobowiązuje, jakiś sznyt trzeba mieć; ideolo-towarzystwo Ziery już niekoniecznie. Zestrzelić samolot? Proszę bardzo! Najechać sąsiada dla jego dobra? Albo jednego! Wysadzić bloki z mieszkańcami i szurnąć, że Czeczeńcy? Teatr? Owszem, rozwalamy. Rządowy samolot, który się rozpadł na trzydzieści

tysięcy części? Brzoza go rozpieprzyła! *Rezime*: wszystko dla dobra ludzkości i KGB.

One są tak mądre, że rozgrzeszą się ze wszystkiego w aurze nieskończonej pseudofilozoficznej pseudomądrości. Brzmi mądrze, nic nie znaczy. Bo i nie ma znaczyć. Ale niektórym wystarczy, idą na lep. Ma się tylko być, szybko czekać do kamery, kreować fakty medialne. Ziera jest w tym naprawdę dobra!

Tymczasem szurnięty na czerwono Zachód zaczyna szukać sensów: Ziera walczy! Zdzierają żelówki i gardło. Wołodia też walczy! Czy jeden samolot szlag trafił? Zestrzelonych samolotów mnóstwo, róbmy interesy z Wołodią i bez! Wołodia Szczodry, łysemu Ogierowi z Włoch odpalił na imieniny... Szczery chłopak!

Od tego akapitu lecimy pluralis.

Jesteśmy za mali i troszeczkę niedojrzali na gigant wichry intelektualno-zierowe. Najprawdopodobniej chodzi o konkretne przyczyny w fajdaniu na własne rodziny, jakąś ojczyznę, małą czy dużą. Wielki, aktualny styl intelektualny polega na tym, że sra się na wszystko z siłą pięćdziesięciu metrów pod wiatr. Możemy się umówić: pięciu węzłów podwietrznych.

Ziera wygląda na jesiotta trzeciej świeżości rodzaju męskiego, chociaż niebrzydka. Takiej kategorii towar wciska. Może towarzysze współ w zespół naprawdę chcą tu zrobić coś w rodzaju Neo Kraju Rad? Właściwie Kraju Jednej Rady, Jednej Partii, jakiegoś Czadu czy Konga? Dlaczego jednak tu? Czy Korea Północna przestała istnieć? A Kubę porwali kosmici? Wypadałoby pojechać do Wołodii, do jakiegoś Kim Ir Sena czy innego następcy, posiedzieć w łagrze, pogadać z zekami, pojeść brukwi z mchem, poganiać na golasa na trzydziestostopniowym mrozie – może by przeszło? Może coś by zakiełkowało?

Tam, nieprawdaż, w owych wielkich, szczęśliwych krajach wszyscy zgadzają się z wodzem przed wyborami, a i po. Czyż nie są najszczęśliwsi pod słońcem? Niekompatybilni wybierają relaks i seks w łagrach. Nic nowego. Pamiętamy – nieprawdaż – nieprawdopodobną powieść napisaną w kraju, gdzie kwitł styl i ustrój, do którego zdaje się tęsknić to panię (starepolszczyzna, mamy nadzieję, że się nie obrazi).

Pierwsze czytanie powieści: myśleliśmy – cóż za genialna, pięknie napisana powieść w dziwnym stylu surrealistycznym – taki Dali bliskiego i dalekiego Wschodu.

Drugie czytanie nie było już tak optymistyczne. Oprzytomnieliśmy. Dzieło Mistrza opowiadającego o Małgorzacie tkwi w przeraźliwym,

surrealnym realizmie, który nie tyle ma wspólnego z intelektualną grą, artystycznymi wizjami, nieskrępowaną fantazją, jaką można by określić autentyczny surrealizm wielkiego hochsztaplera z Hiszpanii, co z koszmarem rzeczywistości. W ideowej stolicy świata tak wyglądało autentyczne czarcie (bo nie ludzkie) życie, które tylko naiwny czytelnik mógł odbierać jako finezyjnie wymyśloną fikcję. Gienierały, NKWD, sowiecka wierchuszka balowały na całkiem adekwatnych balach, choć bez przytoczonego, konkretnego Szatana. Ulubiony trick – podesty do tańca na grobach. Szatana niby nie było, a omiałał powszednią codzienność. Nie musiał się materializować, był!

Augustyna Ziera nie ma nic z powieściowej finezji demonicznej powieści, chociaż niczego sobie. Gania po kursokonferencjach, studiach radiowych i telewizyjnych, a ponieważ nie ma nic do powiedzenia, pozostał jedynie słuszny kierunek. Jakimż to demokratycznym na przebogato krajem jesteśmy; jest zapraszana uprzejmie, nagrywana i eksponowana (z drutami w zębach i bez), gdy z tych samych stacji wywala się na pysk dziennikarzy kompetentnych i uczciwych, ponieważ ośmielają się nie tylko myśleć, ale i coś sensownego od czasu do czasu powiedzieć.

Przetestowaliśmy to: za komuny sterowanej przez sekretarzy i generałów było tak samo. Zastanawia, że oni, owi „demokraci”, tego nie pamiętają i trzeba im przypominać co krok, aż do zarzygania. Za komuny wytyczał drogę słuszny kierunek: rację zawsze mieli towarzysze o dłuższym stażu partyjnym! I kto mówi, że tak nie było?

Sekretarz dzielnicowy, gminny, powiatowy – szycha! Nie schodził z areny i z anteny. I też nie miał nic do powiedzenia. Wystarczyło kilka zwrotów wykutych na blachę: przewodnia siła naszej partii, Związek Radziecki naszym przyjacielem, człowiek dobrem najwyższym, zgniły kapitalizm, zgniły Zachód, zbudujemy, nie pozwolimy, klasa robotnicza, nie oddamy, odbierzemy, wyzwolimy! Co odbierać, do dziś nie wiemy. Nikt nam niczego nie próbował zabierać prócz ukochanego Związku Radzieckiego. Od kogo mieliśmy się wyzwalać, skoro już byliśmy wyzwoleni, i to na fest?

Gdyby rzeczona Ziera Jesiotr vel Augustyna P., uczyć się chciała, musiałaby w końcu trafić na coś konkretnego, jak nawiedzony filozof z Paryża, co nie kuma, ale wierzy, bardzo dużo mówi i pisze; Rosja jest duża, może sobie pozwolić na eksperymenty. Powiedzmy: problematyka reperkusji gospodarczych po wystrzelaniu trzydziestu milionów (wliczając w to uśmierconych przy wyrębie tajgi), w odstępie trzydziestu lat? Albo: reakcje psychiczne społeczeństwa po zagłodzeniu siedmiu, albo tylko czterech

milionów? Albo: kulturotwórcza rola łagrów i wpływ na psychikę dwóch milionów zapudłowanych rok w rok? Te proste problemy rodzą proste pytania, jaka przyszłość itepe. Do czego tu namawiać szanowna abnegatko z drutami w zębach? Kogo jeszcze dorżnąć, rozstrzelać, zagazować, wykończyć w obozie, piwnicach służb? Tam nie ma specja od drutów na zęby.

Dojrzały mężczyzna (uparcie nie bójmy się tego słowa!) w czynie społecznym powinien skonsumować to ponętne ciało, zdjawszy uprzednio druty. I żeby od razu trojaczki, żeby palma szybko przeszła; w codziennej, intensywnej krzątaniu człowiek bardzo szybko się uczy. Zwłaszcza kobieta, bez względu na zróżnicowanie pięćdziesięciu ośmiu płci kobiecych i mieszanym. A jeśli już naprawdę nie, niechby sobie testowała narkotyki na własnych dzieciach. Albo wychowywała je w duchu lesbijsko-pederastycznym (dla niedouczonej: nie obelga, to medyczny termin). Nam by to nie przeszkadzało (pluralis!): patrzylibyśmy z boku na interesujący eksperyment, kojarzący się jakoś z ekskrementami. Jesteśmy tolerancyjni, potrafimy wiele zrozumieć, ale – po komunie – mamy uczulenie na przedstawianie mózgów. Komuna usiłowała wprowadzić czerwone myślenie na co dzień. Nie wszystkich udało się ocalić, szczepionki nie starczyło, ale i nie wszyscy też chcieli się szczepić. Wielu połknęło haka, kięlkującego coraz bardziej beczelnie, arogancko w stronę różowego, postbolszewickiego liberalizmu. Wszystko jedno jak to nazwiemy.

Ot, nieszczęsna. Znana z tego, że jest znana.

Jeśli wagina się gotuje, najprostszy sposób: chłop! Od biologii jeszcze nikt nie uciekł. Z głupoty trudno się wyleczyć, z lewactwa, zwłaszcza jeśli się zaliczyło trzydzieści infantylnych wiosen można, to trudne, trzeba tylko chcieć. Trzeba dużo czytać, rozmawiać z ludźmi – nie tylko z tymi w telewizji. Warto uszczknąć pisarzy wychowanych w lewactwie, a mimo to normalnie myślących, nieprzemakalnych na idiotyzmy. O socjalizmie i komunizmie wiedzieli wszystko. Wolna magma i wolni aktorzy tego nie łapią, tamci w kajdanach chwyтали w lot.

Plus na koniec! Wypadałoby zademonstrować, iż jednak lubimy niejakić wolontariuszy. Trudno o decyzję – bardziej republikańskich czy bardziej bananowych – Ziera, ksywka Augustyna, się mieści. Płóć! Ona ma bardzo ładne oczy. Reszty mogłoby nie być. Nosiła te zęby na drutach, nic nam do tego. W Indiach sadhu potrafi przestać na jednej nodze parę lat, i wielkie halo, kiedy po latach zmienia nogę. Czyli: jesteśmy tolerancyjni.

Aktualnie ona najładniej wypada, kiedy zaprasza do studia bananowej tivi wraz z „politykami różnych partii”. Różność – każdy w Tuskmenistanie

wiedział – polegała na tym, że na czterech, trzech plus prowadzący byli z tej samej opcji, by zaszczyć zaproszonego czwartego. Najgłupiej było, kiedy wszyscy czterej byli jak jedno i któryś z nich musiał robić, przepraszamy, za idiotę. Czego się nie robi dla idei...

Przynajmy: za komuny tego nie było, wszyscy musieli być z tej samej partii i nikomu w takiej sytuacji nie było głupio, bo gadający i oglądający od początku wiedzieli, że to lipa. W sytuacji trzech plus jeden na czwartego, działania proste: nie dać dojść do głosu, chamsko przerywać po pierwszym zdaniu, ośmieszać, ściągać na boczny tor, i różne takie. Dobrze, że nie kopali i nie pluli. Ogólnie: prostactwo, brak kultury, cynizm i bezczelność. Nazywało się to: dyskusja publiczna! Dana Ziera, głupieńka, w takiej sytuacji bryluje najgłośniej. Nie znamy przyczyn, nie wiemy skąd ten feler wymowy. Niby wszystko OK, a szczelina między zębami nie ta, zaśpiew gardłowy albo intonacyjny, r jakieś takie frykatywne. Może ktoś wie skąd to się bierze?

Pozytywny wynik medialnej dyskusji jest wtedy, gdy dana Ziera ładnie przewróci oczami. Wtedy jest bardzo przyjemnie i wszyscy, w studiu i przed telewizorem, czujemy się uniesieni – a oczy ma duże, muskularne. Nie ma to nic wspólnego z podnieceniem! Absolutnie! Ani z wzrokowym molestowaniem. Wyłączne przeżycie estetyczne. W każdym telewizorze Ziera wygląda na absolutnie czystą, bez podnieceń. Zaprzeczamy kategorycznie, albowiem nie mamy zamiaru włączyć się po sądach za zaoczny, telewizyjny seksizm, cy coś w podobie (proletariat!).

Wobec powyższego zwracamy się z postulatem do odnośnych władz telewizyjnych, aby zamiast całkowicie zbędnych dyskusji politycznych (z wiadomym rezultatem) przed kamerą siedziała tylko dana Ziera Jesiotr i ewentualnie przewracała... Oszczędności w telewizyjnych zasobach ludzkich, studyjnym oświetleniu, itepe, nasuwają się same. W razie potrzeby, dla ułatwienia decyzji odnośnych teleczynników, upraszamy zorganizować zebranie, przegłosujemy. Że niby z woli ludu artystycznego...

Dan w Tuskmenistanie

Adam W. Kulik

Jerzy Marciniak

Rozmowa

Gabinet był duży i dobrze urządzony. On przeżył się za ogromnym biurkiem stylizowanym na francuski antyk. Tak na oko, Ludwik XIV lub XV, ale na pewno nie okres późniejszy. Był chyba zdania, że jak już podrabiać, to najwyższą klasę. Na twarzy jakby pęczniał, nadymał policzki, by wyglądać dostojniej. I wyciągał ku górze szyję. Prawdopodobnie by z niższego ode mnie stać się wyższym.

– Cieszę się, że przyszedłeś!

Powiedział to głośno, wyraźnie i złączył dłonie, robiąc z nich trójkątny daszek. W duszy jednak na pewno dodał: uciecha uciechą, lepiej jakbyś nie przyszedł, ale skoro już tu jesteś, to popatrz sobie na mój gabinet, mahoniowe biurko, dywany, palmę za moimi plecami, rząd telefonów na stoliku obok, cztery skórzane fotele dla gości przedzielone niską ławą i długie półki z książkami.

– Słyszałem, że masz jakąś drobną sprawę, to... Siedzisz od lat tam, w Skandynawii, ale jak masz nadal obywatelstwo polskie, to... wiesz, to będzie zgodne z prawem.

Powiedział to w miarę swobodnie, ale na pewno już mu tyłek ścierpł, bo zawsze był tchórzem, na pewno już go gdzieś tam głęboko w środku dźgało ze strachu, bo od urodzenia bał się wszystkiego, na pewno w duchu od razu zaklął cicho i by się trochę uspokoić, dodał: jak ze sprawą to spieprzaj, ja nic nie załatwiam, nikomu nie pomagam, bo nie mam siedzenia z granitu, by brać cięgi za kogoś. To określenie o granitowym siedzeniu powtarzał chyba od szkoły średniej, gdy pierwszy raz usłyszał je od profesora historii.

– Ja staram się być użytecznym społecznie, jak tylko mogę, staram się pomagać, oczywiście jak mam ku temu uzasadnienie prawne, wiesz, mówię, że u nas ściga się jedynie drobnych złodziejasków, a ludzi na stanowiskach nie, ja to takie rozumowanie odrzucam.

Wypowiedział to bardzo płynnie i widać było, że musiał tą formułką posługiwać się często. Popatrzył na mnie uważniej, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły jego słowa. Patrzył chwilę, a później cicho sapnął i ułożenie dłoni zmienił na taką plecionkę palców z wyprostowanymi

kiucukami uniesionymi ku górze. Myślałem, że powtórzy jeszcze raz wypowiedziane zdanie, gdyż znany był z tego w szkole, że często brakowało mu słów i dlatego nagminnie powtarzał to, co właśnie wyszło z jego ust. Jednak nie zrobił z tego.

Nie spieszyłem się z informacjami o celu wizyty, bo chciałem potrzymać go trochę dłużej w niepewności, żeby zmiękł. Nie był wytrzymały psychicznie, od razu też w swoim pesymizmie i strachu analizował wszelkie najgorsze rozwiązania i zaczynał się tych wszystkich złych ewentualności bać.

– Powiem sekretarce, niech poda kawę, bo ona... no, nieraz przychodzi tutaj i opowiada o innej sekretarce, bo ja mam teraz dwie... to jak ta druga rozmawia z kimś przez telefon, to podobno nieraz rzuca słuchawkę, a później mówi, to był chyba cham... ta druga często prostuje sytuację, że przez telefon dobrze nie widać wychowania... a jak mój kierowca pyta ją, ile jest dwa dodać dwa, to ona mu odpowiada, pocałuj mnie w tyłek cztery razy to będziesz wiedział... wiesz, kawę to obie robią dobrą.

W tyłku mam twoją kawę, przyszedłem po coś ważniejszego. Widać też było, że już zaczynał się gubić w natłoku myśli. I już nie wyciągał tak mocno szyi, by być wyższym ode mnie, a na czole zaświeciły mu kropelki potu. Wygiął trochę usta ku górze, jakby miał zaraz się uśmiechnąć, ale widząc, że ja nie mam na podobne zachowania ochoty, odgiął je w przeciwną stronę, wracając do poprzedniej miny.

– Idę się wyszczać!

Na pewno mu się nie chciało, bo wszystkie płyny w sobie już chyba dawno wypocił. Widać to było wyraźnie i na skroniach, i na czole. Wstał jednak i otworzył jakieś wąskie drzwi za palmą. Zniknął na chwilę, ale szybko wrócił. Nie słysząc też było spuszczonej wody. Popatrzył na mnie, zerknął na odbicie swojej twarzy w szybie szafy z książkami i wyciągnął grzebień. Najpierw wszystko, co miał, zaczesał w dół. Rzadkie, długie włosy zakryły mu czoło i oczy. Widać było prześwitującą skórę w okolicach wierzchołka. Następnie zaczął czesać przedziałek i poprawiać boki. Majstrował przy tym odwrotną stroną grzebienia ponad czołem aż uformował lok, taki trochę skręcony. Minę miał bezwyrazową, więc nie wiedziałem, zrezygnował ze szczania, popuścił nieco w spodnie i uznał iż na chwilę obecną to wystarczy, czy przełożył czynność na termin późniejszy.

– Ojciec nieraz mówił, byłem dobrze wychowany i jak szedłem ze szkoły do domu, to nie lałem po krzakach jak inni, sikałem dyskretnie koledze do kieszeni i on zrywał się od razu do biegu, mieszkał blisko, a do tego,

jak wpadał na podwórko, to od razu zdejmował spodnie i rzucał matce do prania, więc on był zadowolony, jego matka też trochę i ja nie miałem powodów do narzekań... jak dużo piłem, to przed kieszenią mówiłem mu jak rozwiązać zadania z algebry, więc jak on później wbiegał na podwórze, to prawie za każdym razem był autentycznie szczęśliwy... wiesz, to nie było prawdą w rzeczywistości, bo ojciec był z matematyki na poziomie porównywalnym z innymi.

Popatrzył na mnie i zaśmiał się głośno. Widać było wyraźnie, że był to taki typowy śmiech wymuszony.

Sekretarka wniosła na tacy dwie kawy i cukier w dużej, srebrnej cukiernicy. Popatrzyła na mnie, potem na niego i tak trochę nieśmiało się uśmiechnęła. On kawy nie zamawiał, więc prawdopodobnie ona spodziewała się teraz komplementu za domyślność. Jednak on się z tym nie śpieszył, bo z pewnością miał co innego na uwadze. I ona wyszła trochę niepokieszona.

– Nie będę pił od niej kawy, ona podobno chodzi po dzikiej plaży bez majtek... ty jak chcesz, to możesz pić... koleżanka parę razy zwróciła jej uwagę, ale nie pomagało, zawsze jakiś argument wynajdzie, a to, że prała bieliznę i jej nie wyschła, że zapomniiała, że chce się lepiej opalić... do tego podobno drapie się po całym ciele... wiesz, jak tak dalej pójdzie, to ją zwolnię i nie będę w ogóle patrzył, że jej ojciec chodził razem ze mną do szkoły podstawowej, a w szkole średniej... zresztą, znasz to... a po drugie czy trzecie, to tłumaczyłem jej czterokrotnie, że ó kreskowane piszemy, gdy to się wymienia na o, ona niby to zrozumiała, bo wiele razy mówiła, jaskółka przez ó kreskowane, bo nietoperz przez o, czyli się wymienia, ale błędów dużo mniej nie robiła.

Widać było po nim, że nie mówił prawdy. W szkole też, jak mu coś nie szło, to wchodził na wyimaginowane tematy miłosne lub opowieści z czasów wojny. I zmyślał nieraz takie historie, że nikt mu w nie uwierzyć nie chciał, a niektórzy wręcz w oczy mu się śmiali. Wyraźnie teraz widać było, że w tym względzie nadal pozostał sztubakiem, uczniem, który gdy zapomniiał zeszytu, to mówił, że mu babka zmarła, albo że napadli go uczniowie z innej klasy i wyrwali zeszyt, by spisać od niego wypracowanie.

Jego ojciec też miał słabość do zmyślania; byłem podczas wojny w Armii Krajowej w plutonie egzekucyjnym i wykonywaliśmy wyroki śmierci. Pamiętałem długo te jego opowieści mrozące wówczas w moich młodych żyłach krew i jeszcze, gdy ciągnął te swoje historie i historyjki, to wyciągał wskazujący palec, a później robił nim taki ruch, jak przy pociąganiu cyngla.

Niedaleko Grodna dowodziłem plutonem, poszliśmy pod wskazany adres, kolega z wyrokiem, a ja z... Tutaj klepał się po wewnętrznej kieszeni marynarki. Skazanego nie zastaliśmy, tylko brata i siostrę, wracamy po kilku dniach, a tu nawet już i siostry nie ma, tylko brat został i też zachowywał się tak, jakby lada chwila miał prysnąć, to ja pomyślałem, tendencja zniżkowa, coraz to ktoś ubywa, więc podjąłem decyzję, żeby w takim razie brata... I znów ten jego gest przypominający pociągnięcie palcem za cyngiel... Ten brat był taki sympatyczny i nic złego nie zrobił, przynosił nam nawet jedzenie do lasu, ale rozkaz był rozkazem, nie było starszego brata to... koło Kobrynia weszliśmy z wyrokiem do takiej małej, drewnianej chatki i stara kobieta ucieszyła się na nasz widok, bo myślała, że my przyszliśmy w odwiedziny do jej rannego syna, albo że mu przynieśliśmy coś do zjedzenia, tak nas serdecznie poklepywała po ramionach, ale wyrok był wyrokiem, rozkaz rozkazem, więc... I ruch jak przy pociągnięciu za cyngiel.

– Ojciec mi choruje, chodzi już tylko z białą laską. On był warszawiakiem z urodzenia, nie poszedł do Powstania, bo... po wojnie nie poszedł do lasu tak jak wielu jego rówieśników i on miał często wyrzuty sumienia, więc mówił to, co mówił, że prowadził oddział do walki na Powiślu, że ostatni wyszedł kanałem ze Starego Miasta, że pierwszy biegł z granatem w kierunku radzieckiego czołgu, gdy oni wkraczali do stolicy, ale teraz przyznał się do tych zmyśleń i uważam, że to jest uczciwe z jego strony, mógł przecież dalej powtarzać te zmyślenia albo postarać się o fałszywych świadków i brać świadectwa kombatanckie... zresztą on nawet nie potrzebował fałszywych świadków, spadł kiedyś z drzewa i rozciął skórę na skroni, to mu się brudziło i miał dużą bliznę, więc jakby poszedł na komisję lekarską z białą laską, pokazał skroń, to... nie chciałbym jednak tak do końca ojca postępowania w czasie wojny osądzać, on wybór miał wtedy prosty, albo zacząć być tchórzem, albo oddać w krótkim terminie młode życie, on miał krótki wzrok, wstydził się chodzić w okularach, to...

Jakby czytał w moich myślach, albo też chciał mnie brać na litość. Ojciec jego był szklarzem, ale słabo czyścił ramy ze starego kitu i nieraz szyby mu pękały. Nam też kiedyś szklili okno w pokoju i szło mu tak, jak szło... Po chwili wszedł do kuchni i zwrócił się grzecznie do mojej babki, niech pani da dwa guziczki i nitkę, to wzmocnię, bo szybka mi pękła przez środek, ale ja dobrze wzmocniam, bo ostatnio często to robiłem, i jak wzmocnię, to nikt mi reklamacji nie składa, dopóki nitki się nie poprzecierają.

– Ojciec miał pracę taką, jaką miał, ale na rodzinę jakoś zarabiał, długów za sobą dużych nie zostawił, a prawdę mówiąc, to jakby policzyć to,

co zaoszczędził i zestawić z zobowiązaniami, to tak gdzieś wszystko na zero wychodzi... Wiesz, dzisiaj to dzisiejsi prawdomówni krytykują murarza Antka i jemu podobnych, że zamiast spotkać się z dziewczyną, to zostawali po godzinach i wznosili domy z czerwonej cegły, że w dużym tempie odbudowywali Warszawę po wojnie, więc może dzisiejsi prawdomówni niedługo posuną się w swoich twierdzeniach jeszcze dalej i powiedzą, że byłoby dużo lepiej, gdyby Warszawy nie odbudowywano, że byłoby lepiej, gdyby w ruinie trwała do dzisiaj... Sprzedają zakłady komunistyczne za pół ceny, to może ruiny sprzedaliby za jeden procent wartości, a może nawet i jeden promil, to kapitał spekulacyjny chwaliłby ich jeszcze bardziej... To jest takie trochę używanie papieru toaletowego uprzednio używanego, albo taki śpiew skowronka, któremu dziobek drutem obwiązano... do tego ojciec cierpiał od dziecka na choroby reumatyczne i nie mógł biegać, to dlatego nieraz mówił, jak grałem w piłkę i stałem na obronie, to bramkarz siedział na murawie, opierał się plecami o słupek i czytał gazetę, bo wiedział, że ja nikogo w okolicę bramki nie przepuszczę, albo, jak grałem w ataku, to siatka w bramce przeciwnika tylko trzepotała, a bramkarz nie nadążał piłki wyjmować.

Zasychało mu w gardle. Mówił z trudem i skrzekliwie. Wodził językiem po wyschniętych wargach. Krople potu na skroniach i czole jakby mu puchły, bo wyglądało to tak, jakby najpierw mżawka go dopadła, a teraz już gruby deszcz wziął go w swoje objęcia, a nawet tu i ówdzie grad.

O ojcu nieraz mówił, ale o swoim dziadku na ogół milczał. Był to z pewnością temat drażliwy dla niego. Wiele osób pamiętało jego dziadka, jak podchodził na podwórku do sąsiadów i nie mówił dzień dobry, tylko: jestem inteligentny! A potem odwracał się, kręcił zamasyżycie zadkiem na boki i dodawał: tymi ruchami przekonałem chyba wszystkich, że tak jest. Lub wchodził do mieszkania sąsiadów, z którymi był skłócony, ze zruLOWANYM dywanem i oświadczał im: będę u was trzepał dywan. Zazwyczaj robił to w porze obiadowej, gdy tamci zasiadali do stołu. I by nikt nie posądził go o gołosłowność, wieszał dywan na oparciach dwóch krzeseł i brał się ostro do pracy. Innym często powtarzanym zachowaniem jego dziadka była recepta na babę z lukrem. Często mówił: przed Wielką Nocą posłałem babę do Broniewskiego, by powiedziała, że jej ojciec był w Legionach Józefa Piłsudskiego i pożyczyła dwa jajka, do Cieśli by powiedziała, że jej ojciec komunista znał się z Marianem Buczkiem oraz Karolem Świerczewskim i pożyczyła mleka, do Berezowskiego by powiedziała, że jej ojciec był biskupem wyznania greckokatolickiego i pożyczyła kilka łyżek cukru, zawołała

Proszka, żeby to startł na mączkę albo proszek, a jakby nie chciał, to żeby powiedziała, że jej ojciec pracował jako furman w PGR-ze w Dębowym Gaju, to on od razu by wziął się do roboty, powiedziała Antosikowej, że jej ojciec ładnie grał na harmonii i żeby ona upiekła babę z lukrem w swoim piecu... Potem oblizywał się i dodawał: ja zjadłem, a baba moja była zadowolona, że święta Wielkiej Nocy były udane i że ma inteligentnego męża, którego jej wszystkie kobiety w miasteczku zazdroszczą, a po zjedzeniu taką energię dostawałem, że kręciłem zadkiem szybciej niż chodziło wrzeczono w kołowrotku, cha, cha, cha... na drugą Wielkanoc, jak baba będzie się jeszcze lepiej wypraszała u sąsiadów, to zjem dwie baby z lukrem, cha, cha, cha... wiwat inteligencja.

– Napiję się kawy.

Przysunął filiżankę i zaczął pić. Już mu nie przeszkadzało, że sekretarka drapała się często nie poprzez sukienkę. Ilość tematów do rozmowy miał mocno ograniczoną. Jednym z tych, którego prawie nigdy nie poruszał, były pieniądze. Zawsze był chytry i być może wołał podliczać swoje saldo niż na ten temat rozmawiać. I drugim powodem mogła być trauma z domu rodzinnego. Związana z postępowaniem dziadka, który nieraz zwracał się do znajomych z propozycją współpracy ekonomicznej: założymy interes, ty dasz pieniądze, a ja kapitał. A później podnosił sweter do góry. Za paskiem od spodni miał książkę „Kapitał” Karola Marksa.

– Smaczna kawa... Brat dziadka był taktowny, poszedł się oświadczać i jadł obiad, przyszły teść był tapicerem i miał pracownię w domu, on nabrał w usta łyżkę zupy i zorientował się, że ma pełno pinesek, jednak wołał po cichu łyknąć niż zwracać komuś uwagę, druga łyżka i pełno w ustach drobnych gwoździaków, on znów delikatnie połknął, bo mu dziewczyna się podobała, zaczął jeść drugie danie i zorientował się, że ma w ustach trzonek od młotka... dobra kawa.

Odsunął pustą filiżankę. Na czole kroplił mu się gęsty pot. Widać było, że chętnie przystąpiłby do istoty rzeczy, że na pewno już wymyślił sobie jakiś argument, żeby mi oficjalnie nie odmówić, ale żeby sam poszedł. Odmówić mi nie mógł, wiedział o tym dobrze, bo znałem kilka jego grzeszków. Z których dwa lub trzy to nie były grzeszki, ale, bez przesady, ciężkie grzechy dużego kalibru. Coś, co ksiądz na ambonie nazywa *mea maxima culpa*. I gdybym przestał być dyskretnym, to żegnaj ogromny gabinet, żegnaj sekretarko co chodzisz prawdopodobnie bez majtek i robiąc kawę drapiasz się prawdopodobnie w... i to nie poprzez sukienkę, żegnaj nadęta mino, żegnaj wysoka pensja, żegnaj służbowy samochód i witaj...

prokuratorze. On słabo się w szkole uczył i nie miał wielkiej wyobraźni, ale wystarczająco dużą chyba, żeby zobaczyć się na ławie oskarżonych.

Patrzył na mnie takim zmęczonym wzrokiem, czekając, aż zacznę wyłuszczać moją sprawę. A patrz sobie, poć się, niech ci potnieją dłonie i wysycha w gardle, krew wali w skroniach... ja mam czas.

– No to powiedz, z czym przyszedłeś, a ja postaram się załatwić ci to... Mieszkasz w Skandynawii, ale jesteś obywatelem naszego kraju, to wszystko będzie zgodne z przepisami.

Dłużej już nie mógł. W gardle znów mu zaschło, ręce ze zdenerwowania drżały, pot skrzył się na czole i łapały duszności, bo połuźnił krawat i rozpiął koszulę pod szyją, czego dotychczas nie robił. Nawet miałem już zamiar powiedzieć mu z czym przyszedłem, ale zerknąłem odruchowo na kalendarz wiszący na ścianie i uświadomiłem sobie, że jest właśnie piątek przed wolną sobotą, więc będzie dobrze, jeżeli on będzie męczył się jeszcze przez sobotę i niedzielę, będzie główkował, domyślał się, snuł niekorzystne rozwiązania i... miękł, miękłby w poniedziałek, jak przyjdę ponownie, być jak plastelina, lub jak pluszowy miś, z którego wysypały się trociny. Znałem go dobrze, więc wiedziałem, że tak będzie, że na pewno przez te wolne dni nie zazna spokoju. Wstałem więc i stuknąłem palcem wskazującym w szkło zegarka, jakby mi się śpieszyło.

– To może... może w poniedziałek...

Przytaknąłem mu głową i wyszedłem do sekretariatu.

Sekretarka stała za biurkiem i patrzyła na stosy leżących na nim biurowych teczek. Mimo że lato dopiero się zaczynało, twarz miała już ładnie opaloną. Skinąłem głową w jej stronę i cicho wyszedłem na korytarz.

Jerzy Marciniak

Alicja Patey-Grabowska

Zez rozbieżny

„Poszukuję do handlu. Zez rozbieżny mile widziany. Wysokie zarobki”.

– Widzisz – zwróciła się do męża, zakręcając w łazience na mokre, rudo-fioletowe włosy, plastikowe lokówki. – Widzisz jak u Haroldsa, dla zmylenia złodziei poszukują takich jak ja. Jestem cenna. Mogę nareszcie uniezależnić się od ciebie.

Spojrzała z aprobatą na swoje odbicie w lustrze. Miała niezwykle oczy. Zez absolutnie rozbieżny. Tak że widziała jednocześnie oddalone od siebie kąty łazienki.

– Niepotrzebna ci praca, Kiciu, masz wszystko. Wystarczy, że Kiciusia godnie reprezentuje mężusia – powiedział ni to żartobliwie, ni to poważnie – mężczyzna o pokażnej tuszy (ach te bankieciki), łysiejący, z nerwowym tikiem twarzy i mrugających co chwila przekornie? prześmiewczo? oczkach.

– Mogłabym być od ciebie niezależna – powiedziała gardłowym szeptem, przeciągając się zalotnie, ubrana w różową, jedwabną podomkę, kobieta o pełnych kształtach.

Mąż nachylił się nad nią. Objął. Jego powieki zaczęły zamykać się i otwierać z podwójną energią. To jego atut. Tak ważny w różnych czasach, spokojnych i niespokojnych. Atut, który dał mu władzę, a tym samym pieniądze. Nikt z wyborców miasteczka D. nie wiedział, czy go akceptuje, czy nie. Co oznacza mrugnięcie? Zgodę czy protest?

Cierpiał przy tym od dzieciństwa na rozbieżny zez psychiczny. Nie, nie cierpiał. To jego dodatkowy walor umożliwiający wspinanie się po szczeblach.

Oboje więc pasowali do siebie. Ona z zezem zewnętrznym a on z wewnętrznym, psychicznym.

A gdy leżeli obok siebie na szerokim łóżu, jej oko spoglądało na niego, a drugie na ścianę upstrzoną kolorowymi, abstrakcyjnymi obrazkami i rogami jeleni, które niegdyś upolował. Nie wiedział, czy go akceptuje, czy nie. I to go pociągało. Nie był jej pewny. A dla

niej jego mrugnięcia oznaczały zachwyt, pożądanie i co jeszcze? Był zagadkowy, nie do rozszyfrowania, mimo wspólnie spędzonych lat na spienionym morzu życia.

Zawsze unosiła go fala. I dawniej, i teraz dzięki tikom na nalannej twarzy o podwójnym podbródku, raz ogolonej na gładko, raz przystrojonej sumiastymi wąsami lub kozią bródką, zależnie od politycznych okoliczności, jak również dzięki mruganiu malutkich oczu przykrytych bezręcznymi powiekami, zwanymi nie wiadomo dlaczego świńskimi.

– Tak – pomyślała Kicia, spoglądając w lustro na pochylonego nad nią mężczyznę – pasujemy do siebie. Płyniemy na tej samej fali. A swoją drogą przydałyby się moje, absolutnie własne pieniądze. A może i życiowa niespodzianka? Jestem atrakcyjna. Mało kobiet ma takiego jak ja rozbieżnego zez.

Jej oczy rozbiegły się na dwie strony.

Mąż, spoglądając na odbitą w lustrze pucułowatą twarz żony i jej w tej chwili niezwykle, niedościgłe w tajemnicy kobiecego jestestwa oczy, zamrugał nerwowo. Jej rozbieżny zez napawał go jak zawsze niepokojem.

Z oczekującego na wydanie zbioru grotesek „Zez rozbieżny”



Widok. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Maria Jolanta Piasecka

Słowo

(z cyklu *Przypowieści z Ziemi Run*)

motto

*mowa jest wehikulem mądrości
i głosem serca
a kto milczy nie czyni pożytku z wolności*

Imię konunga Nidura wymawiano z trwogą. Wraz z nim pojawiały się zgliszcza, płacz i śmierć. Gdyby nie zdrada i kłamstwo, którymi posłużył się, by wykraść Asom część mocy magicznej, nigdy nie zawładnąłby mieszkańcami Ziemi Run. Jarlowie klanów bali się konunga i jego czarów. Niejeden raz widzieli, w jaki sposób wojownicy Nidura rozprawiają się w wioskach i osadach z nieposłusznymi. Tortury, gwałt i mordy stały się niemal codziennością w całym kraju. By ratować rodziny, swoich bliskich i sąsiadów, jarlowie złożyli hołd poddaństwa okrutnemu władcy.

Jedynie Hiordward niestrudzenie stawiał opór. Odwaga i honor, za które cenili go najdzielniejsi woje, sprawiły, że jarl przez długi czas skutecznie chronił siebie i swych ludzi przed zapędami Nidura. Poza tym jego posiadłości na terenach odległych i trudno dostępnych – wśród zachodnich wzgórz Ziemi Run – broniły się same przed zniewoleniem. Posłowie okrutnego konunga raz po raz wracali do swego pana z niejasnymi zapewnieniami, iż Hiordward jest już prawie, ale jeszcze niezupełnie, gotów podporządkować się rozkazom nowego władcy.

Jednak Nidur był zbyt potężny, by mały klan mógł oprzeć się jego sile. Walka o utrzymanie niezawisłości skazana była na klęskę. Hiordward unikał jak mógł ostatecznego starcia, lecz Nidur długo nie dawał się mamić nic nieznaczącymi zapewnieniami. Ostatni z wolnych jarłów wiedział, że jeśli otwarcie wystąpi przeciw konungowi, zginie. Wołał jednak umrzeć, niż żyć w niewoli. Nawet prośby żony, która niedawno powiła mu syna, nie zmieniły jego decyzji.

Zniecierpliwiony Nidur ruszył z całą swą potęgą na ostatni wolny lud. Walka nie trwała długo. W ciągu jednego dnia klan Hiordwarda przestał istnieć, a dzielny władca został pojmany. Czekał na pewną śmierć i pragnął

jak najszybciej znaleźć się w jej objęciach. Lecz konung Nidur miał inne plany względem pokonanego. Rozpalonym żelazem wypalił mu na piersi odwrócony znak runiczny Ansuz.

Było to potężne zaklęcie – odwrócona Ansuz zapieczętowała Hiordwardowi usta. Od tej pory wojownik nie potrafił już wyrazić słowem tego, co było w jego myślach i w duszy. Nidur puścił Hiordwarda wolno, lecz jarl, zwyciężony i ograbiony ze wszystkiego co kochał, pozbawiony nawet możliwości mówienia, nie mógł uczynić pożytku ze swojej wolności. Wszystkie cierpienia jego klanu zostały zamknięte i pogrzebane w jego sercu. Nikt już nie miał się dowiedzieć o zbrodni i nikt już nie mógł jej pomścić.

Hiordward wędrował wiele lat po Ziemi Run. Napotykanii ludzie omijali go, patrząc wrogo. Czasem na jego drodze pojawiał się ktoś litościwy, gotów pomóc znękanemu wędrowcowi, lecz gdy zamiast ludzkiego głosu i zrozumiałych słów słyszał z jego ust bełkot, uciekał z lękiem. Jarl tracił kontakt ze światem, jednak nikt nie odebrał mu wewnętrznego czucia i bólu, jaki niosło niewypowiedziane. Utrzymywała go przy życiu nadzieja, że kiedyś może odnajdzie słowa, którymi podzieli się z drugim człowiekiem.

Ciało Hiordwarda słabło, lecz uwięziony w nim głos nabierał mocy. Zdany na przypadek, docierał jarl do miejsc nieznanymi ludzom, których stopy deptały jedynie bliskie i utarte szlaki. I pewnego razu, daleko od zachodnich rubieży Ziemi Run, spotkał na swej drodze mądrego, choć niepo- hamowanego w swoich zachowaniach, olbrzyma Wafthrudnira.

Ludzie z Ziemi Run znali olbrzyma i jego zamięłowanie do pojedynków na zagadki, ale niewielu widziało go na własne oczy. Wafthrudnir mieszkał samotnie w Krainie Gór, w trudno dostępnej grocie. Jeśli komuś udało się odnaleźć najmędrszego wśród olbrzymów, rozstawał się z nim bogatszy o nowe doświadczenia i o wiedzę, która zmieniała dalszy bieg jego życia. Dla olbrzyma natomiast nieczęste spotkania ze śmiertelnikami były rado- sną okazją do oddania się ulubionej rozrywce.

Cierpiący Hiordward nie dostrzegł w spotkaniu z olbrzymem ni- czego szczególnego. Zdawało mu się, że po raz kolejny los go zetknął z nieznanym, przed którym nie będzie mógł otworzyć ust. Chciał go ominąć i pójść dalej, by nie jętrzyć swej rany. Lecz dla Wafthrudnira każdy przybysz na tym pustkowiu był na wagę złota. Tak rzadko mógł z kimkol- wiek bawić się zgadywanie!

Mało kto wiedział, że Wafthrudnir nie tylko pragnie w ten sposób cheł- pić się swoim sprytem i mądrością. Otóż od wieków był niepokieszony i tkwiła w nim bolesna zadra, gdyż niegdyś przegrał z bogiem Odyem

w pojedynku na zagadki, nie umiając odpowiedzieć na jego pytanie. Wciąż miał nadzieję, że pojawi się wreszcie ktoś, kto mu w tym pomoże.

Olbrzym zatrzymał więc wędrowca i zaczął życzliwie wypytować o wieści ze świata. Napotkał mur milczenia. Zdziwił się niepomniernie. Nikt dotąd mu nie odmawiał. Prosił więc przybysza choć o jedno słowo, namawiał i zachęcał, a kiedy i to nie pomogło, użył gróźb.

– Obrażasz mnie! – krzyknął gromkim głosem, od którego zadrżały góry – nie ujdzie ci to płazem!

I wzburzony zachowaniem Hiordwarda, olbrzym uniósł mocarną pięść, chcąc go zabić. Jednak w ostatniej chwili wstrzymał się. W oczach wędrowca dojrzał – ku swemu zdumieniu – zamiast paniki i przerażenia zgnębienie, udrękę i ból.

Cóż to za człowiek, który w obliczu śmierci nie czuje trwogi i nie błaga o litość? – zastanawiał się olbrzym. – A może to nie śmiertelnik tylko sam bóg Odyn w przebraniu? – przemknęło mu przez myśl. – A może to ktoś, kto umie biegle rozwiązywać zagadki i coś ponadto: może odpowie mi na to jedno jedyne pytanie, na które dotąd nie znalazłem odpowiedzi i które mnie tak dręczy?

Olbrzym zaciekawiony i pełen nadziei spojrzał na człowieka przyjaźnie. A Hiordward po raz pierwszy od wielu lat dostrzegł, że ktoś życzliwie się nim zainteresował, a co więcej, upatrywał w nim szansę, potrzebował go i pragnął z nim kontaktu. Ból i smutek, zhańbienie i udręka – te dojmujące uczucia, którymi jarl żył przez lata, wezbrały w nim jak spiętrzone wody rzeki. Zakielkowały też w nim nowe uczucia: przeogromnej wdzięczności, zaufania i nadziei. Jarl zapragnął olbrzymowi podziękować. I nie tylko podziękować – zapragnął nagle uwolnić się od wszystkiego, o czym wiedziało jego serce. Teraz – albo nigdy. Bo przecież kto, jak nie olbrzym, będzie w stanie unieść ciężar takich przeżyć i doświadczeń? Choć usta Hiordwarda milczały, przemówiło jego serce. Nawet ślepiec byłby w stanie ujrzeć światło, które popłynęło z jego piersi!

Wafthrudnir w jednym błysku ujrzał Hiordwarda walczącego z okrutnym Nidurem, śmierć niewinnych ludzi, pożar i zagładę. Ujrzał też Nidura wypalającego na piersi jarla odwróconą runę Ansuz, pieczętującą usta dzielnego wodza. Olbrzym był wstrząśnięty, a zarazem – olśniony! Bo oto, wraz z przerażającą historią jarla, pojawiła się odpowiedź na to jedno, jedyne pytanie, które dotąd stanowiło dla olbrzyma łamigłówkę.

Kiedy pojedynkował się na zagadki z Odynem, nie potrafił bogu odpowiedzieć, co wydarzyło się u zarania dziejów i w początkach dni. Od tamtej

pory nie mógł o niczym innym myśleć i wreszcie teraz, dzięki nieznanemu – i już tak dobrze znanemu – przybyszowi, jego mądrość się dopełniła. Zrozumiał, że Odyn u zarania dziejów zawarł głos swojego serca w **słowie**. Było to miłosne złączenie głosu serca i głosu ludzkiej mowy, początek życia, które jaśniej, gdy jest wysłowione, a gaśnie zapieczętowane milczeniem.

Wafthrudnir i Hiordward patrzyli na siebie z głębokim porozumieniem. Wdzięczny i zobowiązany olbrzym zaprowadził jarła pod Jesion Yggdrasil rosnący na osi wszechświata i pozwolił śmiertelnikowi napić się wody z tryskającego tam źródła norny Urd. Pijąc wodę życia Hiordward poczuł, że budzi się jakby ze snu trwającego wieki. Jego ciało nabierało mocy, a wypalona niegdyś przez Nidura odwrócona runa Ansuz powoli się obracała, zmieniając położenie na właściwe.

Gdy klątwa Nidura całkowicie utraciła swą moc, Hiordward usiadł pod Yggdrasillem naprzeciw olbrzymu i zaśpiewał mu pieśń swojej pamięci i miłości, pieśń zdolną wskrzesić umarłych. A Wafthrudnir słuchał, patrząc na jaśniejącą na piersi jarła runę Ansuz. Radował się, że człowiek wreszcie odzyskał mowę – dar Odyna.

Maria Jolanta Piasecka



Bliskość. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jerzy Seipp, Jadwiga Bogusławska

Spotkanie

(urywki napisanej wspólnie powieści pt. *Ostatnia miłość. Romans pornograficzny dla młodzieży i rodziców*)



I

(...) Wciąż i wciąż zastanawiamy się z Emilką, co tak naprawdę nam się przytrafiło i jak to było możliwe. Wsłuchujemy się w siebie, mając nadzieję, że ta wnikliwa auskultacja pozwoli nam zrozumieć, dlaczego nagle dwoje tak różnych ludzi nie potrafi żyć bez siebie i oto nasze wnioski.

W 1955 roku Pan Bóg rozdzielał dusze – jak zawsze – w taki sposób, aby wedle Boskiego Planu ten i ów – lub częściej ta i ów, ten i owa – mogli się spotkać, pokochać, robić czy adoptować dzieci. Nagle jeden z aniołów zawraca mu głowę, że taki jeden narkoman i niedoszły samobójca stoi w kolejce do nieba. Pan Bóg odwraca się – moja dusza już poleciała, drugą wciąż trzyma w ręce. Rozpoznaje Charliego Parkera i tłumaczy durnemu aniołowi, że do tej pory powinien już nauczyć się, że Artyści mają przepustkę od urodzenia, o co mu nagle chodzi?

– Bo jak mu umarła córeczka, to on Cię przeklinał i wyzywał, i chciał popełnić samobójstwo! – upiera się białas.

– No nie, jak cię zaraz walnę w ten eteryczny łeb, to ci aureolka spadnie – zdenerwował się Pan Bóg. – A jakbym tobie zabrał ukochane dziecko, to co, dalej byś się do mnie modlił? Znam cię, od razu zacząłbyś kombinować z Belzebubem. Myślisz, że nie wiem, że robicie razem interesy? Że chowasz wódkę za łóżkiem?

Anioł zaczerwienił się i już bez słowa wpuścił Charliego Parkera do nieba. Wtedy Pan Bóg zauważył, że wciąż trzyma duszyczkę Emilki w ręce.

– O jasny gwint! – krzyknął, bo wiedział, co się stało. W niebie trwało to wszystko może ze cztery minuty, ale według ziemskiego czasu upłynęło już czterdzieści lat! Puścił zapomnianą duszę w świat, ale od tej pory musiał nieźle się napracować, żeby wszystko naprawić.

– To ci dewota – mruzczał do siebie, złoścąc się na gorliwego anioła. – I co ja mam teraz zrobić... Zaraz... O! To Artysta! Nawet nie zauważyłem przez tego ormowca, zrobimy więc tak – planował dalej. – Damy mu najpierw Pierwszą Miłość, z sześć lat mu zleci. No i przede wszystkim alkohol, żeby przypadkiem nie poczuł się wygodnie w domowych papuciach. Może narkotyki? Niech ma, już ja ich znam, tych swoich Artystów. Potem trzeba by mu dać Wielką Miłość, ta powinna wytrzymać z nim z osiem lat. Teraz czas na Miłość Wierną, dwadzieścia pięć lat gwarancji. Ale zaraz, zaraz – zmartwił się Pan Bóg. – A gdzie mi ta mała pofrunęła? Do Szczecina?! No, ja cię nie mogę, to jak ja ich teraz spiknę? Dobra, spokojnie. Niech on napisze książkę. Masz, dziecko, kupuj. Nie tę! Na tamtej półce, ślepa jesteś? No, udało się. Masz już osiemnaście lat? To pisz, córcia, do niego, bo ja mam kupę innych spraw na głowie i nie mogę się zajmować tylko wami.

II

(...) Dzień przed spotkaniem nie tylko nie pamiętam, o co właściwie chodzi z tą całą miłością, ale nawet dlaczego postanowiłam pojechać do Warszawy. Zniknęło poczucie romantycznego zrywu – kłębiły się we mnie ponure rozważania na temat mojej niezrozumiałej desperacji, jak również braku kontroli nad kruchymi emocjami. Dochodzę do wniosku, że po prostu siebie testuję. Że wszystko to jest próbą charakteru, którego istnienie zdaję się nieustająco udawać. Nigdy nie było we mnie prawdziwej siły, czy odwagi – jedynie pozory, które tak, jak naciągana determinacja, pozwalają mi utrzymać się na powierzchni codzienności. Przewrażliwiona mimoza.

(...) I oto przychodzi dzień wyjazdu. Budzę się o nieboskiej godzinie czwartej rano z niespokojnego, urywanego snu. Mój mózg litościwie milczy, zbyt sparaliżowany żeby zacząć gonitwę w ciszy i ciemności. Starając się nikogo nie obudzić, wchodzę pod prysznic. Zapomniałam, że wieczorem zepsuł się piec i o ciepłej wodzie można jedynie pomarzyć. Biorę głęboki, męczeński wdech i powtarzając sobie: „czego to człowiek nie zrobi w imię miłości”, myję głowę lodowatym strumieniem. To na swój sposób zabawne, że wciąż jestem przekonana, że mogę nie spodobać się prawie sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie i dlatego nie będzie mnie chciał.

Gdybyż ta zimna woda była jedynym ostrzeżeniem! Stojąc w ciemnościach na pustym przystanku uświadamiam sobie, że mój misternie ułożony plan wyjazdu nie uwzględnił 1 listopada jako święta w rozkładzie ZDiTM. Z rozpaczy siadam na brudnej ławce. Ale tym razem staje się cud: podjeżdża nocny autobus, który zawozi mnie praktycznie pod sam dworzec.

Tam zamrożone wcześniej lęki dopadają mnie z pełną siłą: mam przed sobą pięć godzin na gryzienie się i panikowanie. Nie potrafię nawet sprecyzować, czego tak się boję. Jadąc drżąc i przerażona wymyślam, że – prawdopodobnie – dorastania. Wiem, brzmi to nieco zabawnie, ale przynajmniej sobie pół punktu za trudne warunki pracy. W moim króciutkim życiu niewiele zdarzyło się rzeczy, które popchnęłyby mnie do konieczności zmierzenia się z wyobrażeniem o sobie. Zgaduję, że każdy musi przez to przejść. A to, że ja akurat zdecydowałam się dostać w dupę od życia poprzez spotkanie z czterdziestą lat starszym pijakiem, sześćset kilometrów od domu? Ot, zachcianka.

Wydarzenia na peronie migotają jak w nieprzytomnym śnie po nieprzespanej nocy: widzę siwego człowieka ubranego w białą koszulę i beżowe spodnie, patrzy na mnie. Jest jakieś piętnaście metrów dalej. Czuję się niezręcznie, nie umiem odczytać, co on widzi.

I nagle jesteśmy przytuleni. Ładnie pachnie. Stanie się to jednym z najważniejszych kryteriów jego atrakcyjności. Zapach mężczyzny, którego obejmowałam, z czasem będzie coraz pełniejszy, bogatszy, bardziej precyzyjny, jak obraz jego wielowymiarowej psychiki, którą będę powolutku odkrywać.

III

(...) Nasza korespondencja z Emilką nabiera nieoczekiwanego tempa. Już w następnym mailu czytam: „chciałabym cię spotkać”. No tak, sprawa

się zamyka. Pisarze ładnie wyglądają tylko na zdjęciach. Jakkolwiek mnie sobie wyobraziła, podczas spotkania wyjdzie szydło z worka: siwy, czerwonomordy, z brzuchem, w dodatku śmierdzi wódką.

Patrzyłem na twarz Emilki na ekranie i moja znieczulona alkoholem, zapomniana wściekłość na Boga wracała żrącą falą, jak rzygi po słodkiej wódce. Oto mam przed sobą obraz Marzenia, być może nawet Szansę, ale choćbym się zesrał, nie miał bogów cudzych przed Nim, nie wzywał Jego imienia nadaremno i dzień święty święcił – już nigdy nie będę miał osiemnastu lat, już nigdy taka dziewczyna nie spojrzy na mnie zakochanymi oczami. Nie mogę Mu tego darować i – jak to poeta – znowu po latach wznoszę pięść do nieba i zaczynam bluźnić.

(...) Emilka wielokrotnie ostrzegała mnie w mailach, że wcale nie jest atrakcyjna. I bardzo dobrze. Stoję na peronie i wypatruję pokracznego dzieciaka. Niech to się wreszcie wyjaśni. Pójdziemy na obiad, zabiorę ją do teatru, a wieczorem z powrotnego pociągu będzie SMS-ować koleżankom, że poznała jednego pisarza i było fajnie. Wysiadających ze szczecińskiego ekspresu jest coraz mniej, nikt mnie nie rozpoznaje. I wtedy ją ujrzałem.

Tę scenę można zobaczyć w co drugim filmie o miłości. Pan zauważa na ulicy panią, jego zamurówuje, a ją pokazują w zwolnionym tempie, jak wiatr rozwiewa jej włosy. Jest najpiękniejsza i już po panu. Tak było 1 listopada 2012 roku na peronie piątym dworca Warszawa Zachodnia. Widziałem wysoką kobietę o figurze modelki i nogach do samej ziemi. Szła w moją stronę, uśmiechała się do mnie, a wiatr rzeczywiście rozwiewał jej nieprawdopodobne włosy. Na pewno nie była dzieckiem. Serce mi stanęło i przytulając tę piękną dziewczynę zapłakałem nad swoim losem.

Ale co znaczy harcerskie doświadczenie. Przecież w mailach i przez telefon „kocham cię” odmieniliśmy przez wszystkie przypadki (w miłości to możliwe!). Nie było na co czekać. Chwyciłem ją za rękę.

– Chodźmy stąd.

Poszliśmy na parking. Wciągnąłem ją na tylne siedzenie samochodu i pocałowałem. To był ostatni szaniec mojego strachu, że poczuje jej dłoń na swojej piersi, przesławny gest, którego każdy facet doświadcza parę razy w ciągu życia. Ty pochylasz głowę do pocałunku, a kobieta kładzie ci dłoń na mostku: nie dzisiaj, nie teraz, nie z tobą. Emilka objęła moją głowę i zrozumiałem, że moje Marzenie się spełniło. Z całkowicie niezrozumiałych dla mnie przyczyn Pan Bóg był po mojej stronie.

Jerzy Seipp, Jadwiga Boguśławska

Jan Strękowski

Lotne w powietrzu bociany

(fragment)

*Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...*

– pisał Cyprian Kamil Norwid (*Moja piosnka II*)

[...]

Kierunek Londyn

Jak chłopci ze słynnego obrazu Józefa Chelmońskiego *Bociany* nie raz przypatrywaliśmy się lecącym hen na koniec świata ptakom. Jednak polskie bociany nie tylko potrafią polecieć 10-12 tysięcy kilometrów na południowy kraniec Afryki, a potem wrócić do rodzinnego gniazda. Polskie bociany mają na swoim koncie także inny nie lada wyczyn. Polskie bociany latały... Lotem.

21 czerwca 1939 r., niewiele, bo zaledwie ponad 2 miesiące przed wybuchem II wojny światowej, jedna z najbardziej poczytnych polskich gazet, wydawany w Krakowie „Ilustrowany Kurjer Codzienny” (IKC) w numerze 169, powołując się na informację uzyskaną od Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT), donosił o niecodziennym eksperymencie, prowadzonym wspólnie przez polskich i angielskich ornitologów, będącym kontynuacją wcześniej już prowadzonych przez nich badań.

Napisano w nim, że trzyosobowa ekipa polskich naukowców, kierowana przez prof. Kazimierza Wodzickiego z warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) prowadzi od dwóch dni *przy pomocy polskiej stacji biologicznej w Pińsku* w poleskich wsiach Lemieszowice i Kaczanowice pod Pińskiem chwytanie bocianów, z których kilkanaście przetransportowanych zostanie do Brasławia i Dukszt, ponad 400 km w linii prostej od ich rodzinnych miejscowości. Tam po zaobrączkowaniu zostaną wypuszczone. Aby można było sprawdzić, czy pole magnetyczne

Ziemi wpływa na orientację w locie u tych ptaków, sześć z nich wyposaży się w przyklejone do głów maleńkie magnesy, zakłócające wpływ magnetyzmu ziemskiego. Zaś sześć kolejnych poleci... samolotem Lotu przez Kopenhagę do Londynu, gdzie oczekiwać na nie będą badacze angielscy, którzy zaopiekują się naszymi skrzydlatymi rodakami, a potem je wypuszczą.

Tekst nosił tytuł: *Czy bociany poleskie wrócą z Anglii do wsi rodzinnej?*

W eksperymencie uczestniczyć mieli badacze angielscy z liczącego 50 lat (o jubileuszu tej instytucji donoszono w „Nature” w czerwcu 1938 r.), a założonego w 1888 r. Muzeum Przyrodniczego w Haslemere (Haslemere Educational Museum), którzy zachęcili się opublikowanym w 1939 r. przez Polaków (Kazimierz Wodzicki i jego asystenci Helmut Liche i Włodzimierz Puchalski) w tym prestiżowym piśmie sprawozdaniem z badań przeprowadzonych rok wcześniej. A był to już drugi tekst polskich badaczy na tych łamach, po wydrukowanym w 1938 r., a dotyczącym badań z roku poprzedniego, 1937.

W przeprowadzeniu tego ciekawego doświadczenia zaofiarowały swą pomoc dyrekcje radjostacji brytyjskich, francuskich i belgijskich, zaś klub automobilowy w Surrey (Anglia) chce zorganizować specjalny rajd samochodowy – automobiliści mają śledzić lot ptaków aż do brzegów morza – pisano w „IKC”.

Ułatwieniem dla obserwatorów śledzących ptaki miały być *jaskrawo pomalowane skrzydła* oraz brak bocianów w Anglii, które wytępiono doszczętnie jeszcze na początku XV w. Dlatego właśnie wybrano ten kraj. Chodziło o zbadanie, jak zachowują się ptaki wywiezione tam, gdzie żaden bocian nie był. Z tego powodu darowano im magnesy.

Na marginesie niejako dodawano, że złowienie bocianów przeznaczonych do badań nie jest prostą sprawą. Wymaga ono *wiele cierpliwości i zręczności, gdyż zmyślne te ptaki, zauważywszy linkę na gnieździe wręcz nie wracają do gniazda.*

W kolejnych doniesieniach napisano, że 13 bocianów spod Brasławia, które prof. Wodzicki przywiózł tam w towarzystwie swego asystenta mgr. Lichego, podzielono na dwie grupy: sześć bocianów z magnesami, sześć z kontrolnymi ciężarkami i jeden bocian rezerwowo, pomalowane każdy na inny kolor (dzioby i skrzydła); po zaopatrzeniu w barwne obrączki wypuszczono znad jeziora Drywiaty (chodzi o jezioro Drywiato – js), leżące w sąsiedztwie miasteczka powiatowego Brasław. Dokonać tego miał między godz. 4 i 5 rano magister Liche. Prof. Wodzicki zaś – jak donosiła dzień później lwowska, polskojęzyczna, wydawana przez syjonistów

żydowskich „Chwila”, która tak jak inne gazety, na bieżąco informowała o eksperymencie (nr 1484 z 22 czerwca 1939) – wypuścił grupę kontrolną po drugiej stronie tego samego jeziora, koło wsi Szałtenie. Donoszono, że od razu pięć bocianów z każdej grupy skierowało się na południe i *południo-zachód*, czyli w kierunku rodzinnych wsi. A trzy ptaki zostały na miejscu. Choć nie obyło się bez dramatycznych scen. Mianowicie, pojawił się miejscowy bocian, który zaczął przeganiać intruzów, przyspieszając tym ich odlot.

Przewidywano, że bociany powinny się pojawić w *miejscu ich pobrania*, czyli Lemieszowiczach (są różne zapisy nazwy tej miejscowości, tak jak i Kaczanowic – js) 26 lub 29 czerwca. Jak podawała „Chwila”: *dla kontroli udaje się do Lemieszowicz asystent Liche*. Dodawali jeszcze: *Należy zaznaczyć, że służby kolejowe i organy policji odniosły się z całkowitym zrozumieniem do badań, udzielając chętnie pomocy w czasie transportu i na miejscu w Brasławiu*.

Dużo większa przygoda czekała 6 bocianów, które udawały się do Anglii. Te, jak podawała „Chwila” w tym samym numerze, *również jaskrawo pomalowanych i zaobrączkowanych*, zostały wysłane przez Kopenhagę do Londynu samolotem PLL „Lot”. Z Pińska na warszawskie lotnisko Okęcie przywiózł je laborant SGGW *p. Morawski*. Ale w samolocie nie miały przydzielonego opiekuna. Odleciały same, bez opieki.

Jak podawała „Chwila”, w Londynie miały trafić *do rąk angielskich przedstawicieli nauk ornitologicznych*. Wieczorem, po przylocie ptaki miały zostać suto nakarmione i wypuszczone następnego dnia. I jak przypuszczali redaktorzy pisma, *pewnie wyruszą w drogę do Polski*.

Kolejne dni przynosiły kolejne korespondencje dotyczące bocianiejskiej eskapady na Wyspy Brytyjskie. I tak lwowski dziennik „Wiek Nowy” z 25 czerwca 1939 (*Czy wrócą do kraju?*) podał dalsze szczegóły. Dowiadaliśmy się więc, że z pięciu bocianów wysłanych do Anglii (to kolejna nieścisłość, poleciało 6 bocianów – js), cztery przybyły szczęśliwie. *Natomiast piąty zdradza złe samopoczucie, gdyż został zaatakowany przez jednego ze swych współtowarzyszy jeszcze w drodze z Pińska do Warszawy i ma nadwreżone oko*.

Na lotnisku w Croydon oczekiwali na ptaki dr. Blackburne z Muzeum przyrodniczego w Haslemere i dwaj jego pomocnicy (prawidłowo dr H.B. Blackburn – js). Ptaki zabrano z lotniska samochodami do Haslemere, gdzie po nakarmieniu zostały wypuszczone na wolność. „Wiek Nowy” podał, że nastąpiło to 24 czerwca. Jednak wygląda na to, że wiadomości

dziennika lwowskiego były niedokładne. I to zarówno co do liczby uczestniczących w eksperymencie ptaków (było ich sześć, a wypuszczono pięć), jak i terminu ich wypuszczenia na wolność przez ornitologów z Haslemere, który wcale nie nastąpił niezwłocznie po ich nakarmieniu.

Tak się wcale nie stało. Bo jak donosiły kolejne korespondencje (m.in. „Gazeta Lwowska” z 29 czerwca 1939), przeszkodziła temu typowa *angielska* pogoda. Bociany wypuszczono w kilka dni później, w sobotę 25 czerwca o godzinie 11.00 czasu angielskiego, jak precyzyjnie podawała „Gazeta Lwowska”. Towarzyszył tej akcji spory rozgłos, artykuł autorstwa dra Blackburna na temat polskich bocianów zamieścił „Times”, zaopatrując go w mapę przypuszczalnej trasy powrotu ptaków do macierzystych gniazd. Radiostacje angielskie, belgijskie i francuskie podały zawiadomienie o wypuszczeniu bocianów i prosiły (jak donosił „IKC” z 25 czerwca 1939 w numerze 173 w tekście *Czy bociany polskie wrócą z Anglii do Polski*) o *podawanie do muzeum w Haslemere obserwacji o ich losie*.

Nawet prasa niemiecka, mimo stanu wrzenia między Polską a III Rzeszą, apelowała o przesyłanie wiadomości o zaobserwowanych bocianach do niemieckiej stacji ornitologicznej w Rossitten („IKC” z 29 czerwca mówił o *Rossitach w Prusach wsch.*) na Mierzei Kurońskiej w Prusach Wschodnich, jednej z najstarszych i najbardziej znanych stacji ornitologicznych w Europie. Specjalizującej się w badaniu przelotów i biologii – właśnie bocianów.

Czy wrócą? Tu nikt w Polsce nie miał wątpliwości. A prasa w pierwszych dniach po ich wypuszczeniu przynosiła same optymistyczne wieści.

Zaledwie wypuszczono bociany w Londynie, jeden z nich po 10 minutach odleciał w kierunku południowo-wschodnim, a wkrótce potem odleciały za nim jeszcze 4 bociany – podawał „IKC” (nr 176 z 28 czerwca 1939) w tekście zatytułowanym jeszcze bardziej optymistycznie: *Z sześciu polskich bocianów jeden został w Londynie. Pięć odleciało w kilka minut po wypuszczeniu „na wolność”*.

Oraz: *5 bocianów ruszyło natychmiast w drogę w kierunku właściwym, szósty pozostał dotychczas w Anglii* („IKC” nr 177 z 29 czerwca 1939, tekst zatytułowany *Bociany polskie w drodze z Anglii do kraju*).

Nie obyło się bez dowcipkowania, a nawet polityki czy animozji regionalnych. W tym wypadku między Kresami Wschodnimi a Wielkopolską, czyli Wilnem i Poznaniem.

Wydawane w Wilnie „Słowo” w numerze 172 z 25 czerwca 1939 zamieściło wierszyk *W sprawie bocianów*, podpisany: Billard.

*Natury przejrzyć zagadki
to ducha ludzkiego zadanie.
Stąd biorą źródła obecne
experymenta bocianie.*

*Czy nasze pocziwe boćki
potrafią odnaleźć drogę
do domu? Oto szarada
wdzięczna dla ornitologów.*

*Przeto malują im skrzydła
na wszystkie kolory tęczy,
magnes im gdzieś przypinają
(jak można tak ptaki męczyć!)*

*I tak przyrządzone biedactwo
wiozą na świata gdzieś krańce,
by tam je puścić i sprawdzić,
czy wrócą do nas wygnance...*

*Czy wrócą z Londynu, Uppsali,
to dla mnie nieważne pytania –
Niechaj wracają skąd zechcą,
byleby nie z Poznania.*

Najwięcej optymizmu zaprezentowali wówczas satyrycy z „Kuryera Literacko-Naukowego” (dodatku nr 27 do 181 numeru „IKC” z 3 lipca 1939), którzy zatytułowali swój tekst jednoznacznie: *Najwierniejsze z wier-
nych naszych ptaków.*

Jan Strękowski



**Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.**

Zrealizowano w ramach
stypendium
Ministra Kultury,
Dziedzictwa
Narodowego i Sportu

Bartłomiej Świderski

Plaga¹

(fragment)

Powiada się sobie, że zaraza jest nierzeczywista, to zły sen, który minie. Ale nie zawsze ów sen mija, i od złego snu do złego snu to ludzie mijają, a humaniści przede wszystkim, ponieważ nie byli dość ostrożni.

Albert Camus, *Dżuma*, tłum. Joanna Guze

1.

Osiemset dwunastego dnia lockdownu spotkałem się z Łukaszem.

– Wyłysiałeś – zauważył i przeczesał palcami swoją bujną czuprynę. Nie widzieliśmy się od wybuchu epidemii, a nie znaliśmy się tak dobrze, żeby utrzymywać kontakt telefoniczny czy mailowy. Po powitalnych „słyszysz mnie? widzisz mnie? halo!” zapadła niezręczna cisza. Jeśli uwaga o mojej fryzurze miała być początkiem pogawędki, Łukasz nie mógł trafić gorzej.

– A to czerwone, na skroni?

– Zaciąłem się przy goleniu – powiedziałem zgodnie z prawdą, bo wcale nie wyłysiałem, tylko łysięję – tryb mocno niedokonany. Dlatego zacząłem golić głowę. Pochyliłem się do kamierki, by mógł dokładnie obejrzeć moje skaleczenie.

– Przepraszam – mruknął.

Jeszcze rok temu brzmiałoby to jak niewinny dialog dalekich znajomych, którzy dawno się nie widzieli i nieporadnie podtrzymują rwącą się rozmowę. Ale teraz, gdy media trąbiły o wtórnych objawach zakażenia

¹ Dystopia o niekończącym się lockdownie, której akcja rozgrywa się Anno Covidi 4, czyli za jakieś dwa lata. Bohaterami są filmowcy: scenarzysta Michał i operator Łukasz. Postanawiają zekranizować powieść Alberta Camusa „Dżuma”, którą w dobie pandemii filmowcy z całego świata wyrrywają sobie z rąk. W styczniu 2021 *Plaga* zaczęła się pojawiać w odcinkach na platformie *Audioteka.com* w formie audiobooka w interpretacji Rafała Sisickiego, 8 czerwca 2021 ukazała się drukiem nakładem wydawnictwa Seqoja. Więcej informacji na: www.plaga2023.pl oraz <https://seqojawydawnictwo.pl/produkt/plaga-bartlomiej-swiderski/>.

– wypadaniu włosów i wrzodach, które doszły do pierwotnych – gorączki i kaszlu, takie pytania zastępowały nietaktowne: „Jesteś zdrowy?”

– Jestem zdrowy – powiedziałem.

– Ja też – odparł szybko.

Przyjrzałem mu się uważniej. Rozparty w niedbalej pozie za biurkiem. Niebieska koszula, srebrne spinki. Jego sylwetka niemal wychodziła z ekranu, odcięta wyraźnym konturem od bursztynowej poświaty tła. Musiał mieć najnowszą kamerę wysokiej rozdzielczości z automatyczną korektą barwną. Temu specjaliście od kręcenia wesel i kinder-bali najwyraźniej pandemia wychodziła na zdrowie.

– Naprawdę chcesz nakręcić „Dżumę” Camusa? – spytałem. Napisał mi to w mailu, ale nie uwierzyłem.

– Tak! – przytaknął energicznie.

– Przy zakazie zgromadzeń?!

– Napisziesz mi scenariusz, Michał. Podczas lockdownu. Zdjęcia zrobię później.

– Ja? – nie ukrywałem zaskoczenia.

– Jesteś najlepszy.

Tym razem milczałem. Rozmowność Łukasza i to przeszarżowane pochlebstwo pasowały do niedbalej pozy, którą przybrał, kłóciły się jednak z tym co pamiętałem. Dawniej był skromnym, nieco zgorzkniałym introvertykiem, ważącym każde słowo. Przez dziesięć lat od ukończenia wydziału operatorskiego szkoły filmowej nie nakręcił nic godnego uwagi. Wątpię, by ostatnio zrobił karierę, o której nic nie wiedziałem. Nie chodzi o to, że byłem na bieżąco z branżowymi nowinkami. Po prostu branża praktycznie nie istniała. Większość scenarzystów utrzymywała się z pisania youtubowych wystąpień dla e-biznesu, jak ja, a operatorzy – z ich kręcenia.

– Wszyscy chcą ekranizować „Dżumę”, ale to my opowiemy tę historię – w odjechanych dekoracjach, z perspektywy zmutowanego szczura – ciągnął Łukasz.

– Takiego, który umie mówić? – spytałem automatycznie.

– Zwariowałeś? – prychnął. – To nie będzie *Ratatuj 2!* Szczura odpornego na zarazę!

Z każdą chwilą upewniałem się, że akcje mojego kolegi poszły w górę. Sukces często wywołuje schamienie, zwłaszcza u ludzi przewrażliwionych na własnym punkcie, a taki był Łukasz.

– Wyobraź sobie – walka o życie, rozważania o Bogu, poświęcenie – nakręcał się.

– Ktoś z nas nazywa się Luis Puenzo²? – przerwałem mu.

Łukasz powoli przeniósł wzrok z rogu ekranu na mnie, czyli idiotę, który zamiast chwycić swoją wielką szansę, właśnie bezmyślnie ją odpychał. Skrzywił się, machnął ręką i położył nogi na biurku.

– Słuchałeś mnie? My ze swoim zmutowanym szczurem pójdziemy na całość! My...

Urwał, przeprosił gestem i wyciągnął z kieszeni dzwoniący telefon. Usiadł prosto. Jego pozornie niedbałe „taaak?” wydało mi się sztuczne.

– Zaczekaj chwilę – rzucił do kamerki i zawiesił nasze połączenie. Pomyślałem, że przed osobą, przy której zdejmował nogi z biurka, musiał czuć respekt, na pewno większy niż przede mną. Może to jej zawdzięczał swój sukces? Warto ustalić jej personalia – stwierdziłem – a tymczasem wstałem, przeciągnąłem się i podszedłem do okna.

Trwające już drugi miesiąc upały wysuszyły do cna miejską zielen. W oślepiającym słońcu kamienica vis-à-vis wyglądała jak своя wyblakła fotografia. Codziennie ślizgałem się wzrokiem po oknach z zaciągniętymi zasłonami i po odrapanej elewacji. Znałem na pamięć wszystkie jej skazy, od smug na parterze, przez płyty odłupanego tynku pośrodku aż po szczerbaty gzyms. Gdyby ktoś spytał o kształt, jakiego nabrało dla mnie abstrakcyjne pojęcie plagi, wskazałbym ten zniszczony budynek.

– Jedziemy nad Zalew Zegrzyński! – huknęło raptem z głośników. Wróciłem przed komputer.

– A jak wydostaniemy się z miasta? – zadałem pierwsze z szeregu pytań, które mi się nasunęły. Łukasz w międzyczasie zdążył odzyskać pewność siebie. Machnął ręką i uśmiechnął się.

– Załatwię przepustki.

– Jakim cudem? – prychnąłem, porzucając grzeczny ton.

– Nikomu o tym nie mów – szepnął konspiracyjnie i mrugnął. – Pracuję dla rządu.

Rozciągnął usta od ucha do ucha i znowu położył nogi na biurku.

– Już rozumiesz, że to na pewno my nakręcimy *Dżumę*?

Po namyśle stwierdziłem, że ryzyko tej wyprawy nie robi na mnie wrażenia. Że nie mam wcale ochoty na tworzenie scenariusza do powieści Camusa. A tym bardziej nie marzę o srebrnych spinkach ani o złotych statuetkach. Odczuwałem wyłącznie zaciekawienie.

2 Luis Adalberto Puenzo (ur. 19.02.1946), argentyński reżyser, producent i scenarzysta. W 1992 roku zekranizował *Dżumę* Alberta Camusa.

– Kto do ciebie dzwonił? – spytałem po chwili. – Premier? Prezydent? Łukasz roześmiał się i pokręcił głową.

– Moja nowa dziewczyna – odparł z nutą triumfu. – Ma barękę, wyposażoną w hamaki, barek i kabinę odkażającą, zacumowaną w cichej zatoce zalewu. Idealne miejsce do pisania. Co ty na to?

Z namysłem zacząłem powiększać obraz na ekranie. W podeszwach poznaczonych smugami zieleni trampek Łukasza tkwiły grudki ziemi. To było jeszcze dziwniejsze niż jego propozycja. Która od razu przestała brzmieć abstrakcyjnie.

– Zastanowię się – odparłem ostrożnie.

*

Wieczorem nasypałem trochę kaszy i pestek dyni do spodka, postawiłem go na podłodze i usiadłem w fotelu. Kwadrans minął niepostrzeżenie. Szary kształt śmignął spod łóżka przez dywan jak cień ptaka za oknem. Na środku pokoju znieruchomiał, a potem ujawnił swój trzeci wymiar. Mysz stanęła na tylnych łapkach, rozejrzała się, a potem podbiegła do spodka i zaczęła jeść.

– Smacznego, Mini – powiedziałem. Wziąłem parę pestek i wyciągnąłem dłoń, a moja współlokatorka podbiegła do mnie.

– Jak minął ci dzień?

Pokiwała łebkiem na znak, że świetnie i połaskotała moje palce wąsami.

– Uwierzysz, że kisimy się tu razem już jedenaście miesięcy? – westchnąłem. – We wrześniu stuknie nam rocznica.

Zamrugła ze zdziwieniem czarnymi oczami.

– Może z tej okazji zamówię szampana i puścimy sobie tego twojego „Dziadka do orzechów”?

– Świetnie! – odparła kiwając łebkiem i rażno wróciła do jedzenia. Delikatnie pogłaskałem ją po grzbiecie.

– No to jesteście umówieni – powiedziałem i dodałem z wahaniem: – A tymczasem pilnuj naszego domu.

Gdy wróciła do dziury w ścianie nasypałem w różne zakamarki mieszkania kaszy i ziaren. Tyle, żeby wystarczyło jej na dwa tygodnie.

2.

Nazajutrz wstałem rano i ogoliłem się, uważając tym razem, żeby się nie skaleczyć. Spakowałem do plecaka swoje wytarte koszule, przechodzone dżinsy i pocerowaną białiznę – jedyne ubrania, jakie mi zostały. Zabrałem też laptop, egzemplarz „Dżumy” i kosmetyki, które zmieściły się w małej saszetce. Tak jak co dzień dreptałem między kuchnią, pokojem i łazienką, a potem – jak raz na tydzień – podszedłem do drzwi wyjściowych. Założyłem na ramię plecak, pomachałem w stronę dziury w ścianie i pierwszy raz od roku wyszedłem na korytarz. Strażnik patrolujący blok pojawił się niemal natychmiast. Kiedy powiedziałem mu o koledze z pozwoleniem na wyjazd z miasta, spojrzał na mnie z niedowierzaniem, a potem eskortował aż na ulicę. Łukasz wysiadł z zaparkowanej pod blokiem srebrnej terenowej toyoty. Miał na sobie szary garnitur i białą koszulę, maseczkę zdobił drobny wzorek kojarzący się z krawatem. Pozdrowił mnie ruchem ręki i wylegitymował się strażnikowi. Gdy tamten oddał mu papiery i odszedł, Łukasz wyjął z kieszeni podłużny kawałek plastiku wielkości palca. Odchylił swoją szykowną maskę i poślinił ustnik testu. Drżącą ręką wyjąłem swój i też podniosłem do ust. Jak zwykle te kilkanaście sekund dłużyło mi się niemiłosiernie. Najpierw pojawiła się korona, czyli falista linia kontrolna. Odetchnąłem z ulgą widząc, że perła w środku pozostała blada. Podeszliśmy do siebie z testami w wyciągniętych dłoniach i pilnie wypatrywaliśmy najmniejszego przebarwienia w koronie tego drugiego, udając oczywiście, że tylko zerkamy od niechcenia. Perła Łukasza była równie jasna jak moja, mimo to z trudem opanowałem odruch ucieczki przed facetem, który wciąż skracał dzielący nas dystans. Ale przeczekałem falę paniki i stuknąłem się z nim łokciem na powitanie.

– Miło cię widzieć – powiedział niewyraźnie przez maskę, na której z bliska wypatrzyłem logo Armaniego. Wskazał w stronę auta. – Poznaj Olę.

Zobaczyłem tylko grzbiet nosa Oli i jej ucho ze złotym kółkiem. Nosiła opadające na czoło rude włosy, maseczkę przedstawiającą nadmuchane kolagenem usta – czyżby autoironia? Do tego ciemne okulary i czarne rękawiczki. Pomachała mi z przedniego fotela. Następnie wymieniliśmy epidemiologiczne uściski, czyli pokazaliśmy sobie nawzajem swoje testy. Nie wykonując ich na oczach tej drugiej osoby, nagięliśmy wprawdzie niepisane zasady, ale przecież oboje ufaliśmy Łukaszowi. Ona widziała, jak ślinię przy nim ustnik testu, ja zakładałem, że zrobiła to samo przed wejściem do jego auta.

Nagle patrolujący ulicę dron przeleciał nade mną tak nisko, że z wrażenia musnąłem drzwi odsłoniętym policzkiem.

Tak zaczęła się moja wielka przygoda – pierwszy od roku bezpośredni kontakt z istotami cięższymi niż dwa deko. Pierwsze od półtora roku wejście do zamkniętej przestrzeni innej niż mój pokój, kuchnia czy łazienka. Pierwsza od dwóch lat przejażdżka samochodem. Mnóstwo pierwszych razy, a wszystkie naraz. – Nie bój się – szepnął głos w mojej głowie. Wstrzymałem oddech i dałem do auta szybkiego nurka, jakim pewnie zanurzyłbym się w basenie pełnym piranii.

Łukasz umościł się za kierownicą i dziarsko zawołał:

– Gotowi na MOROWĄ wyprawę?

Ola zaśmiała się, co dało komiczny efekt w zestawieniu z pogardliwie wyдутymi ustami na jej maseczce. Wyglądała jak manekin z ukrytym głośnikiem, albo jak brzuchomówca. Śmiejąc się – nie tylko grzecznościowo – wyciągnąłem z plecaka spray, opuściłem swoją zwykłą, białą maskę z filtrem i spryskałem muśnięty metalem policzek. Odkazając go obserwowałem przesuwające się za szybą odrapane elewacje, znajome w zarysie, zupełnie obce w szczegółach. Upadek kamienicy vis-à-vis obserwowałem dzień po dniu. Nie dziwił mnie już, ani nie smucił, może tylko wprawiał w lekką melancholię, jak starzenie się własnej twarzy. Widok tych zrujnowanych budynków, ich zabite dechami albo poznaczone pajęczynami pęknięcie szyby, przekrzywione szyldy i stłuczone neony zdumiał mnie. Nieuczęszczane chodniki porosły trawą i wysokimi na metr chwastami. Obsypane żółtymi i białymi kwiatami kołysały się na wietrze, zamieniając trotuary w dzikie łąki, wdzierające się w jezdnię dosłownie każdym pęknięciem asfaltu. Większość billboardów reklamowych zdążyła wyblaknąć, stosunkowo świeże były tylko te należące do dostawców internetu. Giganci cyberprzestrzeni wciąż rośli w siłę i walczyli o klientów cenami, twarzami celebrytów i własnymi, zastrzeżonymi kolorami. Błękit – sieć ekonomiczna, magenta – młodzieżowa, ochra – luksusowa. Wyminięliśmy jadący z Centrum sznur kurierów na rowerach ubranych w odbłaskowe kamizelki z sześciennymi plecakami w barwach odpowiadających tym z billboardów. Wysłannicy trzech firm spieszyli do klientów z dobrami w rozsądnych cenach (poza ochrowymi). Główną ulicą jechali razem niczym peleton rowerowego wyścigu, minawszy skrzyżowanie, wjechali w labirynt osiedlowych uliczek; każdy śpieszył się do innej mety.

Wyjechaliśmy na trasę szybkiego ruchu osłoniętą dźwiękochłonnymi ekranami i moją uwagę skupiło wnętrze auta. W klimatyzowanym powietrzu unosił się morski zapach wody kolońskiej i cytrusowa woń damskich

perfum. Sam po ogoleniu posmarowałem się tylko dostępną bez kartek niweą, ale przecież nie pracuję dla rządu. Nie mam barki na zalewie ani nowej terenówki, ani też glejtu pozwalającego rozbijać się nimi po województwie. Nie trzeba było jednak aż tylu oznak statusu by wbić mnie w skórzany fotel. Mimo szumu motoru słyszałem ciche oddechy, trzeszczenie tapicerki pod ciężarem współpasażerów i niemal czułem bijące od nich ciepło. Zapomniałem już, jak to jest – fizycznie dzielić przestrzeń z innymi ludźmi, obcować z obcymi, wystawić się na radioaktywną ekspozycję drugiego człowieka.

– Przeczytałeś *Dżumę*? – przerwał milczenie Łukasz.

– Dawno temu – odparłem. – Wczoraj ją sobie przypominałem. Świetna książka.

Odwrociłem się do okna i spróbowałem skupić się na otoczeniu, mówiąc sobie, że gadamy normalnie, czyli przez telefon.

– Według mnie przebitki plenerowe możesz już kręcić. Właśnie tu, właśnie teraz – dodałem po namyśle. – Po epidemii takie widoki znikną.

Zostawiliśmy za sobą dźwiękochłonne ekrany i jechaliśmy wzdłuż zaskórników zwieńczonych drutem kolczastym. Minęliśmy bramę z napisem „Infected Zone 34. Strefa skażona nr 34” na czerwonej tablicy. W oddali majaczył Pałac Kultury z gigantyczną kulą nad iglicą. Nawet stąd było widać wymalowaną na balonie trupa czaszkę w maseczce chirurgicznej. Wiatr, który dawniej rozrzucałby po pustych ulicach gazety, teraz miotał zużytymi maseczkami i jednorazowymi rękawiczkami. Za nami zawyła syrena karetki, a w górze zaterkotał helikopter.

– Mam dość zdjęć plenerowych w pracy – westchnął Łukasz i ostentacyjnie ziewnął.

– A czym ty się właściwie zajmujesz? – spytałem. Moja ciekawość przypominała świeży pęd na wpół uschniętej rośliny – podlewałem ją zdumiony, że jeszcze żyje. Łukasz spojrzał na mnie z ukosa, a potem drgnął i wskazał za okno ponad moim ramieniem.

– Hej, zobaczcie!

Wymijaliśmy właśnie idącego chodnikiem mężczyznę, w dżinsach, płaszczu i pilotce. Jego ubiór nie był jednak tak ekscentryczny jak twarz. Obscenicznie naga, z odsłoniętymi ustami i nosem.

– Psychol – warknął Łukasz. Przełączył coś przy kierownicy i czerwona lampka z przekreśloną trupą główką na konsoli zaświeciła mocniej. Techniczna nowinka – filtr wirusa – o której wcześniej tylko czytałem, zaczęła pracować ze zdwojoną mocą.

– Fajne auto – stwierdziłem. – Służbowe?

Łukasz zerknął w lusterko i pokręcił głową.

– Filmujesz coś dla rządu?

– Między innymi – mruknął. Najwyraźniej miał powody, by nie rozwijać tego tematu, a ja nie chciałem być wścibski. Mojej pączkującej ciekawości te przemilczenia wystarczyły za pożywkę i rosła sobie dalej, na razie w ciszy.

– A ty jesteś na kwarantannie sam czy ze SMRODZINĄ? – odezwała się nagle Ola. Miała melodyjny głos pełen wibrujących samogłosek, które przebijały nawet przez maseczkę.

– Z myślą – odparłem. Obejrzała się, a ja wyczułem skrzywienie pod wymalowanymi na materiale ustami. – Komputerową.

Wybacz, Mini, ale większość ludzi prędzej zrozumie dziś uzależnienie od komputera niż naszą przyjaźń.

– Nie przejmuj się, niedługo znowu będzie można integrować się w realu – odparła swoim dźwięcznym głosem.

– Wiem, wiem, kiedyś zniosą zakazy...

– Mówię o bezpiecznych enklawach. Takich jak ta Łukasza.

Zdjęła rękawiczkę i zmierzwiła włosy kierowcy. Próbowалам sobie przypomnieć, jak to jest: czuć na skórze dotyk czyichś palców. Mieć włosy i kogoś, kto ci je mierzwi.

– Żona Lota – dodała i wyrecytowała – „Luksus, który wprawi cię w osłupienie”.

Rozbawienie podniosło jej intonację do zaśpiewu, rzeńskiego jak stepowy wiatr i melodyjnego jak dumka. Musnęła nim moje wrażliwe uszy słuchowca na odwyku. Niestety, szybko zagłuszyła ją kolejna syrena, tym razem radiowozu. Łukasz musiał zjechać na nieczynny przystanek autobusowy i tam znowu wylegitymować się uzbrojonemu funkcjonariuszowi. Wrócił do auta kręcąc głową. Chciałem go spytać o powód blokady, ale wtedy za kawalkadą wozów przejechał autobus oznakowany trzema połączonymi półkolami – symbolem toksyn. Pomyślałem o stłoczonych w środku zakażonych, zmierzających zapewne do „Strefy 34” po moich plecach przebiegł dreszcz.

– Na szczęście już niedługo zamieszkasz w miejscu wolnym od takich atrakcji – stwierdziła Ola gdy ruszyliśmy. Obróciła się w stronę kierowcy i w prześwicie między fotelami pojawiła się jej noga, opięta nogawką spranych džinsów. Przez dziurę na kolanie widać było skrawek opalonego ciała. To było coś więcej niż zapach, ciepło oddechu czy skrzypienie fotela. Świeża skóra na wyciągnięcie ręki mąciła mi w głowie. Odwróciłem wzrok.

– Na barce też będziecie mieli spokój – ciągnęła. – Na pewno stworzycie tam oscarowy scenariusz!

– Znając Michała masz to jak w banku – rzucił dobrotliwie Łukasz.
 – A co ostatnio napisałeś? – spytała, odwracając się.
 – Reklamę mydła, monolog o zdalnej księgowości i dialogi do pornosa – odparłem bez namysłu. Zapadła cisza, a ja zreflektowałem się i zachichotałem.
 – Szkoda tylko, że za to nie dają Oscarów – podchwycił Łukasz z wymuszonym śmiechem. – Chociaż powinni!
 Oła w końcu rozluźniła się i zaśmiała. A ja jeszcze głośniej, do łez.
 Śmiech był sztuczny, ale łyzy prawdziwe.

Mijaliśmy kościoły przerobione na szpitale i parkingi przerobione na kościoły. Na jednym z nich ksiądz właśnie odprawiał mszę dla wiernych w autach. Przylegającą do parkingu wielką galerię handlową przemalowano w duchu ekumenizmu na trzy zastrzeżone kolory: błękit, magentę i ochrę. W środku, w miejscu dawnych kawiarni, butików i supermarketów piętrzyły się teraz krzemowe bloki obsługujące wszystkie trzy sieci. Centralna serwerownia, cyfrowe serce Mazowsza, pompowała terabajty danych, rozprowadzane światłowodami po całym województwie. Podobno ostatnio liczba komputerów dwukrotnie przekroczyła w nim liczbę mieszkań. A wszystkie były ze sobą sprzężone i niemal non stop aktywne.

Minęliśmy też zadaszony ekran, na którym migały animowane figurki. Słuchaliśmy przez chwilę opowieści o misiu, który szukał mamy, bo ścieżkę dźwiękową kino przesyłało widzom przez radio. Dzięki temu okna aut stłoczonych przed ekranami mogły pozostać zamknięte i ludzie pozostawali bezpieczni.

– Ludziska powoli mają dość swoich mieszkań i sieci – odezwał się nagle Łukasz. – Lubią co pewien czas pobyc off-line.

Z opóźnieniem dotarł do mnie sens tego zapomnianego zwrotu i kojarząca się z nim aura stęchłej, odciętej od świata pustki. Chęć, by w niej przebywać, wydawała mi się szczytem absurdu.

– To dlatego kina plenerowe zbierają teraz złote żniwo – ciągnął. – Tak jak dawniej internetowe platformy filmowe.

Oła ziewnęła, podniosła rękę do ust i dopiero w pół gestu ją opuściła. Mnie też nowe odruchy wchodziły w krew powoli i łatwo zapominałem o maseczce, którą po Dniu Zamkniętych Drzwi tak rzadko miałem okazję nosić.

– A myślisz, że ludzie przyjeżdżają do kin na *Epidemię*, *Jestem legendą*, *Miasto ślepców*, *World War Z* czy tę twoją francuską *Dżumę*? – spytał Łukasz i odpowiedział sobie sam: – Nie, stary, sprawdzałem to. Króluje Bollywood, musicale i animacje. Gdyby teraz w Polsce mógł powstać normalny film, na sto procent byłaby to kostiumowa komedia.

– No to może powinniście taką napisać? – rzuciła nieśmiało Ola. Łukasz uniósł dłoń i niemal przeproszającym gestem pogłaskał ją po ramieniu.

– Sęk w tym, kochanie, że teraz nie powstanie żaden film – poinformował ją. – Natomiast kiedy cały ten koszmar minie, skończy się też popyt na sielanki. A na co się zacznie?

– Na waszą *Dziumę!* – zawołała. Łukasz skwapliwie przytaknął, a ona przeciągnęła się jak kotka. Coraz bardziej intrygowało mnie, co skrywają jej ciemne okulary i maseczka z wydętymi ustami. Złapałem się na tym, że znowu patrzę na nogę Oli z odkrytym skrawkiem ciała, a ona, jakby odgadując moje pragnienia, skubała paznokciami nitki džinsów, powiększając połąć brązowej nagości. W pewnym momencie podrapała ją, pozostawiając na skórze białe smugi. Pomyślałem, że takie same dwie równoległe linie pozostawia na niebie samolot i że zawsze lubiłem patrzeć, jak powoli blakną... I znowu musiałem użyć całej siły woli, by podnieść wzrok. Tymczasem oprawka ciemnych okularów opadła nieco ukazując kącik jej oka. Kolor tęczówki pozostał zagadką, bo okazała się zasłonięta opadającą, zaczerwienioną powieką. Wyprostowałem się tak gwałtownie, że uderzyłem głową w sufit.

– Wszystko w porządku? – spytał Łukasz, zerkając we wsteczne lustro. Kiwnąłem głową – na szczęście trafiłem w miękkie obicie – i odwróciłem się do okna. Czy możliwe, żeby była zakażona i nie wiedziała o tym? Czy zaraziła się dziś, a jej negatywny test pochodził z wczoraj? Bzdura, musiała znać swój status. To, że pokazała mi stary test i zasłaniała chore oczy ciemnymi okularami, choć dzień był pochmurny mówiło teraz za siebie. Rude włosy to na pewno peruka.

Przysunąłem się do okrągłego wentylatora, by odetchnąć odwirusowanym powietrzem z zewnątrz. Ale to nie miało sensu. Po pół godzinie wspólnej jazdy albo wszyscy byliśmy zdrowi albo chorzy, trzeciego wyjścia nie było. To dlaczego tylko ja się pocilem? – zapytałem sam siebie, patrząc na współpasażerów. Podziwiali i komentowali widoki, które mnie przesłoniły zdjęcia owrzodzonych ludzi, czołgających się po korytarzach szpitali. Matek podających przez okna sine dzieci, których nikt nie chciał od nich wziąć. Słynnej piosenkarki ze stróżką krwi cieknącej z nosa. Czy oni nie oglądali serwisów informacyjnych? Byli... off-line? Jakby na potwierdzenie moich domysłów Łukasz rzucił propozycję jeszcze dziwniejszą niż pomysł tej wycieczki, dorównującą śmiałością zaproszeniu na Księżyc.

– Chodźmy na zakupy!

W ciszy, jaka zapadła, słysząc było tylko świst odrzutowca wysoko nad nami.

– Do sklepu – dodał, a jego słowa podbił odległy grzmot. Nie tylko bariera dźwięku została tu przekroczona i w głuchej ciszy jego dziewczyna delektowała się tym faktem. Ale nie ja.

– Mam wszystko, czego potrzebuję – powiedziałem szybko. – Poczekam na was.

Spojrzeni do tyłu, a potem kolejne kilkanaście kilometrów przejechaliśmy w milczeniu. W końcu Łukasz zaparkował przed pawilonem handlowym przerobionym na hurtownię. Wysiadł, okrążył auto i otworzył drzwi Oli. Poprowadził ją do bramy sezamu, czyli szarych drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Otworzył je swoim magicznym zaklęciem – glejtem, którym machnął przed nosem kolejnego strażnika i oboje zniknęli w ciemnym wnętrzu.

Oczywiście, mogłem teraz zadzwonić na pogotowie lub policję, a najlepiej pod oba numery, jeden po drugim. Zamiast tego opadłem na oparcie i otarłem mokre czoło. Z wirusem i tak daleko nie zajadę – pomyślałem – w przepełnionym szpitalu przeżyję tylko dzień czy dwa dłużej niż poza nim. Jeśli jestem zakażony. Bo oto znowu odezwał się mój zawodowy nawyk mnożenia scenariuszy. Przecież Łukasz wczoraj na dzień dobry spytał mnie o łysinę i o skaleczenie. Jak to możliwe, że swojej dziewczynie nawet nie spojrzał w oczy? Krzyczał na ludzi bez masek biegających za szybą, chociaż wiedział, że zostało mu parę dni życia? Znowu usłyszałem w głowie „nie bój się” i siedziałem nieruchomo. Musiałem wiedzieć, w co oni grają i kto tu rozdaje karty. Najwyraźniej coś zagłuszyło we mnie instynkt samozachowawczy. Skrzywienie zawodowe? Odwaga? Ciekawość?

Cokolwiek to było, głos miało kobiecy.

W końcu gołąbki wróciły na przednie fotele z siatkami wypchany mi czekoladą, szynką, pomidorami – a wszystko świeże, niepuszkowane. To musiały być rarytasy z ochrowej platformy internetowej, które najwyraźniej VIP-om wydawali w hurtowniach spod lady. Ola zaczęła swoim śpiewnym głosem dziękować „szalonemu Lukiemu” za tę niespodziankę, aż w końcu urwała przejętą, sięgnęła do swojej szpanerskiej maseczki i bez słowa opuściła ją na brodę. Jak zahipnotyzowany patrzyłem na jej drobny, lekko zadarty nos, na wypukłe wargi z uniesionymi kącikami, bez śladu wykpionego na materiale kolagenu. Wyposzczony wzrokowiec drzemiający we mnie zrozumiał Łukasza lepiej i niemal rozgrzeszył go z lekkomyślności.

Nawet gdy opadła jego maseczka od Armaniego, a twarze zbliżyły się do siebie i złączyły w pocałunku.

Chyba wszyscy troje straciliśmy poczucie czasu. Łukasz musiał ocknąć się przede mną, bo kiedy zacząłem rejestrować bodźce z zewnątrz, on znowu spokojnie prowadził auto. Minęliśmy zardzewiały drogowaskaz w kształcie żaglówki z napisem „Yacht Club PERŁA” i nieczytelną liczbą kilometrów, a zaraz za nim skręciliśmy w leśną, nieoznakowaną drogę. Zza szpaleru drzew zaczęła prześwitywać szaroniebieska tafla zalewu. Coraz bardziej żałowałem, że nie ma ze mną Mini, że nie zobaczy tych cudów i nie odetchnie świeżym powietrzem. Brakowało mi jej mechatego, krzepiącego ciepła, co tu kryć. Rano wytłumaczyłem jej, że podróż byłaby dla niej zbyt ryzykowna, że mogłaby utonąć, albo paść ofiarą jakiegoś leśnego drapieżcy.

Co ja wtedy wiedziałem o ryzyku?

Minęliśmy pomnik zadżumionego świętego, który ostatnio stawał na cokołach równie często co niegdyś Jan Paweł II. Przeżegnałem się i poprosiłem w duchu: „Spraw, święty Rochu, żeby to był tylko objaw jej alergii. Mongolskie rysy, zadrapanie, znamię, cokolwiek niezaraźliwego. A ostatecznie – uleczalnego w dzisiejszych czasach, jak twoja czarna śmierć albo trąd. Byle nie to, co myślę. Amen”.

– Nie bój się – szepnął znowu głos w mojej głowie. Tym razem go rozpoznałem.

Bartłomiej Świdorski



Bartłomiej Świdorski, *Plaga*
Wydawnictwo Seqoja Ewa Klimek,
Olsztyn 2021
Stron 232
ISBN 978-83-958610-5-5

Grzegorz Walczak**Psy doktora Fergusona**

...Kocham ją jeszcze bardziej, i coraz bardziej, tym bardziej gdy sobie zdaję sprawę, że dla uratowania miłości przyjdzie mi ojczyznę mą na długo, być może do zgonu, utracić.

O, Ozyrysie, będziesz miał na szalach nowe przeciwwagi: wolność skotłowanego, starganego serca i moją pewność, że żyć mogę jedynie wśród mazowieckich sosen. To zresztą mniejszy problem, bo Maria była też, co ja mówię, jest (*chyba jeszcze jest*) Polką. Nie wiem tak dokładnie, od czego Polka może przestać być Polką. Dla mnie to przecież nigdy nie było sprawą formalną.

Patrzą na mnie złe oczy, jeśli się tylko odchylam. A jakżeż się nie odchylać, kiedy się żyje. I dlatego wciąż w czyichś złych oczach jesteś podejrzanym odchyleńcem, niewyważonym – chociaż ciągle cię tu ważą – zboczonym zboczeńcem, a powinieneś być gnomem w punkcie idealnie centralnym zakreślonego dla twej postaci kręgu. I byłbyś kołkiem przesadzonym z ogródka do ogródka przez różnych uzurpatorów, którym się wydaje, że w pełni oczywistości mają do ciebie prawo, gdybyś nie odczuwał prawa do siebie samego i nie prychał, niby nazbyt objuczony wielbłąd, w oczy tym uzurpatorom, wypinając się na nich z dystynkcją. I nadal wypinałbym się tak nieobliczalnie przez sen, bo właśnie spałem powalony na drodze prowadzącej nad Nil, gdyby mi w tym śnie opiekuńcze bóstwa nie dały znać o zbliżającym się niebezpieczeństwie. We śnie, jak zwykle trochę nierealnym, byłem sobie księciem Totmesem, późniejszym faraonem. Sny mam zazwyczaj królewskie. Otóż, przyśniła mi się historyjka, którą wyszperałem w lipskim źródle *Urkunden des agyptischen Altertums*. Śniło mi się, że śpię jako Totmes, zmęczony ciężkim książęcym życiem, gdzieś w piaskach pustyni – a to już świadectwo nadwątlonych nerwów lub filozoficznej depresji. Taka pudełkowa konstrukcja – sen we śnie, to bardzo niebezpieczne. Łatwo przy tym o nieszczęście. Przyśni ci się, człowieku, sen, w którym śni ci się, że śnisz, i już nie tylko masz kwadrat, ale i sześcian snu, i możesz się tak rozpędzić z przyspieszeniem geometrycznym, wpadając wciąż w coraz głębsze sny, jak do nieskończonej studni, z której już nie ma wyjścia, nie

ma ucieczki, chyba że przez wiele tysięcy lat świetlnych. Niektórzy uznają to za letarg, ale inni po prostu cię pochowają.

Ja byłem dopiero w drugim stopniu zapędzenia w sen, lecz czyhało na mnie podwójne niebezpieczeństwo: pierwsze na mnie – Totmesa, któremu objawił się we śnie jeden z ważniejszych bogów w postaci wielkiego Sfinksa z Gizy. W swej łaskawości osobnik ten oznajmił, że jak się zaraz nie przebudzę i szybko stąd nie wyniosę, to pustynne piaski zarzuci mi na głowę niewąską kołderkę. Myślę, że to musiał być Chnum, bo ten jako stwórczyni troszczy się o wszystko, co stworzył, a i esteta jest z niego nie lada. Chodziło mu o oczyszczenie sfinkсового bóstwa z piasku, więc też mi to zaraz zaproponował. Bóg Chnum miał we zwyczaju objawiać się śmiertelnym. Królowi Dżeserowi, założycielowi trzeciej dynastii, przedstawił się tak: „Ja jestem Chnum, który ciebie stworzył”. Jest to dobre bóstwo, podobnie jak Amon – o głowie barana. Lepi on sobie z gliny przeróżne istoty, a szczególnie starannie urabia przyszłych królów na garncarskim kole. Może to zresztą nie był Chnum, ten, który mnie budził, ale i tak dzięki mu za to. Osobiście mu się pokłonię, kiedy go jeszcze spotkam na swej drodze. Jak się okazało, uratował on nie tylko mnie-Totmesa przed zasypaniem piaskiem, ale mnie-mnie przed nikczemnym pokąsaniem, może nawet rozszarpaniem.

Oto stały nade mną wielkie psiska, a ja się właśnie wypinałem w tym swoim śnie o potędze, sny się łatwo nakładają, i to nie tylko w głąb, ale i w poprzek, więc ja się wypinałem na stosunki uniwersyteckie i na niesprawiedliwości europejskich przewag kobiet, i na tych wszystkich, którzy patrzą złymi oczami, a jednocześnie Chnum mnie trącał sfinksem w bok, a jednocześnie, ale już naprawdę, zjeżyły się nad górującym, jak „prapagórek” rzeczy, moim tyłkiem psy o niezwyklej urodzie i szlachetności linii, lecz o niedwuznacznych zamiarach. Były trochę podobne do wyźłów i zastanawiałem się, czy rzeczywiście? – Ależ tak, już wiem – widziałem je w grobowcach królewskich w Kings Valley. Były nieco podobne do czarnych wyźłów na długich nogach, z wygiętym tułowiem o eleganckiej sportowej sylwetce, pyski ostre i podłużne, uszy spiczaste, stojące. Z całą pewnością przybiegły z Doliny Królów, ale tam nie były żywe, a tu stały nade mną i warczały. Mogłem się odwrócić na drugi bok – to tylko sen, trzeci sen, może nawet do trzeciej potęgi. Obracałem się już nonszalancko, gdy się to-to całkiem namacalnie na mnie powaliło, a z daleka usłyszałem po francusku.

– Niech pan leży spokojnie, to może pan przeżyje.

Rada wydała mi się niegłupia, więc jej posłuchałem. Wtedy przerażone serce powiedziało mi, że bajki się skończyły.

– Owszem, rozmawiałem z trzema świętymi bykami, ale skąd te psy?

– Ach, cierpi pan na teofanię... – Raczej na teofobię, pomyślałem zgryźliwie. – Zapewne pan pierwszy raz w Egipcie. – Siwobrody, który nadjechał od alei Fig Faraonów, uśmiechnął się wyrozumiale. Zeskoczył z dorodnego konia czystej arabskiej krwi, nakazując trzem pupilom, by przestały mnie pilnować. – Aleksander, Cezar, Neron! – jakby przedstawił gromadkę. – Siad!

Wreszcie, gdy się podniosłem i wciąż jeszcze patrzyłem nieprzytomnie, zbliżył się do mnie na odległość wyciągniętej ręki, dotknął delikatnie moich powiek, spojrział w oczy.

– Tak, udar słoneczny – powiedział. – Zabieram pana. Palace de Bourbonne niedaleko, pójdziemy pieszo. – Klepnął wytresowaną klacz – A la maison – zamruczał jej do ucha. – Va!

Gdy odbiegała, włożył mi na głowę swój dziwaczny biały kapelusz z olbrzymim kwadratowym rondem. Wtedy wyciągnął rękę, wyprostował się elegancko i z godnością się przedstawił:

– Jacques Ferguson, zwany w okolicy docteur Jacques.

– O, Chryste! – wyjąkałem wreszcie imię swego Boga i poczłapałem za przybyszem, nie wiedząc nic o rzeczywistości.

– Sztuka musi mieć swoją tajemnicę. – Doktor Jacques wydawał się spokojny.

– Najważniejsze, żeby zaskoczyła ciebie. Ciebie, który tworzysz. Pamiętaj, ty jesteś najważniejszy. Najważniejszy. – Pomagał sobie wskazującym palcem. – Musisz mieć przed sobą i dla siebie tajemnicę. Czym ona jest? Może zaskoczeniem, może grą ze sobą, najbardziej wysublimowanym oszustwem? Artysta, żeby być prawdziwy, musi umieć się oszukiwać. – Tu się rozsmakował, zawiesił głos, chcąc lepiej spenetrować swój nieoczekiwany trop. – A ten, który się na tym przyłapie, może zostać najwyższym filozofem. Obawiam się, że mi się to przydarzyło. – Nadmiar analizy, pojmujesz, nadmiar samowiedzy, to okropny balast. Artysta powinien wiedzieć tylko to, co mu wiedzieć potrzeba, ale nic poza tym, nic ponad tworzenie, musi być czysty, pierwotny, nieskalany. Oczywiście jest to niemożliwe. Żyje wśród innych, i to nie najgorsze, ale wytresowany, przez nich wytresowany. – Zakreślił krąg ręką. – Żyje z urobionym gotowym językiem. Przecież wiesz, że język, że ustalone pojęcia są jego największym wrogiem. Język tworzy religię, tworzy filozofię, ideologię, propagandę, ale

nie sztukę. Każda prawdziwa sztuka ma swój osobny język, ot, co! To ona tworzy język. Sztuka!

Tembr głosu doktora Jacquesa zmienił się. Pojawiły się w jego mowie nieeuropejskie przydechy. Poznałem, że już wkroczył w swój dręczący motyw.

– Dla literatury język jest konieczną techniką, ale czym jest literatura własnej techniki? Nie mów mi o niej, poezja lingwistyczna albo poezja maszyn, perforacja przekładów, możesz to wszystko obmyślić, skalkulować, nie mów mi o tym. Język tworzy tylko język. Uciekaj od niego do ptaków, które jednocześnie skręcają, do tam-tamów, do własnego agresywnego wnętrza. Nic nie wiem o intuicji, nie wiem nic o magii, iluzji, parapsychologii, nie znam uchwyconych; ujętych w reguły demonów. Mam je w sobie, sam jestem sztukmistrzem, magiem, linoskoczkiem, ale tylko dla siebie, przed sobą, a potem, jak to kogoś interesuje, proszę bardzo, ale to już rzecz wtórna. Naprawdę twórcą jestem tylko dla siebie i przed samym sobą. Nie myśl, że to czarowanie albo że jestem wyznawcą artystycznego solipsyzmu. – Przypomniawszy sobie o mnie. Chciał, żebym mu wierzył.

– To jest konieczność – mówił dalej – której ufam, choć trudno temu ufać z perspektywy cywilizacji. Trudno w to uwierzyć, że te dzikie plemiona (słowo „dzikie” nie oddaje istoty rzeczy) potrafią porozumieć się w nieprzeżytym buszu na setki kilometrów bez żadnej obiektywnej sygnalizacji, nawet bez tam-tamów. Nie mają helikopterów i drutu telefonicznego, wyprawa Europejczyków dotarła do nich po raz pierwszy, powiadam, setki kilometrów w dżungli, przez którą nigdy przedtem ani oni, ani myśmy nie przeszli. – Opowiadał historyjkę, którą już skądś znałem. Może jest wiele takich historyjek. – Możesz nie wierzyć... Czekali na nas, specjalnie na tę okazję przebrani, z darami, czekali! Kto ich uprzedził? Możesz nie wierzyć.

Spocił się, przebił sobie z podniecenia rękę cyrklem i poszedł przeżywać swój celowy, odradzający ból, w pełni samotności, do lustrzanej sali.

– Każdy człowiek ma prawo do stworzenia sobie religii! – krzyczał ze swego pokoju. Po chwili trzasnęły drzwi i dostrzegłem w hallu sylwetkę spokojnej Nawi, która szła w ślad za ojcem z balsamem łagodzącym i dezynfekującym tamponem.

Przy kolacji, gdy wykorzystując chwilę nieobecności doktora Jacquesa wyraziłem zdziwienie, że w tak opanowany sposób przyjęła agresję ojca przeciwko sobie samemu, zwierzyła się bez zakłopotania. – Teraz jest lepiej. Dopuszcza mnie do siebie i pozwala mi się nim zajmować. Ojciec chce być

dziki. To bardzo inteligentny Francuz. – Widać było, że Nawi nawet nie usiłuje zbliżyć się do europejskości ojca.

– Ojciec – mówiła czystą francuszczyzną, może nieco archaizowaną – wierzy w kulturotwórczy czynnik agresji. Starał mi się to wytłumaczyć, zresztą o wiele wcześniej, niż przyszła moda na tę koncepcję. Oczywiście zdaje on sobie sprawę, że odruchy jego są prymitywne, a nawet dziecinne, ale właśnie dlatego sobie na nie pozwala.

– Tak, wiem, już mi wyjaśniał autentyczność nieskażonego artysty – wtrąciłem.

– To obsesyjne – ustaliła Nawi. – Przypuszczam, że dominuje w tym chęć dowiedzenia czegoś sobie, zapewne własnej konsekwencji. Ojciec zawsze swoje poglądy wcielał w życie. Oczywiście, nie zawsze były one aż tak wyidealizowane.

– Czy nie sądzi pani, że to niebezpieczne? – Nie zdążyła mi odpowiedzieć, bo właśnie wszedł z niezwykle zabytkową fajką, podobno po słynnym Muhamedzie Alim, (wicekrólu Egiptu z XVIII wieku), którą musiał wypalić, inaczej niż inni, przed kolacją. Odpowiedź zawierała się jednak w jej nieco pobłażliwym uśmiechu, powiedziałbym – uśmiechu matki, która przywykła do wybryków niesforne go syna.

Fatalnie zakopcił cały pokój dymną goryczką, odurzył mnie tym paskudztwem tak, że ograniczyłem się do kilku łyżek jakiejś arabskiej siorby i pikantnej przystawki zwanej tabbuli, dość smacznej siekanki wszelkiej zieloności pomieszanej z kaszką i przyprawionej czosnkiem, cytryną i wszędobylską oliwką. Zagryzłem to od niechcenia tartymi orzeszkami ziemnymi, czyli hommos, baraniny natomiast sownie oblanej sosem nawet nie ruszyłem. Na widok butelki z napisem „Black Label Johnnie Walker Scotch Whisky” wzdygnąłem się niedostrzegalnie.

Doktor Jacques popijał z niej chętnie, ja delektowałem się przepysznym sokiem z lodem. Siwobrody wstał raptem z fotela i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, powędrował do swojej pracowni, do której wstęp był wszystkim zakazany.

– Widzę, że pojawienie się pana pobudziło ojca – ze smutkiem oznajmiła Nawi.

– Nie bardzo to panią cieszy – zauważyłem, siłąc się na bezpośredniość i odrobinę towarzyskiej przekory.

– O, źle mnie pan rozumiał. To jest dobry znak, ojciec jest znów w formie, no, ale sam pan już chyba się domyśla, co to dla mnie znaczy. Zresztą, skąd pan może wiedzieć?

Spojrzałem pytająco, ale, jakby się przyłapała na jakiejś niedyskrecji, ominęła nazbyt osobisty temat i rzucając spod grubych czarnych brwi spojrzenie anioła, który dawno stał się diabłem, dorzuciła niewinnie:

– Marihuana, gdyby miał pan ochotę, jest w tej szufladzie na lewo.

Tego wieczora nie zobaczyłem już doktora Jacquesa. Nawi opowiadała mi o nim jeszcze długo w nocy. Powierzchniowo sprawiała wrażenie postaci tak odmiennej od doktora, że aż mnie korciło, aby spytać, czy jest jego rzeczywistą córką. Ze względu jednak na jej arabskie rysy i nadzwyczaj gładką, nieco przyciemnioną skórę z lekko siwo-błękitnym odcieniem, nie mogłem się na to pytanie zdecydować, uznając je za niezbyt delikatne.

– Niech pan nie wierzy pozorom. Niech pana nie zwiedzie nieoczekiwaność i gwałtowność jego odruchów w chwilach, gdy go nawiedza gorączka. Może to sprawiać wrażenie ostrości lub nawet despotyzmu. On jest bardzo ludzki.

– Ależ oczywiście – wtrąciłem pospiesznie. – Doktor Jacques jest jednym z najbardziej eleganckich i nienagannie trzymających się na koniu ludzi. To wyjątkowo kulturalny pan.

– Zapewne – powiedziała z uśmiechem.

Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z nim, a zwłaszcza z jego staroegipskimi psami. Zastanowiło mnie, jak dalece człowiek ten potrafi zmieniać swój charakter, a nawet swój zewnętrzny rysunek. Nie mieścił się zapewne w żadnym z wyróżnionych przez Hipokratesa typów temperamentu. Angielski spokój mojego Francuza, nazbyt świadome wtapianie się w tło pustyni, wyciągnięta ręka z kwadratowym kapeluszem wielkości wiatraka, którym godził w niebo, i ten spokojny ton, dbałość o frazę i harmonię, nieskazitelna biel jego lekkiego garnituru – to wszystko niby w każdym szczególe przemyślany gest człowieka Europy, który przyjechał się sfotografować na egipskiej ziemi. A czasem między jednym a drugim krokiem, nie wiadomo, gdzie była ta granica, istny chamsin, sokowirówka, eblis.

– To bardzo dobry człowiek – szeptała pochylona nieco ku mnie Nawi, a mnie od tego jej szeptu i pochylenia robiło się coraz cieplej w męskiej części osobowości i treści wypowiedziane przez dziewczynę stawały się coraz mniej istotne wobec materii, która te treści niosła. – On nie potrafiłby mnie skrzywdzić, ani nikogo, chyba że nieświadomie. Agresywny umie być tylko w stosunku do siebie. Zapewne wyczuwa pan jego przekorę. Najgorzej, jeśli uświadomi sobie coś, co jest niezgodne z jego programem. Dla

żelaznej dyscypliny i konsekwencji w myśleniu gotów poświęcać rzeczy, na których mu bardzo zależy, gotów się dręczyć lub tak długo przestać elementy swojego systemu, aż cały system niepostrzeżenie zmienia się w nowy.

A każdy nowy program, gdy już przesili się w nim nowość, staje się w tym domu małym kataklizmem. Obawiam się, że ojciec znów coś takiego przygotowuje. – Przechyliła się ku mnie jeszcze bardziej i w tej chwili zrozumiałem, że ta Egipcjanka nie nosi stanika. Jej stylizowany strój przypominał mi ubiór Sary z Ramzesowego dworu. Nagle to spostrzeżenie pojawiło się w mej głowie równocześnie z pewnym psychologicznym odkryciem. Czym naprawdę żyje Nawi? Jej wszystkie myśli obracają się wokół osoby ojca. Dlaczego tyle mi o nim opowiada? Czy ta drobiazgowa wiwisekcja jest nic nieznaczącym towarzyskim gestem wobec mnie – przygodnego gościa? A może koniecznością wypowiadania siebie, rozmowy ze sobą? Może rozmawiała ze mną o ojcu tak, jak by rozmawiała, gdyby mnie tu nie było, z jego wiernym Cezarem lub Aleksandrem? Neron nie wchodził w rachubę. Był zbyt histeryczny, mógłby się za bardzo przejąć, roznamietnić, a potem popaść w jeszcze większą apatię i rozmamlanie. Był to pies bardzo wrażliwy i chyba z całej trójki najmniej obliczalny. Może dlatego, jeśli dobrze zauważyłem, Doktor darzył go największą czułością i sympatią.

A jednak jest coś w magii języka, ukrywa się czasem w podskórnym prądzie słów. Dlaczego właśnie pies, któremu jeszcze w szczenięcym wieku dano imię Neron, okazał się wśród męźnych towarzyszy dotknięty skazą swego historycznego imiennika. Stękał żałośnie, choć go na pewno nic nie bolało, szukał samotności, boczył się, najwięcej mu się śniło, trząsał się bez przerwy. Pozostałe psy sypiały spokojnie, a kiedy go głaskano – płakał. Lubił też, kiedy się go biło. Na temat jego suk nic nie mogę powiedzieć, ale obawiam się, że nie stanąłby na wysokości zadania, choćby zwołał ich cały harem. Kiedy okazywał zbyt ni niepokój, pan bez żenady, niby skrobiać marchew, dawał mu folę.

– Ojciec jest bardzo ludzki – powtórzyła jak refren Nawi. – Rozdaje pieniądze w dzielnicy ubogich. Znajomego golibrodę wyciągnął z więzienia. Wsadzili biedaka za kłę na brzytwach. Ale to wcale nie musi być prawda. Oszczercze języki. A jak Alemu, co pomagał w naszym ogrodzie pielęgnować oliwki i pomarańcze, uciekła jedyna żona na dziwkę do Kuwejt, to mu ojciec kupił dwie całkiem nowe. Mówią na niego Doktor, już nawet nie wiadomo, czy dla jego fakultetów, czy dla ludzkiego serca. Medycyny

przecież nie kończył, ale jak trzeba było, niejednego wyleczył. Sama nie wiem, w jaki sposób.

– Tak, doktor Jacques od chwili naszego spotkania wydał mi się człowiekiem niezwykłym, i to nie ze względu na swój oryginalny kapelusz.

Grzegorz Walczak



Przejście dla snów o potęgde.
Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Zdeněk Kalista

Tor prosty i równy

Tor prosty i równy
przeciął szum traw
niemą nieskończonością.
Ostatni pociąg
zniknął w nicości bez dna.
Zmartwienia i rozmowy
również spojrzenia i twarze
bez skrzydeł odfrunęły
a tylko stężałość ciszy bez poruszenia
stała na torach.
Nie wiesz nic,
dokąd dojechali ci, którzy zniknęli,
gdzie zgasło ich ostatnie słowo.
Śmierć, której nie widziałeś jak przyszła
stała nagle
bez granic próżni.

Zdeněk Kalista (1900–1982) czeski historyk sztuki, poeta, krytyk literacki, tłumacz literatury francuskiej, wydawca, wykładowca akademicki. W latach 1951–1960 więzień polityczny, skazany na 15 lat pozbawienia wolności, zrehabilitowany w 1966 roku. Opublikował wiele książek z dziedziny historii i historii sztuki, a także zbiory poezji. Jako naukowiec znany jest zwłaszcza ze swoich książek i publikacji na temat baroku.

Lenka Galdová

Samotnie wzdłuż torów

w przejrzałej nocy
kołysała mnie mgła
z niebieskiego pola
czołgam się teraz
z rozdartą pamięcią
wcale nie pijana nieruchomym powietrzem
znów mnie to szarpie
i dudni
zanim ścisnę siebie fioletowymi mackami
przynajmniej macham macham...

Szalona noc w betonowym labiryncie

Wargi wibrują w pustce
atomowa generacja szepcze
w eter ciemności swe życie
tu i tam zapłonie zapalka
Osiedlowa biała dama
o wyglądzie histeryczki
otwiera okno
robaczek ciszy wżera się
aż w miesiąc sercowy
Pociąg znów z wolna podjeżdża
a przeciąg świtania
podwija spódnice nocy.

Lenka Galdová (ur. 1974, zmarła tragicznie 1995), poetka czeska. Studiowała historię i język czeski w Brnie. Wiersze drukowała w czasopismach, dopiero pośmiertnie ukazał się niewielki zbiór jej poezji.

Tłumaczyła i notami opatrzyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Krystyny Rodowskiej

Roberto Sosa

Indianie

Indianie
schodzą z wysokości
przez niekończące się labirynty
z tobołkiem pustki na plecach.

Niegdyś
wojownikami i panami
byli nad wszystkimi rzeczami.

Wznosili świątynie dla ognia
i dla ulewy o czarnych pięściach
co ujarzmia owoce ziemi.

W teatrach swych miast kolorowych
stroili się w szaty
diademy
i złote maski zdobyczne
na wojnach z potężnymi wrogami.

Liczyli czas
w dokładnych liczbach.
Poili złotem płynnym
swych konkwistadorów
i patrzyli na niebo
jak na kwiat niewielki.

Za naszych czasów
orzą i sieją
jakby cofnęły się do zamierzchłych epok.
Ich kobiety polne kamienie
wypalają glinę, lub przędą,

podczas gdy wiatr
rozwiewa im szorstkie grzywy bogiń.

Widziałem ich bez butów, półnagich,
w gromadach,
pod osłoną głosów napiętych jak bicz,
lub pijanych, chwiejących się nad kałużami,
w drodze powrotnej do szalasów,
skleconych gdzieś na skraju zapomnienia.

Byłem wśród nich tam, gdzie się schronili
daleko w górach, pod opiekę bogów,
tam, gdzie ruchy ich zwinne są jak u jeleni,
lecz oni są spokojni i patrzą głęboko,
jak to więźniowie.

Ich twarze
biły mnie po oczach aż skryła je ciemność,
a wtedy odkryłem,
że w mojej władzy nie ma pewności ni siły.

U ich stóp
sponiewieranych na wszystkich wybojach
zostawiam krew swoją

zapisaną w ciemnej gałęzi

Równość

Wiele razy chodziłem na cmentarze.
Dotykałem aniołów
czuwających nad zmarłymi poetami.

Czytałem inskrypcje
wyryte niepotrzebnie na złotych tabliczkach.

Wpatrywałem się długo
w zawiłe kaplice chińskich rodzin.

Zatrzymywałem się przy bezimiennych grobach
pokrytych robactwem i trawą,
które każą pamiętać o rzeczach najprostszych.

Zapewne – mówiłem sobie –
nagrobki bogaczy
pozbawione są wdzięku łodygi lub kwiatu.

Cmentarze otwierają się jak ocean
i przyjmują nas.

Zaprawdę, żywi
nie są w stanie zniszczyć
doskonałej równości umarłych.

Przybytek Sprawiedliwości

Wszedłem
do Przybytku Sprawiedliwości
w moim kraju
i stwierdziłem
że jest to świątynia
zaklinaczy węży

W środku
jest się jakby
w poczekalni
kogoś
kto nie istnieje

Surowi adwokaci
Szlifują światło dnia i metaliczne błyski
jego ukąszeń

Ponurzy sędziowie
rozprawiają o czystości
słowami
które nabrały poloru
białej broni. Miarą strachu
stłoczonych ofiar jest celność jedynego ciosu
A wszystko to pochłania miłe ciepło
jakie wydziela pieniąż

Roberto Sosa, Honduras (1930–2011). Jeden z najwybitniejszych poetów Ameryki Środkowej. Autor wielu zbiorów wierszy, m.in. *Caligramas* (Kaligramy, 1959), *Muros* (Mury, 1966), *Mar Interior* (Morze wewnętrzne, 1967), *Los Pobres* (Biedni, 1969), *El Llanto de las cosas* (Płacz rzeczy, 1984), *Digo mujer* (Mówię: kobieta, 2003). Skomponowana przez poetę *Antologia personal* do roku 2005 miała cztery wydania. Wiersze jego występują we wszystkich ważniejszych antologiach poezji latynoamerykańskiej i zostały przetłumaczone na języki: angielski, francuski, niemiecki, rosyjski, włoski, chiński i japoński. Teraz także polski. Laureat prestiżowych nagród międzynarodowych, w 1990 r. został uhonorowany przez Ministerstwo Kultury Francji orderem Kawalera Literatury i Sztuki. Oryginalna i nowoczesna liryka Sosy jest głęboko zakorzeniona w doświadczeniach trudnej codzienności jego kraju – Hondurasu, a także w pokładach wrażliwości społecznej i moralnej poety na niesprawiedliwość, cierpienia ludzi i zwierząt. Sosa objawił się również niedawno, w tomie *Digo mujer*, jako piewca tajemnic miłości i kobiecości, także w jej wymiarze symbolicznym, jako *anima* języka poetyckiego (według Gastona Bachelarda).

Przełożyła i notą opatrzyła Krystyna Rodowska

Przekłady Kazimierza Świągockiego

Z rumuńskiej poezji ludowej¹

Dojna, dojna, śpiewka słodka

Dojno, dojno, śpiewko słodka,
Stawam w miejscu, gdy cię spotkam.
Gdy cię słyszę, iść nie mogę,
Dojno, dojno, wierszu z ognia.

Gdy wiosenny wiatr się budzi,
Śpiewam dojnę na odludziu.
W polu śpiewam ją z kwiatami,
I pospołu z słowikami.

Kiedy przyjdzie śnieżna zima,
Śpiewam dojnę pod kominem,
Słodzę nią zamknięty w chacie
szare dni i długie noce.

Kiedy w lesie liść ożywa,
Radość z dojną na mnie spływa,
A gdy liść opada z drzewa,
Smutną piosnkę wtedy śpiewam.

Dojnę mówię, dojnę wzdycham,
Dojnę śpiewam, dojnę szepczę,
i na wieki z dojną żyć chcę.

¹ Przekładów dokonano przy współpracy filologicznej dr. Stanisława Gogolewskiego (1969).

Turkaweczko moja siwa

Turkaweczko moja siwa,
Mów miłemu, niech przybywa,
Bo winnicę w gronach żrałych
Czarny kos zabierze całą;
Sfrunie po nim stado kawek,
Ani grona nie zostawi;
A gdy zlecą wszystkie ptaki,
Zjedzą grona, wyrwą krzaki.

Twój śmiech ziemię rozwesela

Twój śmiech ziemię rozwesela,
A płacz smutku jej udziela;
O tym, miła, żeś kochana,
Nawet słońce wie od rana,
Bo gdy tylko spogląda na ciebie,
Staje w miejscu, nie idzie po niebie;
Nie zachodzi to słońce, to święte,
Lecz dla ciebie umiera i więdnie;
A cóż ja chłopczyzna biedny,
Jak nie umrzeć mi, nie zwiędnąć
Z miłości do ciebie?

Hej, miłości, ty moja miłości,
Śliczną łąkę wysuszasz z mokrości;
Ty ją suszysz, zielenią obdzielasz,
Siejesz kwiaty i świat rozweselasz.

Sny mi tej nocy mówiły

Sny mi tej nocy mówiły,
Że pocałował mnie miły,
Budzę się, noc przepatruję,
W ciemności nic nie znajduję;

Tylko tęsknotę tę samą
Rzęs szydełkiem w poszewkę wpisaną,
Rosą oczu moich haftowaną.

Którędy ulatuje moja tęsknota

Ptak mej tęsknoty nie przegoni,
Ani mnie przed nią nie obroni.
Prędsza od wiatru i błyskawic
Także myśl lotną bierze za nic.

Ni razu mrugnąć nie podłaz,
Gdy świat obleci dookoła;
A zanim mrugniesz po raz wtóry,
Wysoko wzniesie się nad chmury.

Ej, chłopcze, słodki kwiecie

Ej, chłopcze, słodki kwiecie,
Gdzie szukać, ach, gdzie cię?
Gdybym ja gdzieś w opłotkach
Znalazła cię kwiatkiem,
Wyrwałabym cię z rosą,
Do nas w dom przyniosła;
W ogrodzie zasadziła,
I ostrożnie zżęła;
Stogiem w progu wymłóciła;
W młyneczku bym zmełła;
I przez brwi przesiała,
I w pierścionki wymiesiła,
Sercu swemu bym cię dała,
Żałość w sercu ukoiła.

Nasze kochania

Nasze kochania na stoku
W pustce zostały i mroku.
Byłem tam z wieczorną rosą,
Już fiołki na nich rosną.
Gdy ujrzysz fiołki głębokie,
zapłaczesz, miła, nad stokiem.

Przełożył Kazimierz Świegocki



Aster w deszczu. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Krystyna Rodowska

„Córka rabina”

„Czy znałaś Leopolda Buczkowskiego?” – No tak, znałam...

I co z tego? Mgły, obrazy jakieś zatarte, rozmowy nieprzytwierdzone do dat, ledwie kojarzące się z miejscem, z porą roku. A wszystko upchnięte w ciemny kąt wewnętrznej piwnicy, do której nie ma się ochoty zaglądać. Psychoanalityk w tym miejscu wygłosiłby przemądrzały komentarz o „treściach wypartych do podświadomości”. Więc znałam Buczkowskiego, czy nie znałam? Są jakieś ślady, zapiski? Zdjęć wtedy jeszcze nie robiłam. Czarna dziura. Ledwie coś przebłyskuje.

Czarny potok, w nim moja niejasna nadzieja. Sięgam ręką po książkę na półce, w wiadomym miejscu, ale od lat nie otwieraną. Jest: dedykacja, napisana jego ręką. Odczytuję ją teraz, z jakimś bolesnym zdumieniem, które powoli przeradza się w uczucie wstydu. „Pani Krystynie Rodowskiej, poecie i memu przyjacielowi”, pod spodem mało czytelny podpis, u dołu data: 7.11.1981 r., podkreślona, pod nią jeszcze: „Konstancin”. Duże, pochylone lekko w prawo pismo o chimerycznych, ostrych w rysunku literach. Ta dedykacja jest kopalnią informacji! Opuszczoną, nieużywaną, zmarowaną.

A teraz wynoszę stamtąd na powierzchnię znaleziska. Wymagają oczyszczenia, obróbki. Bo pierwotnego blasku im przywrócić nie potrafię. Nie przyłapię już tamtego czasu i emocji na ich gorących uczynkach. Napisał „Pani”. To świadczy o tym, że do końca w naszej osobliwie rozpoczętej znajomości był dystans, wypływający zapewne z mojego szacunku i podziwu dla jego twórczej osobowości, z różnicy wieku wreszcie, a on tego dystansu nie naruszył. Zrewanżował mi się tą osobliwą maskulinizacją: „poecie i przyjacielowi”. Daleko było jeszcze do czasów wojującego i zwycięskiego feminizmu, przynajmniej w tym kraju. Żadna tam „poetka” i „przyjaciółka”, to byłoby według niego deprecjonujące. Najwidoczniej chciał zademonstrować, że traktuje serio i moje pisanie, i relację między nami, dlatego musiał je ubrać w męskie spodnie. Ciekawe, jak by teraz skomentował fakt, że na przykład współczesne pisarki z Quebecu, a także z innych krajów frankofońskich, poczytują sobie za punkt honoru przedstawiać się jako „écrivaines”, a nie „écrivains”. Tak przejawia się duma z żeńskiej

podmiotowości. Co on, niespokojny duch myślenia o rzeczywistości, nie-
spożyty w pomysłach reformator sposobów jej opisywania, powiedziałby
na to? Ale to był rok 1981. Ściślej: 7 listopada. Miejsce akcji: Konstancin,
czyli najprawdopodobniej u niego w domu. Czy tylko raz go odwiedziłam?
Tego też nie pamiętam. Jest rzeczą pewną, że w listopadzie 1981 przebywa-
łam w Oborach, dokąd dość często przyjeżdżałam, zawsze z jakąś konkret-
ną pracą. Tej późnej jesieni także była to oaza spokoju, ostatnie liście w par-
ku spadały z szelestem, księżyc urządzał spektakle z chmurami. Ale jakieś
napiecie wisiało w powietrzu. Spotkany tam – po raz ostatni – Mieczysław
Jastrun szepnął mi, pod wrażeniem jednego z oglądanych wówczas wspól-
nie dzienników telewizyjnych i emanującej z nich jeszcze utajonej grozy:
„Niech Pani stąd wyjeżdża, nie ma na co czekać!”. „Stąd”, czyli z Polski.

Buczkowski, po sąsiedzku, sprawił mi w tym czasie niespodziankę:
któregoś popołudnia zastukał w moje okno, to pamiętam (wynika z tego,
że mieszkalam wówczas na parterze oficyny przy „pałacu”). Czy zaprosi-
łam go wtedy do środka? Czy wybraliśmy się na spacer? Nie pamiętam.
Wspominam z niepamiętania. Chyba wtedy właśnie zaprosił mnie do sie-
bie. W kilka dni później dom odnalazłam samodzielnie. Nietrudno go było
rozpoznać: w ogrodzie stały duże i mniejsze drewniane rzeźby, ekspresyjne
świętki – nieświętki, o których słyszałam, czytałam, widać je było z daleka.
Na ścianach wisiały malowane jego ręką obrazy, chwilowo milczała fishar-
monia. Sprawiał mu tą moją wizytą dużą przyjemność. Oprawdzał mnie
po swoim udzielnym państwie, poprosił żonę – którą we wcześniejszych
rozmowach o niej nazywał „majordomusem” – aby zrobiła mi jajecznicę
i przyniosła ciasto, (gość, znaczy: głód do nakarmienia), podejmował
z ścią kresową gościnnością, oboje opowiadali o synu – artyście w Jugosła-
wii (jeszcze Jugosławii!) i córce, chyba pianistce, też gdzieś za granicami.

Co ponadto wynika z daty dedykacji na *Czarnym potoku*? Ano to,
że znał moje wiersze, musiał je czytać uważnie, pasował ich autorkę na „po-
etę”. Podarowałam mu późną wiosną lub w lecie wybór wierszy z dwunastu
lat, który właśnie ukazał się w wydawnictwie „Czytelnik”, a którego on
był jednym z pierwszych czytelników. Musiałam to zrobić niewiele później
od chwili, kiedy poznałam Go osobiście.

Ten moment akurat wrył mi się w pamięć. To była scena z niemego –
przez dłuższy czas – filmu. Siedziałam w ówczesnej kawiarni Związku Lite-
ratów, której aurę, już należącą do historii, opisał niedawno Marek Nowa-
kowski. Na pewno ktoś mi towarzyszył, ale to okoliczność bez znaczenia.
Naraz pojawił się przede mną Buczkowski – którego znałam do tej pory

z widzenia, także trochę z czytania – bez słowa chwycił mnie za rękę i wyprowadził, oniemiałą z kolei ze zdumienia, na ulicę. W dalszym ciągu nie mówiąc, pociągnął mnie za sobą, na Rynek Starego Miasta, gdzie usiedliśmy wreszcie przy jakimś stoliku i zamówił dla mnie lody (co wskazywałoby na porę już letnią), a dla siebie coś do picia. Dopiero teraz przeprosił mnie za *raptus puellae* w biały dzień, wyjaśnienie zaś tego czynu zabrzmiało kuriozalnie, lecz całkiem w stylu jego powieściowego świata: przypomniałam mu ponoć do złudzenia córkę lwowskiego rabina, która uratowała mu życie podczas jakiegoś epizodu wojennej zawieruchy, po czym on się w niej, oczywiście, zakochał. A o kochliwość można było go podejrzewać. Z fantastycznej opowieści Buczkowskiego nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Pamiętam tylko, że opowiadał porywająco. Hipnotyzował. Mogłam go słuchać – i słuchałam – godzinami, zapominając o czasie i miejscu, w którym się znajdowaliśmy. To były opowieści, anegdoty o ludziach z małych, wołyńsko-podolskich miasteczek, o rzemieślnikach, handlarzach i koniokradach, o Żydach i Ukraińcach czy Rusinach, jak ich dawniej nazywano, o rozmaitych egzotycznych dla mnie typach i typkach, o sytuacjach, które mogły się zdarzyć tylko tam i wtedy, za czasów jego młodości, choć tak naprawdę wciąż był młody, mimo siwej głowy i wieku. Mógł tak opowiadać w nieskończoność, wskrzeszając tamte nieprawdopodobne już dzisiaj światy jak zwyczajny cudotwórca. Pisanie mu nie wystarczało. Może dlatego właśnie wykraczało poza uznawane, literackie konwencje. Chciał opowiadać, był żądny improwizacji i rozmowy. Bo słuchać także potrafił, był ciekaw rozmówcy, a tym bardziej może rozmówczyni. W którymś z licznych wywiadów przeczytałam, – ale to było już dużo później – że on „nie przestaje nigdy studiować”. „Pana także studiuję” – zażył kiedyś dziennikarza. Więc i mnie także, zapewne. Wypracowana strategia obrony przed ryzykiem zawierzenia innemu? Jego biografia dowodziła, że miał do tego powody.

Widywaliśmy się tamtego lata i jesieni chyba dość często: w stołówce i w kawiarni tamtego, prawdziwego ZLP, potem mnie odprowadzał, dłużej lub krócej, do autobusu. Ja także opowiadałam mu o moim kresowym wczesnym dzieciństwie i może trochę o gnębiących mnie wówczas problemach z odzyskiwaniem wolności, to znaczy – z wydostawaniem się za cenę psychicznych sińców z pułapki niefortunnego małżeństwa. Pamiętam tylko, że mnie wspierał, dodawał odwagi. Wierzył we mnie i w moje pisanie. Po rozmowach z nim wracałam do domu spokojniejsza i wzmocniona na duchu, bardziej odporna na domowy terror muru, który usiłowałam

pokonać własną głową. Powinnam była używać jej (tzn. głowy) do innych celów: choćby do zapisywania na żywo owych niepowtarzalnych dialogów warszawsko-oborsko-konstancińskich. Dlaczego nie zrobiłam tego później?

W miesiąc po „dniu dedykacji” i moich odwiedzin w „domu pod rzeźbami” nastąpił dzień 13 grudnia, którego zapomnieć żadną miarą się nie da: oniemiały i ogłuchły telefony, przemówiły za to czarne okulary na tle przetrąconego orła, ożył spenetrowany piórem Buczkowskiego świat szpicłów, katów i donosicieli, pistoletów, gotowych do akcji, zasilonych teraz przez militarne akcesoria bardziej na czasie. Chwilowo zamarły kontakty z dalszymi bliskimi, a godzina milicyjna zapewniła niezaplanowany wzrost populacji. Nie działała stołówka Związku Literatów, a z czasem i z samym Związkiem zaczęły się dziać rzeczy dziwne, dziś dobrze wiadome i opisane. Na temat Buczkowskiego dochodziły wieści boleśnie zaskakujące. Po pierwsze: znalazł się w PRON-ie, tym fasadowym tworze, powołanym przez generała Jaruzelskiego, działającym pod wodzą wypróbowanego kunktatora – Jana Dobraczyńskiego¹. Czego tam szukał Leopold Buczkowski? Czy nie zdawał sobie sprawy, co firmuje własnym, świetnym artystycznie nazwiskiem? Potem przyszedł kolejny cios: Buczkowski zapisał się do „neo-Zlepu” – jak się wtedy mówiło o nowym ZLP, uzurpatorze miana i mienia, powołanym przez władze w 1983 r. w miejsce dawnego związku. W czasie, gdy spontanicznie ukonstytuowały się wartości czarno-białe, z wykluczeniem jakichkolwiek niuansów i taki stan rzeczy zaniósł się na długo, znaleźliśmy się, niestety, po przeciwnych stronach. Nie rozumiałam, dlaczego tak postąpił. Nie chciałam rozumieć. Skazałam go bez wahania na banicję z mojego świata. Bezwzględnie, małodusznie i krótkowzrocznie. Nie dałam mu szansy przedstawienia swoich racji, nawet gdybym miała potem uznać, że ich nie podzielam. Czyżbym obawiała się, że mnie znowu zaczaruje? Mnie, w której zobaczył kiedyś „córkę rabina”?

Stan wojenny stał się brutalną cezurą w naszych kontaktach. Nawet wtedy, kiedy już można było w miarę swobodnie się poruszać, nie wykonałam gestu w jego stronę, nie pojechałam go odwiedzić, nie napisałam karteczki. Mój prywatny, domowy „stan wojenny”, a potem poważna choroba syna, szpital, absorbowały całkowicie moją energię. A przecież nadstawiałam

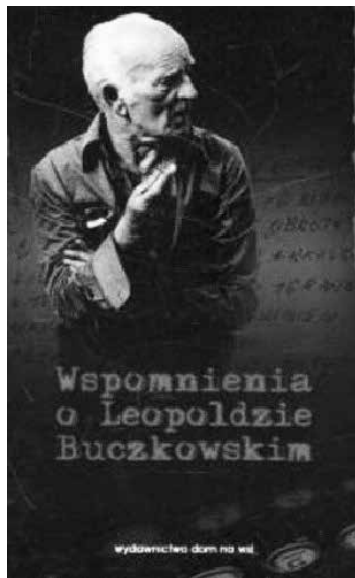
1 PRON – Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, organizacja polityczna stworzona w Polsce w 1982 r. przez partię komunistyczną i podporządkowane jej organizacje społeczne w celu wsparcia stanu wojennego i dyktatury komunistycznej. Istniał do 1989 r. (Przyp. red.).

ucha na wiadomości o nim. Usłyszałam kiedyś, że fakt zapisania się do nowego ZLP zapewnił mu kartki na mięso i pieniądze na opał dla domu. Czy uzmysłowiłam sobie wtedy, w jakich warunkach przyszło mu żyć, jemu – wolnemu duchowi? Książek mu nie wznawiano: nie pasowały do żadnego obiegu, nie był to także czas na formalne rafinady, przynajmniej w pierwszej połowie lat 80. Co dał mu PRON? Co chciał powiedzieć decyzją swojego na tym forum udziału? Czy on, arcyświadomy tragizmu historii, szukał ratunku dla siebie i innych na iluzorycznej drodze mediacji ze Złem? Czy miał to być jeszcze jeden „eksperyment w kontaktach z ludźmi”? W rozmowie z Urszulą Bielous („Życie Literackie” nr 46, 1983, str. 8) powiada: „Często nawet umyślnie zaplątuję się w jakąś asocjację i po prostu tę asocjację, tę grupę studiuję. Jest to moja pasja i wściekłość”.

Jakkolwiek było, odczytuję dedykację z dnia 11 listopada 1981 roku, dla „poety i mego przyjaciela” ze wstydem i z żalem, który każe mi wspominać Leopolda Buczkowskiego z niepamiętania...

Krystyna Rodowska

Pierwodruk miał miejsce w książce:
Wspomnienia o Leopoldzie Buczkowskim
 pod red. Jana Tomkowskiego
 wyd. Dom na Wsi, 2005
 Stron 287
 ISBN 83-91999-26-2



Piotr Müldner-Nieckowski

Z kart historii Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Lata 1990-1992 (I)

Powrót do Domu Literatury „Potop” i „Chimera”

Po zatwierdzeniu istnienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, co stało się po zjeździe założycielskim 31 maja, i następnie po uznaniu tego faktu przez sąd 14 czerwca w 1989 roku, rozpoczęła się walka o przysługujący nam lokal w Domu Literatury na warszawskim Krakowskim Przedmieściu nr 87/89, tam gdzie są schody ruchome, tuż przy placu Zamkowym.

✱

W latach 40. i 50. XX w. pisarze od podstaw wybudowali dla swojej organizacji Dom Literatury, współpracując z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Warszawą i innymi ośrodkami ówczesnej władzy. Działo się to w początkach PRL-u na miejscu pozostawionych przez Niemców gigantycznych ruin, w samym historycznym centrum stolicy, na skraju Starego Miasta, w pobliżu równie zrównanego z ziemią Zamku Królewskiego.

Teren został całkowicie przekształcony, tak że nowy układ urbanistyczny nie odpowiadał już przedwojennemu, co miało takie znaczenie, że ewentualnych spadkobierców/właścicieli budowli stojących pod tą długością i szerokością geograficzną przed wojną, po wojnie pozbawiło prawa do przejęcia nowych domów. To ma także fundamentalne znaczenie co do wyłączności praw w zakresie gospodarowania budynkiem i ewentualnych pretensji organizacji innych niż Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Związek Literatów Polskich (ZLP) i Polski PEN Club. A jest to tak ważne dlatego, że w 1983 r. i następnie w latach 1989-1992 wydarzyły się sytuacje, które znacznej części pisarzy mogły bezprawnie tę przynależność odebrać.

Utworzono więc tunel Trasy W-Z (Wschód-Zachód) i dopiero nad nim dano ulice i nowo opracowane architektonicznie, nowoczesne budynki o stylizowanych na XIX wiek fasadach, a wśród nich ten dla literatów, Dom Literatury pod adresem: ul. Krakowskie Przedmieście numer 87/89, zawierający pomieszczenie dla górnej części schodów ruchomych, łączących

poziom Trasy W-Z z położonymi kilkanaście metrów wyżej Krakowskim Przedmieściem i placem Zamkowym. Budynek był całkowicie nową konstrukcją, przystosowaną do znanych z czasów przedwojennych funkcji organizacji pisarskiej.

W piwnicach i na parterze urządzono dwukondygnacyjny lokal klubowo-kawiarniany powiązany z kuchnią i w godzinach obiadowych służący jako stołówka dla pisarzy i artystów Warszawy. W drugiej części parteru znajduje się wspomniany wylot i recepcja schodów ruchomych.

Na pierwszym piętrze jest sala konferencyjna w stylu art déco, w której od 70 lat nieustannie odbywają się imprezy literackie, a także działa teatr. Są tam też pokoje biurowe, zajmowane przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Związek Literatów Polskich, Fundację Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej oraz filia Muzeum Literatury, która wynajmuje niektóre pokoje.

Na trzecim piętrze znajduje się lokal Polskiego PEN Clubu, posiadająca około 70 000 woluminów Biblioteka Donacji Pisarzy Polskich (od 2006 r. część Biblioteki Narodowej), wreszcie 13-lokalowy hotelik dla gości, dokąd jest albo dojście klatką schodową, albo dojazd windą.

W okresie tuż po stanie wojennym, w dniu 19 sierpnia 1983 r. władze komunistyczne dokonały likwidacji Związku Literatów Polskich, po czym powołały nowy Związek Literatów Polskich, z miejsca przez pisarzy nazywany *neo-Zlepem*.

Operacji tej dokonano, licząc na rozbicie środowiska pisarzy i osłabienie ich wpływu na losy państwa, podobnie jak uczyniono z artystami plastykami, demolując działalność Związku Polskich Artystów Plastyków (ZPAP). Nowy ZLP miał także nowy statut, który nakazywał ściśle związki z komunizmem i Związkiem Sowieckim. Zapisała się do niego stosunkowo niewielka grupa członków byłego już, starego ZLP.

Akcja ta rzeczywiście podzieliła literatów na dwie główne grupy i jedną poboczną – zwolenników komunizmu i PRL-u oraz przeciwników. Trzecią grupę, znacznie mniejszą, stanowili konformiści i oportuniści, którzy wbrew sobie, ale z obawy przed represjami i z lęku o utratę przywilejów zapisali się do nowego ZLP.

Jak dzisiaj (2021 r.) się ocenia, stworzenie wówczas nowego ZLP, podporządkowanego autorytaryzmowi, nie miało znaczącego wpływu na losy państwa. Wielu uważa, że stało się wręcz przeciwnie, ponieważ tych, którzy do nowego ZLP się nie zapisali, sytuacja wręcz zachęcała do krytykowania antydemokratycznego PRL-u, braku wolności słowa i głębokiej zależności Polski od Związku Sowieckiego.

Po wyborach parlamentarnych 4 czerwca 1989 r., nowy ZLP musiał ustąpić i oddać należną część Domu Literatury SPP i w 1983 r. na wiele lat zawieszonemu przez władze Polskiemu PEN Clubowi. Nie obyło się bez awantur, walk tajemnych i jawnych, ale ostatecznie SPP (Zarząd Główny i Oddział Warszawski) na przełomie lat 1989-1990 mogło się tu przeprowadzić z tymczasowego lokalu wypożyczonego gdzieś na Mariensztacie.

Zarząd Główny Stowarzyszenia odzyskał słynny lokal, w którym niegdyś urzędowali prezesi z Jarosławem Iwaszkiewiczem na czele, ale i pokoje, w których można było umieścić instytucje wewnętrzne SPP, takie jak zarządy – Główny i Oddziału Warszawskiego, księgowość, która wkrótce wyprowadziła się do znajdujących się na tym samym 2. piętrze biur Fundacji Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej. Fundacja ta została wspólnie w 1990 r. ufundowana przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Związek Literatów Polskich i Polski PEN Club.

Do pomieszczeń Oddziału Warszawskiego SPP (dziś zajmowanych przez oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza – Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską) z biegiem czasu wprowadziła się redakcja niezależnego od SPP dwutygodnika literackiego „Potop”, a potem założona przez SPP i Ministerstwo Kultury i Sztuki Fundacja Piśmiennictwa Polskiego wraz ze swym Wydawnictwem „Chimera”.

Zanim dojdziemy do „Chimery”, najpierw kilka słów o „Potopie”, publikowanym przez Fundację na Rzecz Wydawania Tygodnika Literackiego. Redaktorem naczelnym od nr. 4 był prof. Janusz Maciejewski (1930-2011) z SPP i zarazem Uniwersytetu Warszawskiego. Sekretariat i biuro redakcji „Potopu” powierzono nowemu członkowi SPP, wybranemu na sekretarza Oddziału Warszawskiego (OW) Jarosławowi Zielińskiemu (1936-2006), pseudonim Marek Teschke. Kolega ten miał spore doświadczenie organizacyjne wydawnicze i czasopiśmiennicze. Był autorem powieści (najbardziej znana: *Epoka błaznów*, LSW, Warszawa 1988), opowiadań, felietonów. Pomagały mu żona Barbara Zielińska, zatrudniona w OW SPP, i sekretarka Zarządu Głównego Irena Zielińska (obie, niespokrewnione ze sobą, formalnie były pracowniczkami Fundacji Domu Literatury).

Pierwszy numer pisma w formacie A3 ukazał się w marcu 1991 i było ich według moich obliczeń łącznie 17 (przy czym numer 17. był podwójny, oznakowany jako 17/18), a ostatnim w historii okazał się numer 1 z 1992 r. Skończyła się bowiem dotacja, a czasopismo na siebie nie zarobiło.

Ponieważ „Potop” nie był dwutygodnikiem SPP, nie można mu było pomóc w SPP, a Ministerstwo Kultury odmówiło finansowania. Odmawiało

wtedy wszystkim, z wyjątkiem kilku zaufanych, zasłużonych komunie. Co prawda Teschke próbował ratować „Potop”, ponieważ pismo w środowiskach kulturalnych bardzo szybko zyskało renomę dzięki znakomitym tekstom pisanim przez wybitnych autorów, ale nic nie dało nawet założenie prywatnego wydawnictwa „Latona”, bo i ono, mimo początkowych zapewnień ministerstwa, żadnego zasiłku nie otrzymało.

Tyle o „Potopie”, którego istnienie wielu słusznie wiąże z Domem Literatury, ale mylnie uważa, że stanowił agendę SPP. Tak nie było, mimo że „Chimera” i „Potop” istniały niemal równocześnie i w dużym zakresie były obsługiwane przez te same osoby.



Jarosław Zieliński
(ps. Marek Teschke, 1936-2006)

Wydawnictwo „Chimera” także nie miało długiego żywota.

Warto tu, wcale nie marginalnie, wspomnieć, że na początku lat 90. XX w. nikt jeszcze nie wiedział, że gospodarka polska zaczyna się walić jeszcze bardziej niż ta w epoce PRL-u. Myliło bowiem to, że dzięki tak zwanej reformie Mieczysława Wilczka (ustawa z dnia 23 grudnia 1988 r. o działalności gospodarczej) rynek został pozornie otwarty na inicjatywę ludności, co w niezwykłym stopniu uaktywniło polską przedsiębiorczość ludową.

Ale tylko tę. Pod wpływem bowiem reform tym razem Leszka Balcero-wicza i zmian ustroju finansowego państwa, pojawiły się jak w bajce liczne przedsiębiorstwa finansowane z funduszy wydzielonych, jak dziś wiemy, tajnie pozyskiwanych z zasobów pozostałych po PRL-u.

Działął specyficzny styl „pomocy swoim”, zapewnionej przez umowy zawarte przy Okrągłym Stole (6 lutego – 5 kwietnia 1989 r. w Warszawie). Komuniści, rezygnujący z władzy, w ramach rekompensaty uzyskali możliwość swoistego honorowania i „urządzania” rozmaitych osób zasłużonych dla komuny. Uwłaszczano je na dobrach państwowych. Ponadto dotowano nowo powstające przedsiębiorstwa prywatne dotychczasowych działaczy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, byłych milicjantów, wojskowych, urzędników pozornie wyrzuconych na bruk.

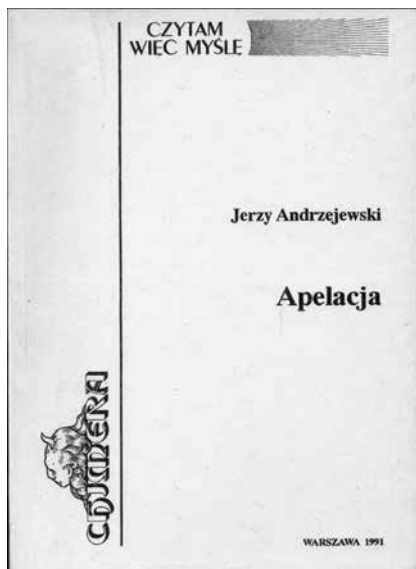
To powodowało, że dla osób, które takich środków nie otrzymały, innych pieniędzy już nie było. Dotyczyło to także do niedawna dotowanych

instytucji i organizacji kulturalnych, takich jak pisarskie, aktorskie, muzyczne czy plastyczne.

Zmiany te spowodowały, że sklepy nagle zapełniły się towarami, przeważnie kolorowego, ale podłego gatunku. Sprytni mieszkańcy miast wygrali ze swoimi mikrosklepikami, wykładanymi na łózkach polowych wzdłuż ulic, i mogło się wydawać, że gospodarka kwitnie, gdy tymczasem był to obraz krachu. Inflacja narastała w ogromnym tempie. Fundusze państwowe malały w oczach, podobnie zresztą jak zasoby ludności. Kto wiedział, o co chodzi, ten kupował złoto i nieruchomości, ale szybko i tego zabrakło.

Ministerstwo Kultury i Sztuki ratowało się w ten sposób, że wycofywało wszelkie prawem nakazane dotowanie organizacji kulturalnych, w tym muzeów, teatrów, kin, wydawnictw, sal koncertowych itd. Do minimum ograniczono organizowanie imprez kulturalnych i zaprzestano wspomagania ZLP, SPP, ZPAP, SARP, SPATiF i innych mniejszych.

Co więcej, to samo ministerstwo, sterowane przez reżyser Izabelę Cywińską, przestawiło się doktrynalnie na działalność szczątkową, jedynie absolutnie niezbędną, przestało więc pełnić funkcję mecenasa kultury, w tym także organizatora życia literackiego, ograniczając się do rozdzielania skromnych funduszy dla wybranych instytucji i osób. Całkowicie ignorowano odwieczną doktrynę, która zakłada, że kultura z założenia wymaga



wspierania, natomiast uznano za obowiązującą doktrynę quasi-liberalną, która głosi, że kto nie umie na siebie sam zarobić, ten nie może liczyć na to, że zarobi na niego państwo. Na takie stanowisko nie mogły sobie pozwolić i do dzisiaj nigdy go nie przyjęły nawet państwa o najwyższym poziomie życia ludności, takie jak USA, Niemcy, Francja, ale Polska jak widać mogła bez wahania. Nie bez powodu dziś mówi się, że były to czasy dla Polski stracone. Obraz zewnętrzny kultury jeszcze był z rozpędu dość przyzwoity, ale wewnątrz wszystko się przewracało, rujnowało i gniło.

Charakterystycznym sygnałem tego, że dzieje się tragedia, było nagłe załamanie się karier wybitnych artystów, szybkie osłabnięcie autorytetów, nie tylko ideowych, ale i naukowych, wreszcie nagłe zniknięcie pamięci o zmarłych wielkich polskiej kultury. Tego na pierwszy rzut oka nie było widać, ponieważ propaganda skutecznie to tuszowała.

Również i SPP dało się na to nabrać, bo przecież skąd miały napływać informacje o prawdziwym stanie państwa? Media tylko chwaliły nieodczuwalne dla ogółu „dobro” realizowanego przez Leszka Balcerowicza planu rekonstrukcji zasobów państwa.

Jest zrozumiałe, że wobec nagłego zaniku dotacji państwowych Zarząd Główny SPP postanowił uruchomić własną działalność gospodarczą, aby móc utrzymać przynajmniej podstawowe funkcje organizacji. Statut na to nie pozwalał, ale można było ten kłopot ominąć przez powołanie do życia fundacji o charakterze przedsiębiorstwa. I instytucja taka została założona przy udziale Ministerstwa Kultury i Sztuki. Przyjęła nazwę „Fundacja Piśmiennictwa Polskiego”, wybrała na prezesa znakomitego pisarza i znawcę literatury Piotra Wojciechowskiego, powołała wydawnictwo „Chimera” i zaczęła się rozglądać za realizatorami planu.

Zwrócono się między innymi do mnie jako członka dawnego ZLP i teraz SPP. Ponieważ jeden z członków Zarządu Głównego, Tomasz Burek, wybitny krytyk i wyróżniający się literaturoznawca, pracownik Instytutu Badań Literackich, był członkiem komisji Ministerstwa Edukacji Narodowej, która ustalała lektury szkolne, powierzono mu rolę stworzenia zespołu nowego wydawnictwa i przygotowania planu wydawniczego, który miał preferować książki „najpewniejsze”, to znaczy zawsze potrzebne młodzieży lektury zgodne z wytycznymi systemu edukacji. Mieszkał w tej samej miejscowości co ja, więc udał się do mnie z prośbą, abym pomógł Fundacji Piśmiennictwa Polskiego i tym samym „Chimerze” jako redaktor i składacz tekstów. Pierwszą osobą, która miała prowadzić biuro i zadania organizacyjne „Chimery”, był Marek Teschke.

Podjąłem się bezpłatnego redagowania tekstów, uzgadniania ich formy z oryginałami zgodnie z zasadami edytorstwa naukowego, „sprawdzania przecinków”, wykonywania składu drukarskiego oraz klisz drukowych. Pod moim kierunkiem kupiono standardowy komputer z systemem Windows, z czarno-białym monitorem, modemem do faksowania, klawiaturą i myszą, okablowaniem, zasilaczami, oraz drukarkę laserową Star LS 04 B&W, wyposażoną w dodatkową pamięć i elektroniczną kartę języka Postscript, umożliwiającą uzyskiwanie klisz z zadrukiem lustrzanym na kalkach, co znacznie oszczędzało koszty.

Komputer wyposażylem w oprogramowanie, do którego posiadałem wymagane licencje i które dodatkowo zostało przeze mnie jako informatyka amatora uzupełnione w nowe aplikacje konieczne np. w automatycznym sprawdzaniu jakości języka, tekstu (dzielenie wyrazów!) i składu. Ponieważ programy miały zgodę na wykorzystanie w produkcjach biznesowych, mogłem ich legalnie używać w zadaniach wykonywanych dla „Chimery”.

Sprzęt umieszczono w wolnym pokoju w moim domu, dzięki czemu po każdym dniu pracy zawodowej (pracowałem w szpitalu jako lekarz) mogłem wieczorami i nocami spokojnie przygotowywać wydania. Innych funkcji dla „Chimery” nie wykonywałem, chyba że doraźnie trzeba było w czymś pomóc w siedzibie SPP, w drukarniach, hurtowniach książek albo Ministerstwie Kultury i Sztuki oraz Edukacji Narodowej.

To ostatnie, dzięki kontaktom naszych kolegów i koleżanek z SPP z Ministrem Finansów Andrzejem Olechowskim, przyznało dotację na wydanie trzech, czterech książek.

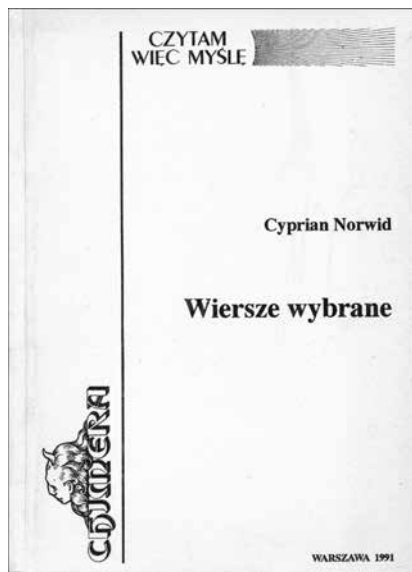
Dalsze fundusze mieliśmy zdobywać sami ze sprzedaży książek. Jak się dość szybko okazało, były to tylko pobożne życzenia. Sprzedaż wydawnictwu „Chimera” kompletnie się nie udawała.

Na prace dla „Chimery” poświęciłem wiele miesięcy. Co prawda atmosfera początkowo była bardzo sympatyczna, pogodna, przyjazna, ale zdarzały się i mocne uderzenia między oczy. Niestety dość przykre było to, że niewiele osób interesowało się naszymi zadaniami. Dobrze tu wspominać, prócz „funkcyjnych” Marka Teschke i Piotra Wojciechowskiego, osoby, z którymi miałem wspólny język, Wandę Chotomską, Camillę Mondrall, Halinę Thylwe, Andrzeja Miłosza, Grażynę Strumiłło, Ludmiłę Marjańską, Piotra Matywieckiego, Krzysztofa Karaska, Jerzego Górzańskiego, Mariana Grześczaka, Krystynę Nepomucką, Zofię Posmysz, Januszów Krasińskiego i Odrowąża-Pieniążka, Macieja Cisłę i kilka jeszcze innych życzliwych i chętnych do udzielania dobrych rad. Niestety w ZG

SPP nie chciano słuchać moich relacji; z zebrania Zarządu zostałem kiedyś wyproszony. Ktoś powiedział głośno, przez grzeczność nie wspomnę nazwiska, bo pani ta już nie żyje, że jako jego „niecłonek władz” chcę się w ten sposób „wkręcić”... Niestety takie rzeczy i twarze się pamięta... Spuściłem głowę i wziąłem się do dalszej pracy. Ale choć nie ja byłem odpowiedzialny za funkcjonowanie tej firmy, nadal uważałem za swój obowiązek o tym poinformować Zarząd SPP, bo widziałem, że Marek Teschke mógłby kierować wydawnictwem mniej autorytarnie, a dzięki temu dużo lepiej.

W „Chimerze” ostatecznie za mojej bytności ukazały się drukiem tylko trzy tomy lektur. Następne czekały na zwolnienie do druku, kiedy tylko pojawią się jakieś pieniądze. Miałem je przygotowane w komputerze, skolacjonowane (porównane z pierwszymi wydaniem i opiniami krytycznymi), zredagowane, złożone nowo opracowaną przeze mnie czcionką, bardziej czytelną niż standardowa Helvetica i typowy Times New Roman.

Inflacja szalała. Był koniec 1991 r. Wreszcie nadeszła dotacja Ministra Finansów via Ministerstwo Edukacji Narodowej. Wtedy jej wielkość odpowiadała mniej więcej kosztom druku jednej książki drukowanej w połowie roku 1991, ale już w listopadzie 1991 zmniejszyła się o współczynnik inflacji, to jest do jednej trzeciej wartości wyjściowej. W Fundacji Piśmiennictwa Polskiego za radą jakiejś księgowej postanowiono za tak gwałtownie malejące pieniądze kupić coś, co wesprze właśnie drukowaną książkę albo



będzie miało wartość jako materiał wydawniczy. Wybrano tę drugą wersję i zakupiono papier, który wystarczył do wydania książki Marii Dąbrowskiej *Ludzie stamtąd*.

Tymczasem nastąpił krach w kilku hurtowniach, w których znajdowały się dwie inne nasze książki (Cyprian Kamil Norwid, *Wiersze wybrane* i Jerzy Andrzejewski *Apelacja*). Część nakładów udało się przenieść do innych pośredników, ale sporo przepadło, zwłaszcza niemała liczba paczek znajdujących się w hurtowni „Filar” przy ul. Wolskiej.

To był silny cios od losu. Mało tego, inny hurtownik zażądał pozaumownie zapłaty za magazynowanie książek, których nie umiał umieścić w księgarniach i po prostu oszukał „Chimerę”. Twierdził, że ma obszar dystrybucji obejmujący całą Polskę, gdy w rzeczywistości podpisał umowy na dystrybucję książek tylko w Kielcach i Radomiu, skąd pochodził. Udało mu się sprzedać kilkanaście (sic!) egzemplarzy w składzie księgarskim w Bodzentynie! Jeszcze inny hurtownik wciąż zmieniał miejsce swoich biur, trzeba było go wręcz ścigać.

I tak dalej. To są obrazki z ówczesnej praktyki. Ostatecznie „Chimera” (a właściwie Fundacja Piśmiennictwa Polskiego) nie zapłaciła hurtownikowi, żądającemu rekompensaty za magazynowanie, ale też straciła część znajdującego się u niego nakładu dwóch książek (okazało się, że paczki zostały zalane wodą w czasie naprawy wodociągu). Nie było do kogo się zwrócić o pomoc, a Marek Teschke, osoba dość trudna w obejściu, na skutek na każdym kroku wszczynanych awantur (napiszmy to dokładnie: bardzo często uzasadnionych, ale zbyt emocjonalnie realizowanych), dodatkowo utrudniał porozumienie.

Sądy, działające powoli i mające ogromne zaległości na wokandach, brutalnie odmawiały przyjmowania pozwów w sprawie wierzytelności niższych niż dzisiejszy milion złotych (wg skali z 2021 r.), podczas gdy wymagalna wartość strat u tego dystrybutora wynosiła „ledwie” ok. 17 tysięcy obecnych złotych. Dla „Chimery” tak mała, zdaniem sądu, suma miała ogromne znaczenie, bo umożliwiłaby ratowanie druku następnych książek. Wystarczyłaby na co najmniej trzy tytuły.

I oto sekretariat wydziału gospodarczego sądu rejonowego oświadczył, że takie powództwo „Chimery” nie zostanie przyjęte na dziennik.

Kiedy później inspektor z Najwyższej Izby Kontroli na wniosek prezesa SPP Andrzeja Brauna sprawdzał dokumentację przedstawioną Ministerstwu Edukacji Narodowej, tylko się uśmiechał pod nosem. Był zdziwiony, że prezes Andrzej Braun w ogóle wystąpił z wnioskiem o kontrolę,

w dodatku napisanym odręcznie na świstku papieru. Prezes uczynił to, mimo że był szczegółowo poinformowany przez pracowników Fundacji Piśmiennictwa Polskiego i „Chimery”, że sąd nie przyjął sprawy z powodu zbyt małych wierzytelności.

Podobnie wzruszeniem ramion zareagował inny inspektor NIK-u, ale już w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Tu także ktoś z SPP (tym razem nie był to prezes) zgłosił wniosek o kontrolę, zupełnie nie znając ani dokumentacji, ani historii zdarzeń. Przedstawiciel NIK-u zbadał w MKiS i biurze OW SPP dokumenty dotyczące funkcjonowania fundacji i nie zgłosił uwag. Bankrutowanie wydawnictwa „Chimera” uznał za zdarzenie typowe i poprawnie dowiedzione.

Tak to bywa, kiedy ludzie, którzy są ignorantami w sprawie, „tak na wszelki wypadek” biorą się do „szukania winnych, żeby ukarać niewinnych”. Mogą co najwyżej zaszkodzić, wzbudzając nieporozumienia wewnątrz swojej firmy lub organizacji, w tym wypadku w SPP. Łatwo rzucają oskarżenia, ale nie mają odwagi, aby to zanulować, następnie przyznać się do błędu, przeprosić za krzywdę i naprawić szkody.

Wydawnictwo SPP „Chimera” upadło z powodu szalejącej inflacji i słabo postępującej sprzedaży księgarskiej, opanowanej w owym czasie przez licznych mikrohurtowników, którzy żądali bardzo wysokich marż, sięgających nawet 50 procent ceny zbytu. Drastycznie zmniejszało to przychody wydawców, przyczyniało się do niekorzystnego zawyżania cen książek i obniżania poziomu czytelnictwa tak zwanego spontanicznego, opartego na prywatnym zakupie książek. W tamtych latach powstawały dziesiątki i tysiące czasopism oraz podobnych do naszego wydawnictw, które bankrutowały po kilku miesiącach działalności.

„Chimera” nie była więc jedyna. Mikroskopijna dotacja, przyznana przez Departament Książki Ministerstwa Kultury i Sztuki, a także niewiele większa, podarowana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, obie znajdujące się na wydzielonym koncie bankowym SPP, w zastraszającym tempie, bo w ciągu 2 czy 3 miesięcy straciły wartość z powodu dramatycznego pogarszania się finansowej jakości złotówki. Zostały jednak skutecznie rozliczone przez obydwie ministerstwa. „Chimera”, poddana kilkakrotnej kontroli, została uznana za firmę działającą całkowicie poprawnie, bez zastrzeżeń, choć bliską upadkowi.

Moje i recenzentów przygotowania do druku 23 tytułów zostały zmarnowane. Recenzentom, mimo zawartych umów, nie zdążono zapłacić. Nie było w tym jednak winy ludzi, którzy się tym zajmowali. Tak skutkowa

sytuacja w kraju. Brakowało środków na zwykłą działalność SPP, coś dopiero na wydatnictwo.

Ciężkie czasy przeżywał więc prezes Fundacji Piśmiennictwa Polskiego Piotr Wojciechowski, kiedy był zmuszony pokierować jej likwidacją. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy przyjechał do mnie do Podkowy Leśnej, żeby odebrać komputer i drukarkę należącą do „Chimery”. To był smutny, bolesny czas, wszyscy sporo straciliśmy, przede wszystkim duchowo. Odebrano nam także honor, ponieważ niektórzy koledzy, w tym niestety ówczesny prezes Andrzej Braun, niemający ze sprawą nic wspólnego, nigdy się nią nieinteresujący, teraz rozsiewali plotki o rzekomych zaniedbaniach.

Tymczasem jeden z inspektorów Najwyższej Izby Kontroli, badający sprawę Fundacji Piśmiennictwa Polskiego, w tym „Chimery” oraz przy okazji także nienależącego do spraw SPP „Potopu”, zaprzeczył obawom prezesa Brauna i kilku innych osób z Zarządu Głównego SPP. Oto co powiedział: „Jeżeli ktoś, tak jak ci panowie, Teschke, Müldner i inni, wkłada ogrom zaangażowania i ciężkiej pracy w jakąś działalność, i to bezinteresownie, bez żadnych korzyści moralnych czy materialnych, to musi się liczyć z odwetem tych, którzy nie zrobili nic poza wytwarzaniem wokół tej sprawy złej atmosfery i szumu”.

Istotnie, wszystkie prace wykonywałem bezpłatnie. Wspomagając wydawnictwo „Chimera”, nie pełniłem żadnej funkcji, ponieważ nie brałem udziału w wyborach do władz SPP, ani nie byłem zatrudniony. Nie miałem umocowania co do żadnej odpowiedzialności, w tym do podejmowania jakichkolwiek decyzji, i to ani finansowych, ani handlowych czy innych o charakterze materialnym. Nie liczyłem się z wydatkami własnymi na rzecz „Chimery”, kiedy chodziło o przewóz paczek z książkami, zakup materiałów biurowych i komputerowych, tonerów do drukarki laserowej, niezbędnego oprogramowania. Nie byłem w złej sytuacji materialnej, więc sądziłem, że mogę SPP pomagać i w ten sposób.

Niestety Tomasz Burek, który najpierw mnie namówił, abym pomógł „Chimerze”, potem jednak zaskakująco bez słowa się odwrócił. Nie życzył sobie żadnych wyjaśnień. Z dokumentacją firmy i notami NIK-u zapoznać się nie zechciał, twierdząc, że się na tym nie zna. Wspomnę też, że dom, w którym Tomasz Burek mnie odwiedzał w 1990 r. i latach następnych, wybudowałem w roku 1987. Został zarejestrowany w gminie i księgach hipotecznych jako gotowy do zamieszkania w 1988 r., tak więc nie mogłem go, jak niektórzy śmiało plotkowali, wybudować z funduszy „Chimery”, która powstała w 1991 r. i nigdy nie miała dochodów.

To wszystko było w SPP źle odbierane. Minorowe nastroje miały niekorzystny wpływ na stosunki koleżeńskie. Kolejni zniechęceni działacze i bywalcy kawiarni na parterze oraz imprez w stylowej sali na piętrze znikali z pola widzenia. Z powodu pogarszającej się atmosfery i narastania konfliktów, zresztą nie dotyczących ani mnie, ani „Chimery”, w II kwartale 1992 zrezygnowałem z jakiegokolwiek dalszej działalności na rzecz Stowarzyszenia w oczekiwaniu, że koledzy z Zarządu OW i ZG uspokoją sytuację i będę mógł wrócić. Musiało minąć piętnaście lat...

✱

Trzydzieści lat później, na początku 2021 r., dokładnie w Nowy Rok, a więc 1 stycznia, wybuchła druga dziwna e-mailowa awantura (pierwsza zaistniała w lipcu-sierpniu 2020 r.), wywołana przez kilku członków SPP, w tym przez wiceprezesa Moskwę Jacka, który w następnym dniu do tych protestujących dołączył. Rozesłali oni oświadczenie, że nie zgadzają się, aby SPP korzystało z pomocy finansowej Instytutu Literatury (który w rzeczywistości jest rodzajem departamentu Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu – MKDNIŚ).

Pomoc była przeznaczona na publikację książek członków Stowarzyszenia w związku ze znacznym ograniczeniem możliwości wydawniczych, wywołanym w 2020 r. przez szalejącą na wszystkich kontynentach pandemią choroby COVID-19 (wywoływanej przez koronawirus SARS-CoV-2). MKDNIŚ wyasygnowało środki na ratowanie sytuacji, tworząc tzw. Tarczę Antykryzysową.

Syty głodnym nie zrozumie i poszuka na niego pałki. W e-mailu do Zarządu Głównego SPP protestujący w zawołany sposób, powtarzając tezy z lipca-sierpnia, twierdzili, że dotacje z Tarczy są łapówką, która ma skorumpować pisarzy i przeciągnąć ich na stronę polityczną rządzącej partii Prawo i Sprawiedliwość (PiS). Żądali rezygnacji z przyjęcia tej pomocy, nie licząc się z tym, że (w przeciwieństwie do nich) wsparcia potrzebowała koleżka koleżanek i kolegów, mających problemy wydawnicze i materialne, mimo że ich dzieła są intelektualnie i estetycznie wartościowe.

Nonsens takiego stanowiska był dla większości działaczy SPP oczywisty. Protestujący stawili sprawę na ostrzu noża, ale żądanie najpierw oparli na emocjonalnych argumentach, a potem nawet na pomówieniach, niegodnych nawet powtarzania. Nie znamy nikogo, kto z powodu tej dotacji zmieniłby swoje przekonania. Wśród książek wydanych ze środków Tarczy są przecież nawet dzieła „wprost anty-PiS-owskie”. Instytut Literatury

ani nasza organizacja z definicji nie stosują bowiem cenzury. Do druku są wybierane pozycje na podstawie tylko trzech kryteriów: a) autor musi być członkiem SPP, b) jego tekst powinien być poprawny pod względem językowym i c) wartościowy artystycznie. Mimo to Moskwa Jacek seriami nadsyłał coraz to nowsze zarzuty pod adresem Zarządów Głównego i Warszawskiego SPP, wreszcie poruszył opisaną wyżej sprawę wydawnictwa „Chimera” z początku istnienia SPP i pomówił mnie o nadużycia.

Oburzyło to wiele koleżanek i kolegów, m.in. Jana Strządałę, Piotra Wojciechowskiego, członków Zarządu Głównego i Oddziału Warszawskiego, też innych, którzy pamiętają, co się działo we wczesnych latach 90. Niejeden zdumiał się, że nie powiem osłupiał, bo trudno mu było zrozumieć, dlaczego ktoś sprzeciwia się korzystaniu przez SPP z działań ratunkowych Ministerstwa.

Poproszono przy tym, abym przypomniał szczegóły wydarzeń związanych z wydawnictwem „Chimera”, ponieważ Moskwa Jacek słał kolejne plotki, w tym na mój temat, po czym zrezygnował z funkcji wiceprezesa, następnie z członkostwa w SPP i odszedł wraz z garstką protestujących.

PiS zapewne przestanie być kiedyś u władzy, ale SPP jeszcze bardzo długo, o ile nie zawsze, będzie trwało na literackim i koleżeńskim posterunku, nie biorąc udziału w żadnych niemądrych awanturach, gdyż te nie mieszczą się w zakresie jego działania. Takie mamy ambicje.

Piotr Müldner-Nieckowski, 2021

W następnym numerze: Europejski Kongres „Fale Bałtyku” w 1992 r.



Nie-bo. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

* * *

Zanim wypłynę na podziemne wody,
powtórzę ukochanej,
że była najpiękniejsza z pięknych.
W ogrodzie wieczności
wszystkie róże
będą się za nią oglądać.

Zanim wypłynę na podziemne wody,
podam ramię czasowi,
niech się o mnie oprze
i niech odpocznie o mnie.

Zanim wypłynę na podziemne wody,
przestrzeń przetrze dłonią
spocone czoło
i uśmiechnie się po niebiesku.

20.10.2007